

**Tadeusz Ginko**



**WSPOMNIENIA**

**1939-1946**



*Biblioteka  
Wileńskich Rozmaitości*



**Wspomnienia**

**1939-1946**



**Tadeusz Ginko**

# Wspomnienia 1939-1946



*Biblioteka  
Wileńskich Rozmaitości*

Biblioteka Wileńskich Rozmaitości  
Seria B nr 70

Redaktor: Leszek Jan Malinowski

Copyright © by  
Książka wydana nakładem rodziny Tadeusza Ginki

Na okładce: T. Ginko, autokarykatura z 1937 r.  
T. Ginko. Fryz

ISSN – 1230-9915  
ISBN – 978-83-87865-65-8

Skład: Bogdan Strzeboński  
Druk: Drukarnia GS sp. z o.o., Kraków  
30 701 Kraków

## Spis treści

**Od wydawcy ..... 7**

**Aniela Kaczanowska**

**Powinność stawialiśmy na pierwszym miejscu. Tak  
było i tak być musiało ..... 9**

**Tadeusz Ginko**

**Trzy okupacje 1939-1944 ..... 23**

W Wilnie – od września 1939 do listopada 1940 ..... 23

„Kolchoz ogrodniczy” w Wace ..... 31

Dokończenie studiów w Kownie ..... 36

Epizody okupacji niemieckiej ..... 50

Na północno-wschodniej Wileńszczyźnie ..... 55

Lekarz powiatowy ..... 64

Rozpaczam pracę lekarza ..... 68

Wróćmy jednak do poradni ..... 74

Kontakty z polską partyzantką ..... 76

Świr etap I (życie i praca) ..... 81

Szemietowszczyzna ..... 88

Świr etap II ..... 99

**Tadeusz Ginko**

**W niewoli sowieckiej 1944-1946 ..... 111**

Rozbrojenie i marsz w konwoju do Miednik ..... 111

W obozie w Miednikach ..... 114

Z Kieny do Kaługi ..... 122

Koszary czy „łagier”? ..... 124

Po odmowie przysięgi ..... 142

Z łagru do lasu ..... 145

Praca i warunki sanitarne w obozie ..... 148

Klub artystyczny ..... 152

W Średniakowie: areszt, prace artystyczne ..... 162

Powrót do Polski ..... 188

<b>Tadeusz Ginko</b>	
<b>Przełom „Solidarnościowy” w Śląskiej Akademii</b>	
<b>Medycznej .....</b>	<b>201</b>
<b>SUPLEMENT .....</b>	<b>209</b>
Aniela Kaczanowska – Tylko Miłości warto oddać swoje	
życie .....	211
<b>Wspomnienia o Tadeuszu Gince .....</b>	<b>223</b>
Jan Karyszkowski	
Słowo o „Dobrym Doktorze” .....	225
Michał Bałasz	
Okруchy zdarzeń i pamięci o „Doktorze Janie” Tadeuszu	
Ginko .....	233
Józef Surowiak	
Wspomnienia o prof. dr hab. Tadeuszu Ginko .....	239
Mieczysław Pujdak	
List .....	243
Marek Kawecki	
Egzamin z chirurgii u Profesora .....	245
List pacjentki .....	249
Zygmunt Winnicki	
Pamięci nieodżałowanego przyjaciela profesora Tadeusza	
Ginko .....	253
Wojciech Ginko	
Ojciec .....	259
<b>Z życia rodzinnego .....</b>	<b>261</b>
<b>Karykaturalne i fotograficzne wspomnienia pracy</b>	
<b>zawodowej i społecznej .....</b>	<b>273</b>
<b>Wyrzeźbione dłutem .....</b>	<b>283</b>
<b>Prace artystyczne dla uczelni .....</b>	<b>297</b>
<b>Indeks nazwisk .....</b>	<b>303</b>



## Od wydawcy

Oddajemy w ręce czytelników wspomnienia niezwykłego Człowieka i o niezwykłym Człowieku, dokument żołnierskiego losu, ciężkiej pracy, radości tworzenia i niezłomnej postawy życiowej Tadeusza Ginki.

Syn Ziemi Wileńskiej, przed wojną – uczeń i student medycyny, podczas wojny – lekarz-żołnierz, sowiecki jeńiec i zesłaniec, po wojnie – lekarz-naukowiec, a zawsze karykaturzysta i rzeźbiarz.

Jego „Wspomnienia z Kaługi” ukazały się w Bibliotece *Wileńskich Rozmaitości* w roku 1993, dzięki staraniom żony – Wandy Ginko – i redaktora Leszka Jana Malinowskiego. Wiele lat później rodzina odnalazła wspomnienia chronologicznie wcześniejsze, okupacyjne, planowane jako większa całość, ale już nie dokończone.

Z inicjatywy redaktora Leszka Jana Malinowskiego obie części wspomnień ukazują się łącznie. Obok nich znajdują czytelnicy kilka wspomnień o Tadeuszu Gince, a także zaczerpnięte z rodzinnego archiwum dokumenty i ilustracje Jego życia i ogromnego dorobku artystycznego. Ilustracje – zdjęcia i karykatury – zostały zmniejszone dla potrzeb wydawniczych. Dokładaliśmy starań, by nie odbiło się to na ich czytelności, ale najstarsze mają przecież kilkadziesiąt lat...

Obraz życia i osiągnięć Tadeusza Ginki nie byłby pełny, gdyby pominąć żonę – Wandę, Osobę Mu najbliższą przez 42 lata wspólnego życia. Dlatego i Ona pojawia się w tym zbiorze relacji i wspomnień.

Każdy, kto zetknął się z Tadeuszem Ginką zapamiętał Go nieco inaczej. Dla niektórych zdolny lekarz, dla innych wspaniały organizator, ciepły, serdeczny przyjaciel, naukowiec, wszechstronnie utalentowany artysta, dla jeszcze innych – bohater. Z tym ostatnim określeniem najtrudniej byłoby się Mu pogodzić, ponieważ służbę wszystkim i wszystkiemu, co najważniejsze, traktował jako swoją powinność. Dlatego książka zaczyna się od słów, które kiedyś wypowiedział

## Powinność stawialiśmy na pierwszym miejscu. Tak było i tak być musiało



*Tadeusz Ginko – zdjęcie maturalne – 1935 r.*

**T**adeusz Ginko urodził się 2 kwietnia 1917 roku we wsi Kiejminy, pow. Muśniki, na Wileńszczyźnie, w rodzinie rzemieślniczej. Ojciec, Hieronim, był kucharzem i cukiernikiem, matka, Filomena z d. Smolska, zajmowała się domem i doradczo szyła, wspomagając budżet domowy. W Wilnie ukończył szkołę powszechną i humanistyczne Gimnazjum Męskie im. Króla Zygmunta Augusta. Wspaniałym profesorem zawdzięczał, poza ogólnym gruntownym wykształceniem, biegłą znajomość języka niemieckiego, historii sztuki oraz opanowanie artystycznego warsztatu rysownika. Już w gimnazjum rysował karykatury profesorów i kolegów, ozdobił nimi pisany wówczas pamiętnik.

W roku 1935 zdał egzamin konkursowy na Wydział Lekarski Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. W dwa lata później utracił ojca i od tego czasu utrzymywał się sam, zarabiając korepetycjami, rysowaniem karykatur i portretów oraz pracą fizyczną. Już podczas III roku studiów zatrudniony został na stanowisku zastępcy asystenta przy Zakładzie Histologii i Embriologii, którym kierował prof. Stanisław Hiller.

Życie studenckie w Wilnie dawało możliwość uczestniczenia w działalności licznych organizacji studenckich. Tadeusz Ginko należał do dwóch, jakże różnych, ale jednakowo silnie formujących wewnętrznie. Pierwsza to Stowarzyszenie Katolickie Młodzieży Akademickiej „Juventus Christiana”, którego celem było poznawanie Ewangelii i wprowadzanie jej zasad w życie



*Członkowie SKMA „Iuventus Christiana” na zebraniu konspiracyjnym; siedzą od lewej: Zofia Wierzbicka, ks. rektor prof. Czesław Falkowski, ks. prof. Antoni Pawłowski, Tadeusz Ginko, stoją od lewej: 4-ta Wanda Dziewulska, obok Bolesław Tekielski, ledwo widoczna w tylnym rzędzie Aniela Dziewulska.*



*Włóczędzy w pochodzie „Kaziukowym” w 1938 r. Wyga „Wałkoń” (T. Ginko) z lagą. Obok „Wykidajło” i „Poganiacz”.*

osobiste i społeczne. Jego członkowie – studenci – uczestniczyli w dyskusjach, rekolekcjach, ale także obozach i spotkaniach kulturalno-artystycznych. Jedno z takich spotkań, wieczór kaspro-wiczowski, który odbył się już podczas wojny, w styczniu 1943 roku, uwiecznił na rysunku. Duchowymi przewodnikami młodzieży studenckiej byli: ks. rektor prof. Czesław Falkowski i ks. prof. Antoni Pawłowski (podczas okupacji zwany „Chrząszczem”). Drugą organizacją był Akademicki Klub Włoczęgów Wileńskich, dający możliwość przeżycia przygody intelektualnej, pobudzającej do kształtowania postaw życiowych, i przygody-włoczęgi pieszej, kajakowej i narciarskiej. Swoją pasję społecznikowską członkowie Klubu realizowali prowadząc dla ubogich chłopców założony przez siebie Klub Ulicznika. Włoczędzy wyróżniali się dużymi, czarnymi beretami z chwostami, a zamiast sztandaru mieli potężną lagę, noszoną podczas uroczystości. Wielu z nich zapamiętało Tadeusza – „Walkonia”<sup>1</sup> – jako organizatora słynnych bali Klubu Włoczęgów, szopek i występów artystycznych.

Kończył studia, kiedy wybuchła wojna. 15 grudnia 1939 roku władze litewskie zamknęły Uniwersytet. Uroczystą mszą św. w akademickim kościele św. Jana i ostatnim wykładem Senat uczelni i młodzież studencka żegnali się z uczelnią. Po wielu latach, bo w roku 1978, Tadeusz Ginko dał wyraz swojemu przywiązaniu do Uniwersytetu Stefana Batorego wygłaszając obszerny referat o działalności wydziału medycznego na sesji, zorganizowanej w ramach uroczystych obchodów 400. rocznicy założenia USB. Odbyły się one w Archikatedrze św. Jana w Warszawie, pod patronatem Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Po zamknięciu Uniwersytetu rozpoczęło się przejmowanie bibliotek i wyposażenia Zakładów. Prof. Hiller polecił pracownikom zabezpieczenie mikroskopu i preparatów, jak gdyby w prze-

---

<sup>1</sup> Każdy członek Klubu Włoczęgów miał pseudonim-przezwyisko, wywodzący się z czasów szkolnych lub studenckich. „Walkoń” nie ma więc nic wspólnego z pseudonimem AK-owskim.

UNIwersytet  
STEFANA BATOREGO  
W WILNIE

Wnio. dn. 12 czerwca 1939 r.

Nr. 2182/39.

Pan Stud. Tadeusz Glinko  
na ręce Pana Kierownika Zakładu Histologii i Embriologii  
przez Dziekanat Wydziału Lekarskiego


Na wniosek Rady Wydziału Lekarskiego poruczę Panu (II)  
obowiązkowi Zastępcy asystenta przy katedrze Histologii  
i Embriologii na okres czasu od 1 września  
1939 r. do dnia 31 sierpnia 1940 r. w wymiarze 17 godzin tygodniowo.

Równocześnie zgodnie z postanowieniami rozporządzenia Ministra Wyznań Religij-  
nych i Oświecenia Publicznego z dnia 15 grudnia 1936 (Dz. Urz. Min. W. R. i O. P. Nr. 11  
poz. 916) i na podstawie umowy spisanej według wzoru ustalonego tym rozporządzeniem  
przyznaję Panu (II) wynagrodzenie w wysokości 5 zł. miesięcznie za jedną godzinę  
zajęcia tygodniowo, czyli łącznie 85 zł. płatne miesięcznie z góry począwszy  
od dnia 1 września 1939 r.

Odpis zawartej umowy załącza się

1 kół.

PROF. DR. ST. ZAJĄCZKOWSKI  
Prof. Dr. St. Zajączkowski



Zaświadczenie o zatrudnieniu w USB na stanowisku zastępcy asystenta.  
1939 r.

czuciu, że zajęcia dydaktyczne będą prowadzone nadal. Tajne nauczanie medycyny rozpoczęto w styczniu 1940 roku; przez kilka miesięcy Tadeusz Ginko prznosił w kolejne miejsca mikroskop i preparaty, prowadząc z niewielkimi grupkami studentów ćwiczenia z histologii. Kiedy władze litewskie postanowiły zlikwidować w większych miastach skupiska młodzieży polskiej, dzięki staraniom Polskiej Sekcji Pomocy Ofiarom Wojny organizowano dla niej „studenckie gospodarstwa rolne”. Pracował w takim gospodarstwie w Wace k/Landwarowa, a kiedy i to stało się niemożliwe, przy budowie nasypu kolejowego w Trokach.

Za radą swoich dawnych profesorów, z grupą ok. 100 studentów ostatnich lat postanowił skorzystać z możliwości ukończenia studiów medycznych w Kownie. Pokonując ogromne trudności językowe i ciężko pracując fizycznie, jako jeden z pierwszych z tej grupy zdał ostatnie egzaminy w Uniwersytecie Kowieńskim, uzyskując w listopadzie 1941 r. dyplom lekarza. W trakcie stażu podyplomowego w szpitalach wileńskich powrócił do tajnego nauczania medycyny. W tym samym czasie w tajnym nauczaniu dzieci szkół podstawowych uczestniczyła jego narzeczona, Wanda Dziewulska, córka profesora astronomii USB, studentka pedagogiki, przerwanej wojną po I roku studiów. Ślub ich odbył się w kościele św. Jana w Wilnie 15 lutego 1942 r., a związek pobłogosławił ks. prof. Antoni Pawłowski.

Wkrótce po ślubie opuścili Wilno, ponieważ młodych lekarzy zmuszano do pracy na prowincji. O wyborze miejsca zdecydowały związki z pracą konspiracyjną. Pracując oficjalnie w Ośrodkach Zdrowia i szpitalach w Świrze i Szemietowszczyźnie, niedaleko jeziora Narocz, jako „Doktor Jan” organizował i sprawował opiekę medyczną nad partyzantami z oddziałów AK rozmieszczonych w okolicznych, głębokich lasach. Żona opowiadała, że młodziutki lekarz, nazywany przez miejscowych pacjentów „*maładoj z czobom*” (z czubem, z powodu bujnej czupryny), dla dodania sobie powagi przyjmował przez jakiś czas w okularach. Poza obowiązkami zawodowymi drukował, wspólnie z żoną, pisemko „Partyzant” przeznaczone dla walczących oddziałów. Włączyli się, również

wspólnie, w organizowanie pomocy dla wileńskich księży, więzionych w obozie pracy w głębi Litwy. Było wśród nich wielu profesorów seminarium duchownego.

W kwietniu 1944 r., wobec zbliżającego się frontu, Tadeusz Ginko został odwołany do Wilna i mianowany Szefem Służby Zdrowia 2. Zgrupowania AK Ziemi Wileńskiej, którym dowodził mjr Mieczysław Potocki, „Węgielny”. Organizował szpital polowy i szkolił personel pielęgniarski. W czasie walk z Niemcami ratował życie partyzantów, m.in. w największej z bitew 2. Zgrupowania pod Krawczunami, gdzie kierował zaopatrzeniem i ewakuacją rannych. Mjr Potocki napisał w swoich wspomnieniach: „...*rannych – na miejscu, pod ogniem z aut pancernych, operował lekarz Tadeusz Ginko, odznaczony za ten czyn Krzyżem Walecznych*”<sup>2</sup>. W lipcu 1944 r. należał do oddziałów, które wspólnie z Armią Czerwoną walczyły o oswobodzenie Wilna, a następnie podzielił los tysięcy żołnierzy AK, podstępnie otoczonych, rozbrojonych i internowanych w Miednikach. Nie posiadając stopnia wojskowego pozostał z żołnierzami, kiedy oddzielono od nich dowództwo.

Nie skorzystał z możliwości ucieczki, przedkładając powinność wobec Ojczyzny, wierność przysiędze i odpowiedzialność lekarza nad życie rodzinne. Odmawiając, jak inni, przysięgi na wierność Armii Czerwonej, podzielił ich los. Przed wywiezieniem w głąb Rosji sowieckiej, do Kaługi, zdołał jedynie przez moment zobaczyć żonę i kilkudniową córeczkę, by rozstać się z nimi na półtora roku.

Pobyt w Kałudze i Sieredniakach opisał we wspomnieniach lekarza – zesłańca. Powtarzają się w nich doświadczenia tysięcy – praca ponad siły, nieludzkie normy, zimno, głód, karcer... Ale równocześnie życzliwość ludziom, głębokie przyjaźnie, wiara w odmianę losów. W jednym z nielicznych listów, jaki po miesiącach dotarł do rodziny w Wilnie, napisał: „... *Ale bądźcie dobrej myśli, ufajcie! Przeżywamy ostatnie miesiące zawieruchy. Przetrzymamy!*”

---

<sup>2</sup> Potocki M. (2008). *Między Dźwiną a Wilią*. Warszawa. Str. 94.



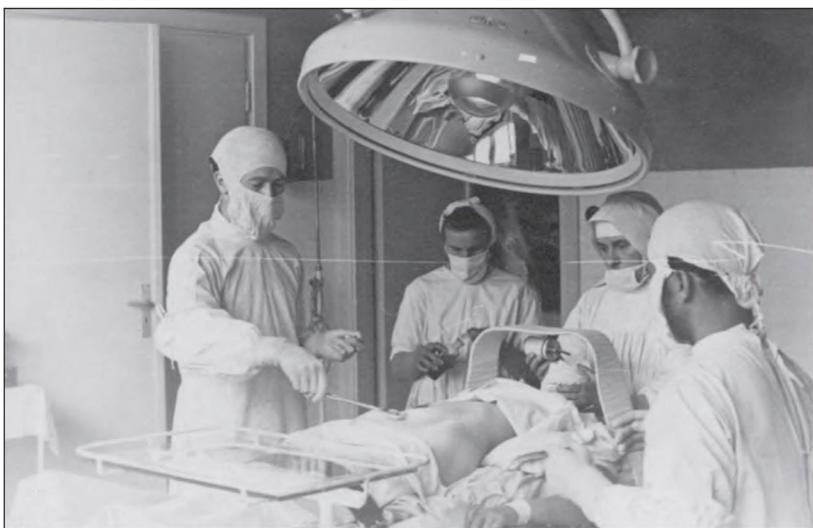
Poniekąd ratują Go talenty artystyczne – rysuje (i znowu w ten sposób zarabia), uzyskuje zgodę na zorganizowanie zespołu artystycznego, jest scenografem i tancerzem, współzawodniczy w śpiewie z Bernardem Ładyszem, z kory, puszek po konserwach, ścinków materiału wyczarowuje stroje tancerzy. Muzyka, śpiew, występy taneczne podtrzymują na duchu uwięzionych, zdumiewają odwiedzających obóz z występami artystów Teatru Stanisławskiego. Powstają w tym czasie pierwsze, niewielkie rzeźby wykonane szczyrykiem dla żony i córeczki – okładka albumika, smutna małpka, drewniana puderniczka, ryngraf z Matką Boską Ostrobramską i napisem na rewersie: „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć”.

Zakończenie wojny nie od razu przynosi wolność. Jeszcze miesiąc w Kirowie, żeby zatrzeć fizyczne ślady przeżyć obozowych, i wreszcie 9 stycznia 1946 r. powrót do Polski. Z adnotacją w papierach „zwolniony”, bez ujawniania miejsca i powodu uwięzienia. Jeszcze wówczas nie wiedział, że będzie to trwała plama na życiorysie.

Tadeusz Ginko odnajduje rodzinę w Toruniu (ojciec żony, prof. Władysław Dziewulski współorganizuje tam uniwersytet), poznaje swoją 1,5 roczną córeczkę – Anielkę. Z trudem znajduje uczelnię, na której przeprowadzi nostryfikację litewskiego dyplomu. Marzy o pracy na uczelni medycznej, najchętniej w Gdańsku, gdzie osiadło grono wileńskich profesorów, ale nie uzyskuje na to zgody władz. Próbuje w innych miastach, bezskutecznie. Rozpoczyna więc wędrowkę po Polsce. Razem z żoną, która po kursie pedagogicznym otrzymuje skierowanie do pracy na Ziemiach Odzyskanych, wyjeżdża do Piły. W spalonym, zrujnowanym mieście pracuje w Warsztatach Naprawczych Taboru Kolejowego. Uroczystość z okazji wyremontowania setnego parowozu upamiętnił wielką planszą przedstawiającą wszystkich pracowników umieszczonych na parowozie. Od tego czasu każda placówka, do której kierował Go los, otrzymywała w podarunku zbiorową karykaturę swoich pracowników, najczęściej z okazji jakiejś uroczystości lub ważnego wydarzenia. Podobnie było w Szpitalu Powiatowym



*Płońsk. Budynek szpitala 1947/48 r.*



*Płońsk. T. Ginko (pierwszy od lewej) na sali operacyjnej 1947/48 r.*

w Płońsku na Mazowszu, gdzie pracował w latach 1947-1948, w Łodzi na Kursie Doskonalenia Oficerów LWP, i w Toruniu w latach 1948-1949, kiedy powołany do służby wojskowej pracował w Wojskowym Szpitalu Okręgowym, zdobywając specjalizację w dziedzinie chirurgii.



*W WP. 1948/49 r.*

W 1950 roku otworzyła się przed Tadeuszem Ginką perspektywa pracy naukowej; na Śląsku powstawała uczelnia medyczna, a władze udzieliły zgody na podjęcie w niej pracy. Współorganizował Śląską Akademię Medyczną, wówczas z siedzibą w Rokitnicy k/Zabrza, a następnie pracował w niej ponad 30 lat. Pracę naukową rozpoczął w Katedrze Anatomii Prawidłowej, a kontynuował w wybranej przez siebie dziedzinie medycyny – chirurgii. Do roku 1962 pracował w I Klinice Chirurgicznej w Zabrze, kierowanej przez prof. Gasińskiego,



*Okręgowy Szpital Wojskowy. Toruń 1949 r. T. Ginka 2. od prawej.*

którego był doktorantem. Dysertację doktorską obronił w roku 1951.

Pracował bardzo ciężko. Trudne warunki życia w tamtych czasach i powiększająca się rodzina (w latach 1947, 1952, 1955 urodzili się synowie: Wojciech, Tomasz i Tadeusz) zmuszały do podejmowania dodatkowej pracy: dyżurów nocnych w klinice, popołudniowej pracy w Przychodni Akademickiej. Władze Akademii często wykorzystywały jego talenty plastyczne, angażując go do przygotowywania wystaw, uroczystości, jubileuszy. Zdarzało się, że dzieci nie widywały Go przez kilka dni, albo spędzały czas co prawda wspólnie, ale nie na zabawie, ale na wycinaniu liter, malowaniu i klejeniu plansz. W późniejszych latach, kiedy dzieci dorastały a rodzina zamieszkała w Katowicach, wspólne spędzanie czasu było nadal czymś wyjątkowym, świątecznym. Domownicy byli przyzwyczajeni do codziennego dwukrotnego wychodzenia ojca i męża z domu – przedpołudniami po to, by pracować w klinice i przychodni przyklinicznej, wieczorami, by mieć spokojny czas dla każdego chorego. A jeszcze praca naukowa i absorbująca funkcja konsultanta w zakresie chirurgii dla woj. częstochowskiego, związana z nieoczekiwanymi wyjazdami poza godzinami pracy w klinice.

Plama na życiorysie co jakiś czas dawała znać o sobie. Praca habilitacyjna została przyjęta przez Radę Wydziału Lekarskiego Śl.A.M. w roku 1965, ale na jej zatwierdzenie przez ministerstwo musiał Tadeusz Ginko czekać aż 7 lat. Wielokrotnie opierał się naciskom sekretarzy i działaczy partyjnych namawiających do wstąpienia do partii i obiecujących poprawę warunków mieszkaniowych lub finansowych, czasem w postaci groźby, jak w późnych latach 50., gdy usłyszał od jednego z prorektorów: „*panie doktorze, pan ma przecież dzieci...*”. Po habilitacji, przez 17 lat czekał w macierzystej uczelni na samodzielne stanowisko, wyręczając szefów w pracach różnej miary, począwszy od szkoleń specjalizacyjnych młodych lekarzy, a skończywszy na remoncie starego budynku i przenoszeniu Kliniki Chirurgii Ogólnej do Szpitala im. Mielęckiego w Katowicach.

Przeniósł się z rodziną do Katowic. Dopiero w roku 1982 doczekał się mianowania na kierownika I Katedry i Kliniki Chirurgii Ogólnej i przez ostatnie dwa lata życia dane Mu było wykorzystać swoje talenty, by samodzielnie ją prowadzić. O tym, jakim był szefem dla współpracowników-lekarzy, rodzina nie zawsze wiedziała, o tym, jakim był dla pielęgniarek – przekonała się, kiedy przegrywał walkę z nieuleczalną chorobą. Przez ostatni miesiąc, każdej nocy jedna z sióstr opiekowała się nim w domu i żadna z nich nie przyjęła od rodziny wynagrodzenia.

Wielką wagę przywiązywał do dydaktyki, wprowadzania w zawód lekarza studentów i szkolenia młodych lekarzy. Swoją postawą starał się im zaszczerpić wrażliwość na ból i cierpienie, szacunek dla pacjentów. Dlatego bardzo sobie cenił to, że w dużej mierze głosami studentów został wybrany w roku 1980 na stanowisko prorektora do spraw młodzieży. Pełnił tę zaszczytną funkcję krótko, w stanie wojennym został z niej usunięty,



*Inauguracja roku akademickiego w Śląskiej Akademii Medycznej w roku 1981. T. Ginko jako prorektor podczas immatrykulacji.*

a w nekrologu jakim zęgnala go uczelnia w roku 1984, nawet o niej nie wspomniano.

Poza pracą na uczelni angażował się w liczne inicjatywy społeczne, które po latach owocowały medalami, odznaczeniami, orderami, również państwowymi, Najbardziej cenil sobie jednak Krzyż Armii Krajowej, a wśród pamiątek przechowywał skrzętnie niewielką odznakę Akademickiego Klubu Włoczęgów Wileńskich. Byłby wzruszony, gdyby się dowiedział, że pośmiertnie nadano mu tytuł członka honorowego Towarzystwa Chirurgicznego i Medal „Gloria Medicinae”.

Pozostawił po sobie nie tylko bogaty dorobek naukowy, wielu specjalistów, nerek, pamięć i rzesze do dziś pacjentów, ale tak-



że liczne dzieła artystyczne, wiele wykształconych oddziałów przeszczepianego chirurga wspominających go

Odnaka Akademickiego Klubu  
Włoczęgów Wileńskich.



Nazwisko	GINKO
Imię	TADEUSZ
Pseudonim	JAN
Przydział	lekarz 2 Zgrup par. och. wlno
Odznaczony został <b>KRZYŻEM ARMII KRAJOWEJ</b> ustanowionym dnia 1 sierpnia 1966 roku przez dowódcę A.K. gen. Tadeusza Bora- Komarczewskiego dla upamiętnienia wysiłku służących Polskiej Podziemnej w latach 1939 — 1945. Przewodniczący Towarzystwa Krajoznawczych <i>[Signature]</i> R. Ziomecki Warszawa Londyn, dnia ... S... 11 1970.	

Legitymacja Krzyża Armii Krajowej.

sty-amatora. Brał udział w wielu wystawach lekarzy-artistów, również zagranicznych. Na jednej z nich zaproponowano Mu w zamian za niewielką rzeźbę 3 obrazki Nikifora. Nie zgodził się, z wieloma rzeźbami nie umiał się rozstać. Podczas kolejnej wystawy ta właśnie rzeźba zginęła. Ostatnią wystawę zorganizowano staraniem żony i oo. oblatów, w 5 lat po śmierci Tadeusza Ginki, w Parafii Najświętszego Serca Pana Jezusa, do której należał.

Nie rozstawał się z notatnikiem, w którym nieustannie szkicował twarze i postacie napotkanych osób. Wiele z nich otrzymywało na pamiątkę jeszcze gorące podobizny. Obdaruwał także własną uczelnię – projektem exlibrisu dla Biblioteki Głównej, łańcucha dziekańskiego dla Wydziału Farmaceutycznego, popiersiem dr Mielęckiego, dwoma albumami karykatur wydanymi z okazji jubileuszy uczelni, licznymi karykaturami zbiorowymi, z których część podobno nadal zdobi ściany sal.



*Pogrzeb T. Ginki. 30.10.1984 r. Mjr Mieczysław Potocki „Węgielny” żegna swojego żołnierza.*

Zbiór prawie 1200 karykatur ludzi znanych i nieznanymi, zgodnie z wolą Autora, rodzina przekazała w darze Muzeum Karykatury w Warszawie.

Zakończeniem życiorysu niech będą dwa cytaty. Pierwszy to słowa żony Wandy: *„Dwie wielkie rywalki: medycyna i sztuka walczyły przez całe życie o jego względy. Obie głęboko ukochał i jestem pewna, że rozdzielał pomiędzy nie to wszystko, co miał najlepszego. Pozwalały mu sprawdzać samego siebie, zużytkować własne uzdolnienia i dążyć do pełnego rozwoju”*; drugi, to zakończenie wspomnienia pióra prof. Ireny Sławińskiej – *„Czy uzyskał „order uśmiechu”? Jeśli nie – wnoszę o pośmiertne odznaczenie go tym orderem. Imieniem? – wszystkich, których tym uśmiechem wzmocnił”*.

Kraków, luty 2009 r.

Aniela Kaczanowska z d. Ginko



Tadeusz Ginko

## TRZY OKUPACJE 1939-1944

**W Wilnie –  
od września 1939 do listopada 1940**

**K**iedy po kilkudziesięciu latach biorę pióro do ręki, by wspomnieniami objąć okres przeżyty na naszych ziemiach kresowych po to, by nie zaginęła w niepamięci choćby cząstka tej prawdy, która we własnych wspomnieniach pozostała – nie czynię tego bez niepokoju. Primo – zdaję sobie sprawę z tego, że zbyt małą odegrałem rolę w historii tego okresu; secundo – zbyt wąskie były horyzonty mego widzenia, jako dwudziestoparoletniego studenta medycyny, a potem młodego lekarza, toteż nie mogę inaczej swych wspomnień ująć jak opis osobistych moich przeżyć na tle wielkich wydarzeń, w których centrum znalazłem się nagle, tak jak inni zagarnięci falą wojny i przesuwani nią jak fala powodzi, bez wpływu na przebieg wydarzeń.

Przeżyliśmy w Wilnie dwa wstrząsy. Jeden – to pierwszy września 1939 r, gdy na błękitnym tle nieba ukazały się wysoko, bardzo wysoko, srebrzyste samoloty, których warkot z towarzyszącym mu hukiem bomb – ujawnił grozę rozpoczętej wojny; drugi – gdy na zaciemnionych ulicach miasta zadudniły kamiennym echem wąskich uliczek gąsienice czołgów Armii Czerwonej.

Poczuliśmy się wtedy zagubieni, bez drogi odwrotu, bez możliwości odskoku dla zaczerpnięcia tchu do zmobilizowania obrony, w której możliwość wierzyliśmy jeszcze... Jaki był osąd

ówczesnej sytuacji? Mógł być tylko jeden. Zostaliśmy rozszarpani i pochłonięci przez dwóch wrogów, z których jeden pięścią obezwładnił nas, drugi wbił nóż w plecy.

Polska przestała istnieć na kresach – choć Warszawa jeszcze się broniła... Pierwszym odruchem młodzieży wileńskiej było uciekać... Zorganizowane samorzutnie oddziały legii akademickiej lub przysposobienia wojskowego chłopców ze szkół średnich w drelichowych mundurach i bez broni, pojedyncze grupki młodzieży opuszczały Wilno. Jedne kierowały się w stronę walczącej Warszawy, drugie szły w stronę Litwy kowieńskiej w przeświadczeniu, że tam znajdą schronienie i możliwość przedostania się na Zachód, na pomoc którego liczone jedynie – bo cóż innego pozostało?

Nieliczna grupa lewicy akademickiej, dla której Związek Radziecki był wzorem myśli politycznej i przemian społecznych, znalazła swą drogę we współpracy z nowymi władzami. Nie obeszło się i tu bez nieporozumień. O niektórych ślad potem zaginął (Skarżyński)<sup>1</sup>.

Różne były losy tych grup i oddziałów. Rozproszone – po przejściu kilkudziesięciu kilometrów – zostały zatrzymane przez wojska radzieckie. Władze litewskie zorganizowały dla nich obóz w Żagarach<sup>2</sup>, do którego kierować zaczęły młodzież studencką Wilna po objęciu miasta i wprowadzeniu tam nowych litewskich władz administracyjnych.

Przekazanie Wilna Litwie przez Związek Radziecki odbyło się uroczyście. Pierwsze wkroczyły do miasta doborowe oddziały wojska litewskiego z gałzkami liści dębowych przy hełmach i w lufach karabinów. Ogromne, barczyste chłopcy szły wolnym,

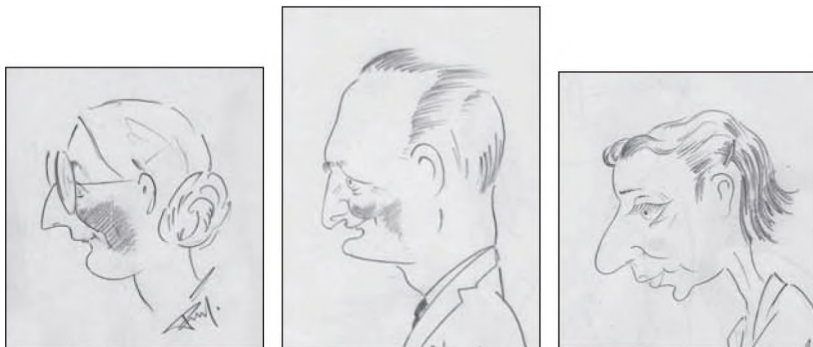
---

<sup>1</sup> Prawdopodobnie chodzi o Bohdana Skarżyńskiego, działacza komunistycznego, aresztowanego w październiku 1939 r., zmarłego w obozie NKWD w 1942 r.

<sup>2</sup> Zapewne Autor miał na myśli Żagary (po litewsku Žagarė) w połowie XIX w. będące własnością Naryszkinów. W 1905 r. w stanie wojennym znalazły się w rosyjskim obstrzale artylerii. Litwa Kowieńska zbudowała tam obóz, który wspomina Autor.

ciężkim krokiem witane przez nieliczną garść zamieszkujących Wilno Litwinów. Czerwono-żółto-zielona chorągiew załopotała na wieży Zamku Gedymina na Górze Zamkowej. Kilka czołgów krążyło ulicami miasta dla podkreślenia siły militarnej narodu, który wrócił na swoje ziemie po setkach lat oderwania od macierzy.

Jeszcze przez kilka miesięcy życie w mieście toczyło się jak dawniej. Administracja litewska powoli przejmowała w swe ręce urzędy. Trwały zajęcia na wszystkich Wydziałach Uniwersytetu Stefana Batorego. Rozproszona młodzież skupiła się wokół swych profesorów, absolwenci składali ostatnie egzaminy, wydawano dyplomy z polskim godłem państwowym.



*Koledzy ze studiów: Danuta Sadkowska, Tadeusz Garlej, Iza Nikkelówna.*

Tragedię swą przeżył Uniwersytet w miesiącu grudniu (15-go), kiedy to skierowano do poszczególnych katedr profesorów Uniwersytetu Kowieńskiego z zaleceniem spisania inwentarza i przejęcia majątku katedr.

Uniwersytet został zamknięty. Z przejęciem opowiadano o bogatych zbiorach biblioteki uniwersyteckiej rzuconych na podłogę sal wykładowych, przygotowanych do wywiezienia do Kowna, o bezcennej wprost aparaturze naukowej ładowanej do skrzyń lub bezmyślnie niszczonej przez pracowników litewskiej administracji.



*Klinika Chirurgii USB na Antokolu. 1937 r. T. Ginko stoi 4-ty od lewej.*

W przeświadczeniu, że sytuacja jest przejściowa, i że trzeba ratować co się da, tu i ówdzie uratowano cenną książkę, mikroskop, zestawy preparatów histologicznych – zasadnicze pomoce naukowe wykorzystywane później do tajnego nauczania studentów.

W przeświadczeniu wielkiej krzywdy, jaka spotkała naukę polską ze strony Litwinów, pracownicy naukowci Uniwersytetu wystosowali protest podpisany przez wielu profesorów i asystentów uczelni. Fakt ten nie mógł mieć znaczenia – był jedynie demonstracją, stanowił dokument mogący mieć jedynie wartość historyczną. Stanowił protest przeciwko zamknięciu jednej z najstarszych uczelni w Polsce, która przez setki lat promieniowała kulturą na Litwę, Polskę, Białoruś, chowając w swoich murach uczonych miary Skargi, Śniadeckiego, Poczobuta i ludzi największej skali: Mickiewicza, Zana, Czeczota i wielu innych.



Zajęcia w prosektorium prowadzi prof. Reicher (brunet – dr Sumorok, z notatnikiem T. Ginko).



Rysuje Arystarch Kaszkurewicz.



Zakład prof. Hillera – od lewej: prof. Hiller, doc. Kruszyński (przy mikroskopie), Siwiak, doc. Bagiński, Tadeusz Garlej, T. Ginko.



Spotkanie towarzyskie w Wilnie. Z tyłu stoją: w okularach Władysława Ginko, siostra T. Ginko, później żona Józefa Borkowskiego (obok niej).

Nie bez zdumienia, po wielu latach odnalazłem w jednym z numerów paryskiej „Kultury” pełny tekst tego protestu i moje nazwisko między podpisanymi pod nim pracownikami naukowymi Uniwersytetu (byłem wówczas jako student zastępcą asystenta przy Katedrze Histologii i Embriologii kierowanej przez prof. Hillera<sup>3</sup>).

Uniwersytet zamknięto. Władze litewskie zwolniły profesorów, Kierownicy Katedr zabiegowych zostali zatrudnieni w szpitalach miejskich. Teoretycy zostali bez pracy. Młodzież szukała zajęcia chcąc się uchronić przed wywiezieniem do obozów koncentracyjnych w głębi Litwy.

W okresie tym postanowiliśmy z grupą studentów założyć teatrzyk rewjowy. Kierownikiem literackim i artystycznym tego teatru był J. Maśliński<sup>4</sup>, znany już w środowisku akademickim literat. Kierownictwo muzyczne objął Dziegielewski<sup>5</sup>. Fundament artystyczny stworzyli studenci mający w sobie w tamtym okresie więcej iskry Bożej niż prawdziwych umiejętności. Dla wielu z nich rozpoczął nasz teatrzyk wielką karierę artystyczną. Hanka Skarżanka, Igor Śmiałowski, Irena Maślińska (Dutkiewicz), Mincerówna (Czyżowska), siostry Wrońskie... Wśród członków zespołu tanecznego znalazłem się i ja. Nie zapomnę prób mazura i zbójnickiego tańczonych w cztery pary, po których obolałe mięśnie udowe utrudniały powrót do domu.

Teatr nasz, w który włożyliśmy tyle zapału, pracy i nadziei, nie dożył jednak swej premiery Program nie został zatwierdzony przez władze, którym nie zależało na stwarzaniu polskiej

---

<sup>3</sup> Stanisław Kazimierz Hiller od 1929 r. profesor USB kierujący Katedrą Histologii i Embriologii, dwukrotnie dziekan i prorektor, działający w czasie wojny w tajnym nauczaniu, po wojnie prof. Akademii Medycznej w Gdańsku.

<sup>4</sup> Józef Maśliński krytyk literacki i teatralny, poeta, reżyser, karykaturzysta, współzałożyciel „Żagarów”, redaktor „Kolumny Literackiej” w „Kurierze Wileńskim”, także pisma „Comoedia”.

<sup>5</sup> Stanisław Dziegielewski muzykolog, podczas okupacji współpracował w Wilnie z Teatrem Komedii Muzycznej i Polskim Teatrem Dramatycznym.

placówki kulturalnej. Bakcyl jednak twórczości artystycznej został zaszczepiony w wielu członków jego zespołu.

Szukając dorywczych zajęć, które by pozwoliły na przeżycie próbowałem wykorzystać swe umiejętności rysownika-karykaturzysty. Krążyłem po kawiarniach z notesem w rękę, siadałem przy stolikach zapewniających dobre pole obserwacji i łowiłem typy na papier. Dawało mi to spory zarobek. Wartość złotówki w stosunku do litewskiego lita spadła dziesięciokrotnie, toteż trzeba było sporo wysiłku by zarobić na utrzymanie. Niestety, Litwini, którzy stanowili obecnie trzon bywalców kawiarnianych, nie mieli poczucia humoru. Uważając karykaturę za obrazę osobistą nie szukali w niej miłej atrakcji. Padały często pod moim adresem niedwuznaczne epitety – toteż zerwałem szybko z tym sposobem zarobkowania.

W tym czasie zorganizowany został tzw. Komitet Pomocy Ofiarom Wojny, kierowany przez niezwykle zdolnego specjalistę onkologa prof. Kazimierza Pelczara (zastrzelony później przez Niemców jako jeden z zakładników), który wykazał wielką aktywność w udzielaniu pomocy Polakom, zwłaszcza tym, którzy wskutek działań wojennych znaleźli się na terenie Wilna bez środków do życia. Prof. Pelczar szczególnie gorąco troszczył się o los młodzieży akademickiej. Wiosną 1940 roku problem młodzieży stał się szczególnie trudny, ponieważ władze litewskie zabroniły zatrudniania jej na terenie Wilna, a zamieszkiwanie w obrębie miasta stawało się dla niej niebezpieczne.



*Prof. Kazimierz Pelczar.*



## „Kółchoz ogrodniczy” w Wace

Komitet Pomocy Ofiarom Wojny rzucił inicjatywę zorganizowania w okolicach miasta szeregu ośrodków ogrodniczych dla zatrudnienia młodzieży. Jeden z ośrodków powstał w Wace, w byłym majątku hr. Tyszkiewicza. Kierownikiem robót został student rolnictwa – Tolek Daszkiewicz. Zgrupowanie stanowili nie tylko studenci Wydziału Rolniczego, lecz także innych Wydziałów, zupełnie dalekich od pracy na ziemi, jak np. Wydziału Humanistycznego, Matematycznego lub Prawa, a nawet Medycyny.

Wydzierżawiono 5 hektarów ziemi dla założenia uprawy warzyw. Koszty zakupienia nasion i sadzonek oraz wyżywienia pracowników w pierwszym okresie robót wiosennych pokrył Komitet Pomocy Ofiarom Wojny. Zwrot kosztów przewidywano po zebraniu plonów, których część miała zostać rozdzielona pomiędzy zatrudnionych studentów. Jako kierownik grupy byłem odpowiedzialny za zaopatrzenie, dyscyplinę pracy, sprawy organizacyjne i rozliczenia finansowe. Na mieszkanie zajęliśmy jeden z baraków fornalskich, zbudowaliśmy prycze, ułożyliśmy na nich sienniki wypchane słomą, w kuchence dziewczęta przygotowywały posiłki pełniąc kolejno dyżury. Dobra wola i upór pozwoliły im pokonać trudności, nauczyły się piec chleb i gotować proste, ale posilne zupy.

Utrzymanie odpowiedniego nastroju w grupie nie było łatwe. Przypadkowo dobrana gromadka składała się z ludzi nie zaprawionych do fizycznego wysiłku; z powodu niejednakowego przykładania się do pracy dochodziło do sporów, a największe żale wylewano wieczorem po powrocie do baraku. Bractwo zmęczone trudami wytykało bezczynność tym, którzy niezbyt się przykładali do pracy. Tolek Daszkiewicz, przemily brodac z twarzą leśnego dziadka, rozładowywał nastrój żartem i kpina, ja również robiłem co mogłem, by bractwo utrzymać w nastroju. Mimo to jednak nadszedł punkt kulminacyjny... sadzenie kartofli. Brak konia i narzędzi zmusił kierownictwo fachowe do decyzji sadzenia kartofli „pod łopatę”. Ograniczo-

na ilość nawozu zmuszała do maksymalnego oszczędzania tego cennego produktu. Decyzją Tolka należało nawóz rozrzucić rękami do dołków, rozdrabniając go uprzednio palcami... Nie każdy student filozofii, prawa czy medycyny z zapalem zabierał się do tej pracy... Delikatne panienki z uczuciem wstrętu chwyciły końcami palców złocisty skarb, rozrywając go jak pierze i usiłując ująć raczej więcej słomy ze zrozumiałych powodów. Tolek, którego błękitne oczka kryły się w zmarszczkach rumianych policzków, z lubością rozdzielał bryły nawozu, wchlapując do jamek odmierzone równo co do grama porcje...

Kiedy po przywiezieniu mięsa z Landwarowa znalazłem się na polu posypały się na moją głowę wyzwiska... „Dobrze mu tam kierownikowi... w papierkach siedzieć i rozkazywać, a niechby spróbował... jak sprawiedliwie to sprawiedliwie...” Ujęty ambicją i czując zagrożenie autorytetu kierownika z uśmiechem na ustach stanąłem do pracy... Nawóz fruwał w mych rękach, pracowałem do wieczora. Autorytet został zachowany... Wkrótce i sadzenie zostało zakończone... a z nim zarządzona przerwa w pracy w oczekiwaniu aż rośliny wzejdą.

Codziennie rano po śniadaniu jechałem rowerem 7 km do Landwarowa po produkty dla 20 osób. Ładowałem je do plecaka i wracałem ścieżką obok polnej drogi do Waki.

Nadszedł okres pielenia a z nim nowe kłopoty. Nasi rolnicy narzucali tak duże tempo w pracy, że prawnicy i medycy, i astronomowie nie mogli nadążyć i wykonać normy. Nie było łatwo utrzymać w wielu sytuacjach równowagę nastrojów w zespole. Tolek był niezrównany. Uśmiechem, drwiną, żartem i niezwykle koleżeńską postawą zjednał wszystkich i umiał wszystkim waśniom zapobiec. Starłem się być mu w tym jak mogłem pomocny.

Tymczasem nacisk władz administracyjnych litewskich stawał się coraz większy... Wiadomości z Wilna napływały coraz bardziej groźne. Litwini rozszyfrowali cele Komitetu Pomocy Ofiarom Wojny, uznali za niebezpieczne skupiska młodzieży studenckiej w utworzonych obozach i postanowili je zlikwidować. Najpierw cofnięto dotacje pieniężne.

Zwołaliśmy „naradę produkcyjną” zespołu, na której przedstawiłem sytuację. Postanowiliśmy podzielić gromadę na dwie grupy. Mężczyźni mieli wystarać się o pracę zarobkową w okolicy i za zarobione pieniądze utrzymywać obóz. Dziewczęta w tym czasie miały się zająć pracą w ogrodzie. Podział płonów pozostawał zgodny z dotychczasową umową.

Tak więc ruszyliśmy do prac różnych. Część kolegów została zatrudniona przy budowie drogi. Tolek rozbijał młotem kamienie do budowy szosy, inni kopali rowy, ja znalazłem pracę jako *geležinkelio dorbiutukas* – przy budowie kolei w Trokach. Była to praca akordowa. Z wysokiej piaszczystej skarpy ładowaliśmy piasek do wagoników, pchaliśmy wagoniki kilkadziesiąt metrów na nasyp, na którym miały być ułożone szyny kolejowe. Niełatwa to była praca. Stojąc obok 2-ch robotników, prostych ludzi z okolicznych wsi nawykłych do pracy fizycznej, musiałem solidnie robić łopata by im dorównać i nie zatrzymywać innych wózków, które się posuwały po tym samym torze.



Nowe Troki 1940 r. Mieszkańcy Landwarowa i grupa przybyszów z Wilna przy budowie linii kolejowej. Fot. S. Białożył.

Zaczynaliśmy pracę o godzinie 6 rano, kończyliśmy już o 14-ej. Staraliśmy się zrobić jak najwięcej wózków, by jak najwięcej zarobić – toteż po zakończeniu pracy czułem ją porządnie w kościach.

Szczególnie ciężki był okres, kiedy z powodu zepsucia się roweru zmuszony byłem iść do pracy pieszo. Wstawałem wówczas o godzinie 4 nocą i szedłem pod wygwieżdżonym niebem, wpatrzony w dyszel wielkiego wozu i odszukując na granatowym niebie znajomych konstelacji gwiazd. Po nocy orzeźwiałem się kąpielą w jeziorze Trockim i szedłem pieszo do Landwarowa, skąd z pełnym plecakiem żywności dla kołchozu sunąłem do Waki. Często do późnego wieczoru siedziałem przy rozliczeniach rachunkowych. Pieniądze były wspólną własnością, a wydatki musiały być oszczędne i dokładnie udokumentowane.

Zło jednak nie dało za wygraną, Wiadomości nadchodzące z Wilna były coraz bardziej posępne. Chodziły pogłoski o przymusowym wywożeniu sąsiednich obozów do Żagar. Najbliższy był o 25 km od Waki w kierunku Nowej Wilejki. Pewnej niedzieli postanowiłem sam dowiedzieć się czegoś konkretnego w tych sprawach. Wczesnym rankiem pomknąłem rowerem w określonym kierunku. Zza kępy drzew ujrziałem już zabudowania majątku, w którym pracowała podobna do naszej grupa studentów – kiedy zatrzymał mnie na drodze chłop z tej miejscowości. – „A wacpan dokąd?” Ano do obozu studentów. – „To nie jedź tam wacpan, a zawracajsie, bo ich już na samochody ładują”...

Pędziłem do Waki jak na skrzydłach. Za kilka godzin mogła i nas spotkać podobna sytuacja. Przyjechałem akurat na obiad... Nie chcąc wprowadzać paniki pozwoliłem bractwu zjeść obiad w nastroju pogodnym, po czym zarządziłem natychmiastową likwidację obozu.

Wszyscy uczestnicy grupy różnymi drogami i środkami lokomocji ruszyli z tobołkami do Wilna. Zostały ustalone dyżury. Co dzień kilka osób miało przyjeżdżać do pilnowania ogro-

du, codziennych prac przy podlewaniu pomidorów i ogórków. Tolek i Hermanowicze zostali głównymi plantatorami.

Wywiad litewski działał sprawnie. Nasze czujki wystawione na pagórku od strony Landwarowa alarmowały zbliżanie się milicjantów na rowerach. Ich czerwone czapki z bączkami były widoczne z daleka... Uciekaliśmy wówczas z pola... a zamieszkali w majątku gospodarze, zawsze stojący po naszej stronie, informowali milicję, że obozu już nie ma...

W ten sposób mijały tygodnie, a jesień i zbiór plonów przybliżał się coraz szybciej.

Pewnego dnia nadeszło do mieszkańców Waki zarządzenie o wielkim znaczeniu politycznym. Wszyscy mieszkańcy Litwy mieli obowiązek głosowania w sprawie przyłączenia Litwy do Związku Radzieckiego. Wypełnienie obywatelskiego obowiązku miało być oznaczone w dowodzie osobistym. Nie mogąc głosować w Wilnie musieliśmy złożyć swoje „*pažimejimo liudimas*” – dowody tożsamości na posterunku milicji w Landwarowie. Przyjechał po nie cywilny urzędnik komisariatu, dobrze nam znajomy z polakożerczego do nas stosunku.

Jakież było nasze przerażenie, gdy w odebranych dokumentach znaleźliśmy pieczętkę zameldowania ... w Żagarach.

Litwa została Republiką Radziecką... a władze administracyjne litewskie prowadziły swoją politykę antypolską. Oburzony do głębi, czując się odpowiedzialnym za losy grupy, pomknąłem do Landwarowa – by wyjaśnić sprawę w samym gnieździe os.

Przypadek zrządził, że spotkałem konfidenta na dworcu w Landwarowie. Zatrzymałem go i tak go „zrównałem” słownie, że przywołał dwóch milicjantów, którzy mimo moich sprzeciwów wzięli mnie pod rękę i zaprowadzili do komisariatu. Czerwony z oburzenia Litwin przedstawił mnie we właściwym świetle. Zdecydowałem się na obronę kontratakiem. Zdecydowanie i twardo zarzuciłem im podły podstęp, wykorzystanie naszej obywatelskiej postawy dla swoich politycznych celów,

które na pewno nie są zgodne z polityką Związku Radzieckiego, w którym wszyscy obywatele mają równe prawa...

– Teraz nie wy będziecie nami rządzić – krzychałem w zapale, aż twarz komendanta posterunku stała się liliowa z wściekłości.

Konfident był błądliwy i broda mu się trzęsła.

– My jesteśmy robotnikami rolnymi i potrafimy bronić naszych praw! A do Żagar nie pojedziemy...

Wyszedłem z posterunku trzasnąwszy drzwiami... Nikt mnie nie zatrzymał.

Do Żagar nie pojechaliśmy. Wkrótce rozporządzenie o wymianie dowodów tożsamości uczyniło tę sprawę nieaktualną. Plony zostały zebrane, a rodziny nasze zaopatrzone na zimę w kartofle i buraki. Sprawiedliwy podział przeprowadzili po gospodarstwu Tolek z Hermanowiczami.



Przyłączenie Litwy do Związku Radzieckiego zrównało prawa Polaków zamieszkałych w Wilnie z innymi narodowościami. W obecnej sytuacji nie mogliśmy być narażeni na ataki szowinistyczne Litwinów. Sytuacja polityczna nie wskazywała na szybkie zakończenie wojny. Niemcy zajęły Francję, Norwegię, trwała bitwa powietrzna nad Londynem.

## **Dokończenie studiów w Kownie**

Zbliżała się pora, w której zwykle rozpoczynał się rok akademicki. Z grupą studentów dwóch ostatnich lat medycyny zaczęliśmy rozważać możliwości zakończenia studiów. Możliwości były dwie: Lwów i Kowno. Część studentów znających język ukraiński zdecydowała się wyjechać do Lwowa. Wstępne wiadomości uzyskane u rektora Uniwersytetu Witolda Wielkiego w Kownie – dopuszczały możliwość zakończenia studiów na Wydziale Lekarskim pod warunkiem powtórzenia ostatniego

roku dla studentów tzw. XVI-go trymestru, po którym uzyskaliśmy absolutorium w USB.

Nie było innego wyjścia. Przewidywaliśmy wiele trudności. Obce miasto, wrogi stosunek Litwinów, brak znajomości języka litewskiego, trudności mieszkaniowe i brak pracy zarobkowej... Istniały jeszcze ponadto opory natury politycznej... Niektórzy z naszych profesorów byli wręcz przeciwni kończeniu studiów u tych, którzy zamykając Uniwersytet Wileński dali niezbity dowód swej wrogości w stosunku do Polaków.

Rozumowaliśmy inaczej. Mieliśmy za sobą pięć lat studiów uniwersyteckich, które nie przyszły nam łatwo. Wielu spośród nas studiowało o własnych siłach z trudem utrzymując się ze stypendium, korepetycji lub dorywczych prac zarobkowych. Wydłużenie rocznej przerwy w studiach mogło nas oderwać od dyplomu lekarskiego na długie lata, a może na zawsze. Należało wykorzystać szansę – nie narażając godności Polaka – odwrotnie, podkreślając odrębność swej narodowości i żądając dla niej praw równych zgodnie z konstytucją republiki radzieckiej, którą obecnie zamieszkiwaliśmy nie czując się jej obywatelami.

W Polsce, która odzyska swą niepodległość, lekarze będą potrzebni... tylu ich zniszczyła wojna i okupacja.

Decyzja zapadła. W listopadzie 1940 r. z grupą około 100 studentów zajęliśmy kilka wagonów na trasie Wilno – Kowno.

Popłynęły przez okna wagonu polskie piosenki: te studenckie – te żołnierskie – te nasze... Konduktorzy Polacy nie pytali o bilety, salutowali z uśmiechem.. Kowno przyjęło nas zimą. Pokryte śniegiem ulice i domy wiały chłodem. W cieniach studenckich paltocikach szczękaliśmy zębami.

Pierwszy dach nad głową znaleźliśmy w lokalu Polskiego Czerwonego Krzyża. Organizacja ta od roku 1939-go tj. od napaści Niemców na Polskę prowadziła cichą akcję pośredniczącą w przeczucaniu Polaków z Polski na Zachód, udzielała schronienia licznym uchodźcom z Polski, miała szerokie kontakty z Polakami – właścicielami wielu majątków ziemskich w pobliżu Kowna i na Żmudzi – znanych ze swego patriotyzmu i oddania

sprawom Polaków. W majątkach tych przechowywano oficerów polskich, młodzież studencką, która uciekała z Żagar, Polaków z Wilna, zagrożonych wywiezieniem w głąb Rosji. Wszystkim znane tu było nazwisko pani Koreywo<sup>6</sup>, osoby niezwykle społecznej o szerokich kontaktach i możliwościach.

W budynku Polskiego Czerwonego Krzyża rolę głównego opiekuna pełniła „Ciocia Wala” (Daynowska) z sercem na dłoni i potokiem serdeczności w ustach. Rozwierała ona szeroko podwoje swej kuchni udostępniając ją zgłodniałym studentom, tuliła ich do swego szerokiego łona, wzdychała nad ich niedolą i wychodziła z siebie, by zapewnić im możliwość przeżycia.

Dzięki niej uzyskaliśmy pierwsze kontakty z mieszkańcami w Kownie rodzinami polskimi, które nam były potrzebne dla znalezienia pracy. Wspólnie z Józkiem Stasiakiem przezornie zabraliśmy z Wilna siekierę i piłę z gotowym planem zarobkowania. Przed zimą przed każdym domem na peryferiach Kowna leżały stosy drzewa opałowego. O „*pilszczyków*” nie było łatwo.

Bez względu na pogodę każdego popołudnia piłowaliśmy z Józkiem sęgi drzewa, kierowani od jednej polskiej rodziny do drugiej. Przedpołudnia spędzaliśmy na wykładach. Do pracy fizycznej byliśmy już zaprawieni, mimo to codzienna porcja kilku metrów drzewa ze zniesieniem do piwnicy lub ułożeniem w szopie wymagała sporej ilości kalorii, toteż szczególnie ceniliśmy te wieczory, w których po pracy częstowano nas kolacją.

Zadowoleni, choć często w przemoczonych kurtkach i „chlupiących” butach, wracaliśmy pod dach „Cioci Wali” – na noc. A tu koncert urządziły nam pluskwy, które zagnieździły się w pryzkach po setkach przygodnych lokatorów. Wierciliśmy się przez noc całą czując pod kocem słodki zapach rozgniatanych

---

<sup>6</sup> Joanna Koreywo-Mackiewiczowa od września 1939 do czerwca 1940 pracowała w Komórcie Polskiej przy Litewskim Czerwonym Krzyżu udzielając pomocy uchodźcom z Polski i internowanym wojskowym.



insektów. Zasypialiśmy nad ranem, gdy napęczniałe draństwo znikало w szparach desek... i kiedy czas już było iść na zajęcia kliniczne.

Stosunki na uniwersytecie układały się nienajgorzej. Profesorowie Wydziału Lekarskiego znali język polski. Niektórzy z nich byli nawet kolegami z ławy uniwersyteckiej naszych profesorów, których mile wspominali. Chętnie zgodzili się na naszą prośbę poświęcać 15 minut po wykładzie na streszczanie wykładów w języku polskim. Do tych należał prof. ginekologii i położnictwa Mażylis kolega prof. Michejdy<sup>7</sup>. Byli jednak między nimi szczególnie nieprzychylnie nastawieni do Polaków np. Sidarawičius (dermatolog), Oželis (medycyna sądowa) lub Gudawičius (interna).

Z kolegami Litwinami nie utrzymywaliśmy kontaktów. Nie znając języka litewskiego trudno było o kontakty, ci zresztą ustosunkowywali się do nas z wyższością. Wychowani przez Valdemarasa<sup>8</sup> w nienawiści do Polski – zadawnione urazy narodowe pogłębiane sprawą Wilna przejawiali odwracając się do nas plecami i zajmując miejsca po drugiej stronie sal wykładowych.

Kiedy w czasie jednego z wykładów narysowałem udaną karykaturę prof. Oželisa i puściłem ją w obieg po sali, jeden z kolegów Litwinów wziął ją z niesmakiem w dwa palce i położył na katedrze przed profesorem. Byłem pewien, że egzamin miałem już „z głowy” (załatwiony).

Minął okres prosperity związany z piłowaniem drzewa. Przyszła wiosna a z nią dni chude. Któręś dnia wracając z wy-

---

<sup>7</sup> Kornel Michejda chirurg, profesor USB w l. 1922-1939, organizator służby sanitarnej AK, pomagał ukrywającym się Żydom, w l. 1945-48 kierownik Kliniki Chirurgicznej w Gdańsku, potem prof. UJ i Akademii Medycznej w Krakowie, w l. 1950-53 był jej rektorem.

<sup>8</sup> Augustinus Valdemaras pierwszy premier Litwy w 1918 r., członek partii narodowej, w 1926 ponownie premier i minister spraw zagranicznych, w 1929 zwolniony z funkcji przez prezydenta Smetonę, w 1942 wywieziony do ZSRR gdzie zmarł.



Profesorowie Uniwersytetu Kowieńskiego: Gudavičius, Kuzma, Oželis.

kładów spotkaliśmy furmankę z meblami. W tym czasie sporo Litwinów zmieniało miejsce zamieszkania. Zaproponowaliśmy pomoc przy przenoszeniu mebli. Chwyliło. Zarobiliśmy 10 litów. Znaleźliśmy więc nowy sposób zarabkowania.

Twarde były kanty szaf i fortepianów, ale najgorsze były palmy w doniczkach trudne do uchwycenia w kilka osób, a zbyt ciężkie dla jednego. W wąskich klatkach schodowych łamały się liście, co zrywało burzę litewskich przekleństw nad naszą głową. Odpowiadaliśmy po polsku... *na ser ma ter*, czasem dopiero soczysta wiązanka w rodzimym ruskim języku była zrozumiana przez obie strony.

Postępy w nauce języka litewskiego były słabe. Kilka razy tygodniowo mieliśmy lektorat z tego języka. Do dyplomu obowiązywał egzamin z litewskiego. Był to język szczególnie trudny, nie miał bowiem związku z żadnym ze znanych nam języków europejskich. Okres 6-ciomiesięczny do opanowania był stanowczo zbyt krótki, zwłaszcza że w godzinach popołudniowych zajęci byliśmy często pracą zarobkową.

Praca i nauka wypełniały nam szczelnie dni. Wiadomości ze świata przynoszone najczęściej przez „Ciocię Walę” w formie sensacyjek nie były pocieszające. Od czasu do czasu w domu Czerwonego Krzyża zjawiali się do niej interesanci. Byli to przeważnie ludzie młodzi, o sylwetce wojskowej. Nocowali pod stosem pierzyn w pokoju „Cioci”, po jednej lub kilku nocach znikali równie tajemniczo. „Ciocia” była wtedy szczególnie podniecona, nawet zaniepokojona, załatwiała jakieś sprawy w mieście. Wracła z wypełnioną torbą. Nawet zainteresowanie nami zmniejszało się wówczas na korzyść nieznajomych. W określone dni niepokój „Cioci” zwiększał się, wyglądała przez okno na ulicę; wiedzieliśmy, że oczekuje przybycia nowego nieznajomego. Łatwo było się domyśleć, że zajmowała się nie tylko pokątnym handlem słoniną.

Wiosną 1941 roku skontaktowała mnie Zocha Wierzbicka z młodym Polakiem z Litwy. Zależało mu na spotkaniu z grupą polskich studentów. Energiczny, pewny siebie z pełnym zaufaniem zwrócił się do mnie z propozycją współpracy z ZWZ<sup>9</sup>. O formach tej współpracy miałem się dowiedzieć



*Zofia Wierzbicka.*

<sup>9</sup> ZWZ (Związek Walki Zbrojnej) powstał 8 listopada 1939 r. w Paryżu uchwałą Rady Ministrów. W lutym 1942 został przemianowany na Armię Krajową.

później. Oczywiście przystałem na propozycję obiecując mu skooptować kilku kolegów i koleżanek potrzebnych do sieci organizacyjnej.

W miarę naszego zapoznawania się z życiem Kowna, z samym miastem i z jego mieszkańcami, warunki naszego pobytu ulegały zmianom na lepsze. Wszystkie koleżanki i część kolegów znalazły pokoje w mieście. Mniej lub bardziej wygodne, zwykle były to tzw. „kołchozy”, zamieszkiwane przez kilka osób, w których każdą zdobytą żywność wkładano do wspólnego garnka. Zdarzało się, że akurat w porze obiadowej wpadaliśmy do takich kołchozów – zupełnie przypadkiem lub w sprawie wypożyczenia książki – byliśmy wtedy zatrzymywani przez koleżanki na talerz fasoli, na kaszkę lub talerz gorącej zupki.

Józek Stasiak przeniósł się również z lokalu Czerwonego Krzyża na prywatną kwaterę, a jego pokój z osobnym wejściem szczególnie odpowiadał warunkom zadań specjalnych. On i szereg innych kolegów krzatali się koło tych spraw. Mówiliśmy o nich niewiele – lecz wiązały nas one tym większą przyjaźnią i zaufaniem. W akcjach przeprowadzanych przez ZWZ potrzebne były fikcyjne dokumenty. Naszym zadaniem było zbieranie wzorów pieczęci urzędów litewskich w Kownie.

W tym czasie w Wilnie trwała nadal akcja masowego wywożenia rodzin polskich w głąb Związku Radzieckiego. W pierwszym okresie wojny, w roku 1939 r. wywożono rodziny oficerów Wojska Polskiego, policjantów, wyższych urzędników, właścicieli dużych sklepów, wśród nich zdarzało się widzieć również rodziny żydowskie, chociaż znaczna część Żydów przemasowała się na czerwono i według zgodnej opinii im zawdzięczało wiele rodzin przymusowy wyjazd na Syberię lub do Kazachstanu. Rodzinom tym pozwalano zabrać tylko ubranie w skromnych tobołkach lub walizach i narzędzia do pracy.

Akcja przesiedlania objęła również mieszkańców miasteczek i wsi. Po ogłoszeniu Litwy republiką Związku Radzieckiego akcja przesiedlania trwała nadal, w kolejności rozpoczęto wywozić pracowników naukowych, profesorów uniwersytetu

i innych. Trudno było ustalić kryteria, którymi ustalano decyzję przesiedlenia.

W obawie o losy najbliższej mi wówczas po matce osoby Wandy Dziewulskiej, córki profesora Władysława Dziewulskiego, astronoma, człowieka o niezwykłych zaletach charakteru, szanowanego przez studentów wszystkich ugrupowań politycznych – zawarłem z nią ślub cywilny. Z moim proletariackim pochodzeniem i lewicującą przeszłością nie bałem się trafić na czarną listę.

Faktu tego nie ujawniałem przed kolegami, odnotowany był tylko w moich dokumentach, gdzie w rubryce stan cywilny figurowało *pavedno tojas* – żonaty. Wanda po powrocie ze Żmudzi, gdzie znalazła pracę w majątku pp. Krzyżewiczów jako pomoc domowa, dzieliła ze mną losy spółdzielcy produkcyjnego w Wace – po czym została przy rodzicach wraz z siostrą



Wanda Dziewulska i Tadeusz Ginko. Zdjęcie z okresu narzeczeńskiego.

Anielą magistrem astronomii, która w przyszłości miała odegrać piękną rolę w pracy podziemnej. W Wilnie przebywała również moja matka i siostra Władysława studentka Wydziału Sztuk Pięknych.

W maju 1941 uzyskałem absolutorium. Zakończyły się wykłady. Rozpoczęliśmy składanie egzaminów dyplomowych.

Był to okres szczególnie ciężki. Ze względu na trudności utrzymania się w Kownie koledzy po IV roku i znaczna część kolegów po absolutorium wyjechała do swych domów, skąd dojeżdżała na egzaminy do Kowna.

Część kolegów pozostała ze mną w Kownie. Uczyliśmy się grupami niezwykle forsownie, jakby w przeczuciu wypadków, które się miały wydarzyć.

Najłatwiejszym sposobem zarobkowania w tym okresie był handel – a właściwiej mówiąc przemyt. Różnice cen między niektórymi produktami w Kownie i w Wilnie były znaczne. Zwłaszcza dotyczyło to tytoniu i papierosów. Jeden „transport” koleją (nota bene przeważnie na gapę) walizeczki wyładowanej papierosami dawał zarobek umożliwiający dwutygodniowe przeżycie w Kownie, toteż raz na 14 dni widziałem swoich najbliższych powiadamiając ich za każdym razem o kilku zdanych egzaminach.

Egzaminy przyjmowano od nas w języku polskim. Profesorzy zadawali pytania w języku litewskim – myśmy odpowiadali w języku polskim i nieporozumień nie było. W miesiącu czerwcu miałem za sobą już osiem egzaminów dyplomowych, gdy nadszedł huragan. Niemcy zaatakowały Związek Radziecki.

Nad miasto nadleciały samoloty z czarnym krzyżem na skrzydłach. Spadły bomby. Przypomniała mi się podobna sytuacja jak w 1939 roku. Niebo było wtedy równie wysokie i błękitne.

Ulice Kowna opustoszały. Strzelanina na ulicach nie pozwalała na opuszczanie mieszkania. Pełni niepokoju o losy najbliższych w Wilnie czekaliśmy, zanim fala frontu przeleże się przez miasto. Przez kilka dni było głodno. Spizarnia

„Cioci Wali” nie mogła wystarczyć dla wszystkich. Koleżanki z sąsiedniego kolchozu wydobyły resztki kaszy. Dzieliły się nią z wszystkimi. Żeby nie narażać się na niebezpieczeństwo, kilka nocy spaliliśmy na waleta nie opuszczając mieszkania.

Trzeciego dnia posiadane zapasy Anki Romanowskiej wyczerpały się. Zrozumieliśmy, że czas wykazać inicjatywę. Rysiek Jaworski, posiadający najlepsze wyszkolenie wojskowe (dawny student CWSan), wymknął się do miasta pierwszy. Sklepy były zamknięte. Na ulicach niewiele przechodniów. Był wieczór. Nie minęła godzina jak wrócił, niosąc pod pachą prawdziwą kurę z ukręconą już głową. Nie pytaliśmy o szczegóły udanego polowania. Narada stwierdziła brak drzewa potrzebnego do ugotowania zwierzyny. Za chwilę było i drzewo – zdobyliśmy je z niedaleko stojącego płotu.

Niezapomniane chwile! Co to była za uczta! Pierwsza i ostatnia kura. Smakowała wyśmienicie, choć była na pewno litewska i faszystowska, inaczej by wolno nie mogła chodzić po ulicy.

Wreszcie strzelanina ucichła. W mieście jednak wrzało. Trwały jeszcze rozgrywki polityczne między stronnikami Niemców – było ich zadziwiająco wiele – i zwolennikami Związku Radzieckiego.

Przemykałem się akurat obok cmentarza otoczonego tłumem ludzi. Odbывał się tam uroczysty pogrzeb Litwinów poległych z winy komunistów. Za żelaznym ogrodzeniem cmentarza odbywała się egzekucja tych, którym zarzucono winę śmierci „bohaterów”. Zabijano ich łopatami i łomami żelaznymi. Akt zemsty został dokonany. Armia hitlerowska zyskała nowego sprzymierzeńca w walce przeciw komunizmowi. Naród, który okrucieństwem dorównał bestialstwu oddziałów SS.

Sytuacja nie pozwalała nam – Polakom przebywać w obrębie miasta. Nacjonalistyczny szowinizm doszedł ponownie do władzy. Reszta kolegów rozpieczęła się w kierunku Wilna. Nieliczna garstka zdecydowana nie rezygnować z dyplomu postanowiła w ukryciu przeczekać okres samosądów.

Nie wiem, za czyją radą wymknęliśmy się z miasta do pobliskiego majątku, będącego własnością biskupa litewskiego. Dostaliśmy tam pracę jako robotnicy przy pracach w ogrodzie. Sam biskup mieszkał w pałacu. Przez cały dwutygodniowy okres pracy nie ujrzelśmy Jego Ekscelencji. Sądząc po pomniku z jego postacią, ustawionym przez samego gospodarza w parku pałacowym, musiała być to osoba mądra, na ramieniu bowiem kamiennej jego postaci siedziała kamienna sowa, symbol wieczysty mądrości.

Po niebie srebrnymi smugami leciały eskadry samolotów w kierunku na wschód. Miarowym krokiem szedłem przez rozległe pole w głębokiej bruzdzie pulchnej ziemi pchając przed sobą wypielacz. Rzędy buraków cukrowych rozwierały się przede mną szerokim wachlarzem. Miarowym ruchem ramion odrzucałem z bruzdy chwasty... Słońce paliło plecy... Praca z przerwą obiadową trwała przez cały dzień do wieczora.

Nieodłącznym mym towarzyszem i przyjacielem w tym okresie był kolega z kursu Stach Tumilowicz. Zaprzyjaźniliśmy się w Akademickim Klubie Włóczęgów Wileńskich, do którego należeliśmy obaj; wiele razy dawał mi dowody serdecznej przyjaźni. Zdecydowany, energiczny, wyjątkowo zdolny, odpowiadający mi swym zaraźliwym optymizmem i umiejętnością organizowania życia nawet w największym prymitywie, podobnie jak ja zdecydował się nie zrezygnować z dyplomu.

Kiedy sytuacja w Kownie wydawała się już ustabilizowana, opuściliśmy gościnnie azyl wracając pod opiekuńcze skrzydła „Cioci Wali”. Szczęście nam sprzyjało. Jako absolwenci Wydziału Lekarskiego zatrzymaliśmy się na etacie stażystów w jedynym, najmniej atrakcyjnym w obecnej sytuacji politycznej, Szpitalu Żydowskim na oddziale położniczym.

Praca nasza miała wreszcie związek z zawodem lekarza. Z pasją pełniliśmy dyżury na porodówce, asystując do zabiegów operacyjnych, prowadząc dokumentację chorych w języku litewskim. Popołudnia i wieczory wypełnialiśmy intensywną nauką.



Okres ten był bogaty w nowe dla nas przeżycia. Zdobywaliśmy rycerskie ostrogi jako przyszli lekarze. Nie zapomnę nigdy dramatycznej sytuacji na sali porodowej, w której odegrałem niepoślednią rolę. Rodziła młoda, niezwykle piękna Żydówka. Poród był powikłany, przeciągał się, mąż jej zaglądał do sali porodowej przez uchylone drzwi doskakując co chwila do ordynatora i rozpaczliwie żądając od niego zapewnienia, że życiu rodzącej nie zagraża niebezpieczeństwo. Poród okazał się bliźniaczy. Konieczna była pomoc ręczna. Wydobyty zręcznie przez ordynatora chłopak był w zamartwicy bladej. Nie wykazywał cech życia. Podczas gdy operator zajmował się wydobyciem drugiego dziecka, pierwsze ułożono na stole rezygnując z jego ratowania.

Zdecydowałem się na akcję ratunkową. Przez długi okres czasu wykonywałem sztuczne oddychanie wszystkimi znanymi mi z teorii sposobami.. Dziecko nie wykazywało cech życia. Wreszcie po zastosowaniu polewania klatki piersiowej na zmianę zimną i gorącą wodą i parokrotnym przygięciu nóżek do klatki piersiowej dziecko wykonało pierwszy głęboki wdech. Jeszcze kilka razy ugniotłem z boków klatkę piersiową i o dziwo... rozległ się krzyk dziecka! Twarzyczka jego zaczerwieniła się, stwardniał brzuszek, zjędrniały mięśnie kończyn. Dziecko żyło.

Oddałem je akuszerce. W międzyczasie wydobyto drugie dziecko również w głębokiej zamartwicy. Nie ratowano go. Dziś rozumiem dlaczego. Jaki mógł być los żydowskich dzieci, jaki los matki. Ordynator lekarz – Żyd zdawał z tego sprawę. Ja ratowałem, nie przeszkadzano mi. Po upływie dalszych dziesięciu minut intensywnego sztucznego oddychania i ugniatania klatki piersiowej i drugie dziecko ożyło.

Był to jeden z najpiękniejszych dni w moim życiu.



Kadry naukowe Wydziału Lekarskiego uległy radykalnym zmianom. Usunięto ze stanowisk kierowniczych profesorów

o zabarwieniu ideowym lewicowym, również tych, którzy wyraźnie sprzyjali studentom – Polakom.

Pierwszy egzamin po przerwie, z laryngologii, miał określić nasze szanse w uzyskaniu dyplomu. Padły pytania w języku litewskim. Po kilku zdaniach potknąłem się i patrząc zdecydowanie w oczy profesorowi przeszedłem na język polski. Nie przerwał mi. Egzamin zdałem. Podobnie i Stach Tumiłowicz. Otucha wstąpiła w nasze serca.

W tym okresie, podobnie jak w poprzednim, utrzymywaliśmy się z przemytu. Różnice cen między Kownem a Wilnem wzrosły, ale i kontrola po drodze stała się ostrzejsza. Niebezpieczeństwo powiększał fakt, że razem z papierosami i tytoniem przewoziliśmy materiały konspiracyjne.

Pewnego dnia zawitał do Kowna specjalista niecodzienny. Fotograf, któremu dostarczyliśmy potrzebne mu dokumenty, nie miał sylwetki konspiratora. Wysoki, chudy, z wieżowatą czaszką pokrytą rudymi włosami, z okularami na wypukłych



*Stanisław Kiałka.*

oczach krótkowidza pozwalał zapamiętać doskonale swą sylwetkę. Nie znaleźmy go bliżej. Po 20 tu latach prawie dowiedziałem się, że miał pseudonim „Bolesław”<sup>10</sup> i był jednym z najdzielniejszych pracowników ZWZ, a później AK.

Zabrał się on do pracy w sposób fachowy. Miał ze sobą aparaty fotograficzne, reflektory, zdjęcia wykonywał z precyzją – zwracając uwagę nawet na znaki wodne na papierze dowodów tożsamości.

<sup>10</sup> Chodzi o Stanisława Kiałkę najbardziej aktywnego działacza wileńskiego podziemia. Prowadził sprawy kwatermistrzowskie, finansowe, organizował komórki dywersyjne, bazę zaopatrzeniową Okręgu Wileńskiego AK w Warszawie, grupy techniczne itd.

Pewnego razu zabrałem ze sobą w drodze z Kowna do Wilna blaszane pudełko pełne podrobionych z ręcznie pieczętek. Miałem je zamelinować w Wilnie. Pudełko włożyłem między paczki z tytoniem i z walizeczką w jednej, teczką w drugiej ręce wyładowałem bez przygód na dworcu w Wilnie.

Na peronach panował szczególnie niepokój. Żandarmeria niemiecka i milicja litewska przeprowadzały przy wyjściu z dworca kontrolę bagaży! Ani ja, ani koleżanki, z którymi jechałem, nie mieliśmy biletu. Mimo późnego wieczoru, jeden z kolegów ze sporym bagażem zdecydował się wysiąść na następnej stacji. Połączone to było z dużym ryzykiem ze względu na zbliżającą się godzinę policyjną.

Zdecydowałem na atak frontalny. Krótkie instrukcje koleżankom i pierwszy z walizką i teczką w obu rękach i starym biletym kolejowym znalezionym w kieszeni ruszyłem w najgęstszy tłum, nie chcąc zostać na peronie jako jeden z ostatnich. Powiększając ścisk w wąskim gardle przejścia między kontrolerem biletów a szpalerem żandarmów i tajniaków wykręcałem się dokoła osi udając bezradność i nie zatrzymując wzroku na twarzach kontrolerów gestem i bełkotem (w zębach trzymałem bilet mając ręce zajęte) dawałem do zrozumienia, że bilety idących za mną koleżanek są u mnie. One zaczepione przez kontrolera wskazały gestem głowy na mnie, ja byłem już po drugiej stronie, tłum napierał. Wypchnięci przez tłum spotkaliśmy się już po drugiej stronie szpaleru. Pieczętki zostały uratowane. Przysłowiowy łut szczęścia uratował nas przed aresztowaniem.

Zbliżała się jesień. W wyścigu do dyplomu odpadli wszyscy koledzy z roku. Zostaliśmy sami ze Stachem Tumiłowiczem. Przed nami były jeszcze dwa ostatnie egzaminy. Z ginekologii i dermatologii.

W ostatnim dniu, już po zdaniu egzaminu praktycznego z chorób kobiecych, dowiedzieliśmy się o zmianie kierownika katedry. Zwolniony został prof. Mażyłis, a jego miejsce zajął docent o wiadomym nastawieniu politycznym – egzamin musiał być zdawany w języku litewskim.

Termin zmuszeni byliśmy przelożyć o miesiąc. Obaj zdaliśmy egzamin z wynikiem dobrym. To nie było łatwe. Pozostał ostatni najtrudniejszy próg. Prof. dermatologii Sidaravičius był znany ze swej nienawiści do Polaków. Dawał temu wielokrotnie dowody. Gdyby się dowiedział, że zdawany przez nas u niego egzamin jest ostatni – byłoby to równoznaczne z końcem naszej kariery lekarskiej. Na szczęście nie spodziewał się tego. Zgłosiliśmy się do niego na egzamin jako pierwsi z Polaków. Karty egzaminacyjne były indywidualne dla każdego przedmiotu. Przed egzaminem zapoznaliśmy się z rozpoznaniem u wszystkich chorych leczonych w klinice. Część z nich była na początku, część na końcu kuracji – toteż zmiany skórne u wielu z nich nie były typowe.

Profesor chodził od łóżka do łóżka i pytał nas o każdego chorego. Odpowiadaliśmy w języku litewskim, szczególną uwagę zwracając na opis stanu miejscowego. Przeszliśmy do ambulatorium. Podczas gdy kolegom Litwinom dawał do zbadania jednego chorego – my omówiliśmy chyba dziesięciu... „Nie zagiał!” – Wreszcie każdy z nas otrzymał jednego chorego z kiłą – leczenie której omówiliśmy z najdrobniejszymi szczegółami. Profesor ważył długo pióro w rękę. „*No gerai*” – (ano dobrze).

## Epizody okupacji niemieckiej

Egzamin z języka litewskiego był już formalnością. W listopadzie 1941 r. uzyskaliśmy dyplom lekarski, zaopatrzony w herb Litwy.

Największa bitwa o przyszłość została przez nas wygrana. Co dalej?

Zgodnie z zarządzeniem władz litewskich młodzi lekarze nie mogli być zatrudniani w Wilnie. Należało szukać miejsca na prowincji od wieków zaniedbanej pod względem opieki lekarskiej i higieny. Zarządzenie to miało również podłoże polityczne.



Vytauto Didžiojo Universiteto Rektorius, Senatas ir Profesorai skelbia, kad, ekstrordinariniam profesorui JULIJONUI GRAVROGKUI rektorijant ir ekstrordinariniam profesorui dr. JUOZUI MESKAUSKUI esant Medicinos Fakulteto Dekanu, TADAS GINKO, gimęs 1917 m. balandžio mėn. 2 d. Keiminių kaime, Musninkų valsčiuje, Vilniaus apskrityje, išėjęs visus Medicinos Fakulteto medicinos skyriaus mokslus, gerai išlaikęs visus egzaminus, 1941 m. spalio mėn. 15 d. įgijo medicinos gydytojo laipsnį. Tai Vytauto Didžiojo Universitetas laudija savo antspaudu, Rektorius ir Dekanas parašais.

Kaunas, 1941 m. lapkričio mėn. 3 d.

REKTORIUS *[Signature]*

L. S.

DEKANAS *[Signature]*

1941 m. spalio 15 d. Nr. 2226  
 Al. Rankos Eriškis, Vilniaus Nėtaras,  
 Laisvės Santarps Vilniaje, Gardinimo gatvė Nr. 30  
 atsiuntė *[Signature]*  
 Reikiant, kas laiška, kad *[Signature]*, tokiu būdu atsiunčia  
 ir atsiunčia Vilniaus Universiteto, patvirtinti kas kiti  
 tam patvirtinti.



*[Signature]*  
 Vilniaus Nėtaras

W Wilnie zgromadziła się spora ilość młodzieży. Stanowiła ona niepożądane ognisko zdolne do niepożądanych reakcji. Młodzież skupiała się w gromadki, część studiowała w tajnym nauczaniu zorganizowanym przez profesorów Uniwersytetu. Włączyłem się w ten nurt prowadząc ćwiczenia z histologii. Mikroskop ocalony przez prof. Hillera przenieśliśmy z jego mieszkania do uboższego mieszkania mojej matki przy ul. Kalwaryjskiej i stamtąd wędrowałem z nim z ulicy na ulicę, gdzie czekały na mnie grupki studentów.

Pewnego wieczoru zajęcia, które odbywały się w jednym z mieszkań studentów przy ul. Lwowskiej, zostały przerwane nagłym stukaniem do drzwi. Wpadł żandarm niemiecki, wściekle się rzucił do naszego pokoju i wymyślał na... szparę pozostawioną w oknie, przez którą światło elektryczne przedostawało się na ulicę. Obowiązywało zaciemnienie okien. Sześciu młodych mężczyzn przy stole z mikroskopem i rozłożonymi notatkami nie zwróciło jego uwagi. Ślepe wypełnianie rozkazów przez Niemców było dla nich bardzo charakterystyczne.

We wspomnianym mieszkaniu przy ul. Kalwaryjskiej siostra moja przechowywała Żydówkę, studentkę humanistyki, która zdecydowała się na ucieczkę z ghetta. Idka miała rysy wybitnie semickie. Jakież było przerażenie mojej matki, gdy pewnego dnia po powrocie z miasta zastała Idkę w domu w ożywionej rozmowie z oficerem SS. Na stole stały kieliszki z winem. Rozmowa prowadzona w języku niemieckim dotyczyła zagadnień literatury niemieckiej: Heine, Schiller, Sturm und Drang Periode... Niemiec był zdumiony i zachwycony znajomością języka i erudycją Idki. Sprawa się wyjaśniła, gdy na wejście matki Idka chcąc rozładować napiętą i groźną sytuację zwróciła się do niej z zapytaniem, czy mamy w domu narty. Po narty właśnie przyszedł Herr Sturmführer, zgodnie bowiem z zarządzeniem władz niemieckich mieszkańcy miasta mieli oddać wszystkim sprzęt narciarski potrzebny w czasie zbliżającej się zimowej ofensywy na Związek Radziecki. Matka przyniosła ze strychu parę moich starych nart bez wiązań, które się gdzieś

zapodziały. Oficer zabrał je, zasalutowował grzecznie i wyszedł z uśmiechem skierowanym w stronę zaczerwienionej Idki...

Była to jeszcze jedna ilustracja ograniczenia umysłowego Niemców. Myśl skierowana w jedną stronę nie dopuszczała u nich żadnych innych skojarzeń, a wykonanie określonego rozkazu nie pozwalało na odchylenie się od linii, nawet gdyby dawała realną korzyść zgodną z programem ideowym partii i wodza.

Nawiązując do przytoczonego wydarzenia, dalsze losy Idki były tak dramatyczne, a jednocześnie pełne romantycznych przygód, że nadawałyby się na kanwę osobnej powieści. Sytuację po wizycie oficera SS uznano jako sygnał ostrzegawczy. Idka była spalona. Poruszono właściwe sprężyny siatki



Podczas okupacji odbywały się w Wilnie wieczory literackie. W środku Prof. Konrad Górski.



*Kurs prowadzi architekt – Jan Borowski. Od lewej na ławce: Aniela Dziewulska, NN, Wanda i Tadeusz Ginko).*

organizacyjnej i Idka z utlenionymi włosami przemieniła się w Zosię K., żonę milicjanta zatrudnionego na terenie Białorusi. Zaopatrzona w odpowiednie dokumenty została wysłana poza granice Litwy na tereny tzw. Białorusi.

Rozległe tereny tzw. Białorusi (dawny powiat lidzki, Baranowicze, Nowogródek aż po Wilejkę powiatową na północy) znajdowały się już pod kontrolą sieci organizacyjnej ZWZ. Działały tu już oddziały dywersyjne „Wachlarza”<sup>11</sup>, a młodzież

<sup>11</sup> Specjalny oddział AK mający na wypadek powstania prowadzić działania osłonowe; przeprowadzał akcje dywersyjne wobec niemieckiej komunikacji, uwolnił aresztowanych z więzienia w Pińsku.



spalona w większych miastach szukała tam schronienia. Heniek K., śpiewak sceniczny, artysta amator, był jedną z wtyczek organizacyjnych w milicji białoruskiej. Bogu ducha winnemu kawalerowi przysłano nagle... żonę w osobie Zosi!, której nie znał nawet osobiście...

Trudno mi opisać szczegóły ich spotkania. Koledzy z milicji, wchodząc w położenie młodych małżonków, wydzielili im własny kąt w budynku posterunku z jednym, oczywiście, łóżkiem.

Idka potrafiła zdobyć serce Henia. Z wielkiej przygody narodziła się wielka miłość. Już jako małżeństwo przeżyli oboje Powstanie Warszawskie, potem zostali wywiezieni na roboty do Niemiec, skąd z powodu ciąży została zwolniona. Po wojnie osiedliła się w Zabrzcu z Heńkiem i śliczną córeczką Anią, ale to już całkiem inna historia.

## Na północno-wschodniej Wileńszczyźnie

Moje powiązania z podziemiem zadecydowały o szukaniu miejsca pracy daleko na wschodnich krańcach dawnej granicy Polski. Była zima. Trzaskający mróz. Józek Borkowski<sup>12</sup>, młody prawnik związany z siecią organizacyjną ZWZ, nie tylko wy starał się o odpowiednie kontakty, ale sprawił mi solidne buty z cholewami, bez których niemożliwa byłaby odległa podróż zimą.

Celem mojej podróży miała być Wilejka Powiatowa, gdzie miałem wystarać się o pracę w przychodni lekarskiej – a jednocześnie nawiązać kontakt z miejscową siatką dywersyjną

---

<sup>12</sup> Józef Borkowski, student prawa na USB, członek Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, podczas okupacji niemieckiej współredaktor gazetki podziemnej „Dla Polski”.

(sądę, że musiał to być jeden z oddziałów „Wachlarza” – nie zostałem w to wtajemniczony).

Wilejkę Powiatową znalazłem. Odbywałem tam w 1937 roku praktykę studencką – szefem moim był wtedy dr Kieturakis<sup>13</sup>, który zastępował dr Maciejewską dyrektora Szpitala i Ordynatora Oddz. Chirurgicznego.



*Praktyka studencka w Wilejce Powiatowej.*

<sup>13</sup> Zdzisław Aleksander Kieturakis w 1933 r. absolwent USB, asystent prof. K. Michejdy, w l. 1942-1944 ordynator oddziału chirurgicznego Szpitala Czerwonego Krzyża w Wilnie, doktor od 1938 r., aktywny członek ruchu oporu, od 1945 r. w Akademii Medycznej w Gdańsku: od 1949 profesor, przez 2 kadencje rektor.

Poza transportami wojskowymi armii niemieckiej nie było żadnych środków, które można by wykorzystać, by się dostać na tereny tak bliskie frontu.

Z dwiema walizami bagażu osobistego i paroma flaszkami wódki – zamiast bilonu – ruszyłem na rogatki. Zatrzymałem wóz ciężarowy Wehrmachtu. Za cenę wymienionego bilonu wgramoliłem się pod plandekę auta i pochowałem się między skrzyniami przed kontrolą żandarmerii. Zmarzłem piekielnie. Wyrzucono mnie kilka km przed Wilejką. Przez zasy py śniegu dobrnąłem do miasteczka i skierowałem się do plebanii – gdzie był punkt kontaktowy i gdzie miałem dostać dalsze instrukcje i pomoc.

Drzwi otworzyła mi babina, ksiądz był w szopie. Nie chcąc mieć świadka rozmowy nie czekałem aż go poprosi – poszedłem sam do szopy – księdza tam nie było – pod dachem drewnutni stał niegolony barczysty chłop w koszuli rozpiętej na piersiach, z zawiniętymi rękawami mimo 20° mrozu i rąbał drzewo. Spojrzał na mnie spod ściągniętych brwi i zagadnął krótko – A do kogo? Szukam księdza. – Jestem księdzem. A w jakiej sprawie? Wyłuszczyłem sprawę, odkryłem karty, prosiłem o pomoc w znalezieniu mieszkania.

– Nie masz tu co robić synu – rzekł ksiądz bez wahania. – Tu już jest wszystko spalone. Sieć cała aresztowana, wywieziona, zostałem sam i nie wiem, jak długo tu jeszcze pozostanę żywy. Każdy nowy na tym terenie jest osobą podejrzaną – zwłaszcza z tamtych (wskazał głową w kierunku zachodu) stron. Nie chcę cię nawet zatrzymywać na nocleg, bo uważam to za niebezpieczne. Uciekaj zaraz, już cię nie ma...

Rozgrzałem się szklanką herbaty, chwyciłem ciężkie walizy, pożegnałem dzielnego księdza i ruszyłem w stronę rynku. Miałem wyjątkowe szczęście. Tym razem kilka próżnych wozów ciężarowych jechało z frontu. Zziębnięty feldfebel przystał na transakcję. *Sznaps ist schnaps!* Ciężarówki rwały jak szalone po zaśnieżonej i oblodzonej szosie. Turlałem się z walizkami w ciężarówce. Strzelało płótno niedomkniętej plandeki. Wiatr

hulał po wozie. Godziny jazdy wlokły się. Późnym wieczorem znalazłem się w mieście, do domu dobrnąłem jeszcze przed godziną policyjną. W ten sposób zakończyłem pierwszy akt w akcji dywersyjnej za frontem...



Zanim się rozpoczął akt drugi, w lutym 1942 r. związałem się węzłem małżeńskim tym razem oficjalnie i uroczystie. Wanda zdecydowała się towarzyszyć mi w wędrówce na wschód. Pragnęliśmy gorąco, by odtąd drogi nasze już się nie rozeszły.



*Wanda i Tadeusz Ginkowie – zdjęcie ślubne. 15.02.1942 r.*

Tym razem zostałem skierowany do Świru, miasteczka odległego o 88 km od Wilna w kierunku półn-wschodnim i odległego o kilkanaście kilometrów od największego na Wileńszczyźnie jeziora Narocz. W miasteczku tym miałem objąć kierownictwo Ośrodka Zdrowia. Świr był małą miejsciną, położoną nad brzegiem wydłużonego jeziora, po przeciwnej stronie którego rozciągały się olbrzymie lasy, jeziora, mokradła, będące świetnym terenem do partyzantki.

Toteż oddziałów leśnych było tam coraz więcej. Były to oddziały partyzantki polskiej i w miarę przesuwania się na wschód radzieckiej, organizowanej przez Armię Radziecką na tyłach frontu. W okresie, w którym znalazłem się w Świrze, oddzia-

ły polskie liczyły kilka samodzielnych brygad AK. Najbardziej ruchliwe były brygady „Łupaszki”<sup>14</sup> i „Ronina”<sup>15</sup>, w okolicach Dziwieńszczyzny, a więc daleko na północy działał oddział „Wawrzeckiego”<sup>16</sup>. Rosjanie zajmowali tereny najbardziej zaludnione w okolicach jeziora Narocz. Nocą słychać było często jednostajny warkot samolotu krążącego nad tą okolicą. Z lasu wyrzucano rakietę, którą ustalano miejsce zrzutu. Oddziały partyzantki radzieckiej otrzymywały broń ze zrzutów, utrzymywały stałą łączność z oddziałami frontowymi, prowadziły akcję dywersyjną na zapleczu frontu. Oddziały polskie były kierowane przez oficerów Wojska Polskiego. W skład ich wchodziła młodzież z miasta, miasteczek i wsi, najczęściej spalona w pracy konspiracyjnej, mająca porachunki z Niemcami, którzy spalili ich wsie, zabili członków rodziny. Na rozległym obszarze Wileńszczyzny od Grodna i Nowogródka po Dziwieńszczyznę nie było podziału na AL czy AK. W jednym froncie przeciwko Niemcom wystąpiła młodzież z miast i wsi.

Zagadnienie współzycia oddziałów polskich z partyzantką radziecką nie było zagadnieniem łatwym. Polityka stalinowska na terenach Wilna i Wileńszczyzny po zajęciu tych terenów przez Armię Czerwoną w 1939 roku nie zjednała Związkowi Radzieckiemu przyjaciół. Masowe wywożenie rodzin polskich z miast, miasteczek i nawet wsi zwróciło przeciwko Rosjanom

---

<sup>14</sup> To pseudonim Zygmunta Szendzielarza, d-cy od 1943 r. 5. Wileńskiej Brygady AK walczącej ze wszystkimi formacjami okupantów: niemieckimi, litewskimi, sowieckimi, po 1944 r. kontynuującej walkę na terenie PRL-u z MO, UB, NKWD, KBW i WP, straconego w 1951 r.

<sup>15</sup> To pseudonim Longina Wojciechowskiego, ppłk. Strażaka, aktywnego działacza partyzantki na Wileńszczyźnie, od 1944 r. d-cy 4. Wileńskiej Brygady AK, w l. 1944-1947 internowanego w ZSRR.

<sup>16</sup> To pseudonim Kazimierza Krauzego, uczestnika kampanii wrześniowej, od grudnia 1940 r. aktywnego działacza ruchu oporu, d-cy 26. Ośrodka Dywersyjnego na Brześcu, następnie 85. Oddziału Leśnego, organizatora 23. Brygady Brzeskiej AK, d-cy 24. Brygady Brzeskiej AK, w l. 1944-1948 więźnia w ZSRR.

opinię miejscowej ludności. Młodzież bała się Rosjan – nie znając ich zamiarów.

Nie znamy jeszcze dokładnie przyczyn nieporozumień oddziałów partyzantki radzieckiej i polskiej sąsiadujących ze sobą na terenie Wileńszczyzny. Nieporozumienia te datowały się podobno już od 1941 roku, kiedy to powstał na Wileńszczyźnie pierwszy polski oddział leśny „Kmicica”<sup>17</sup>. Oddział ten liczący około 200-300 żołnierzy utrzymywał podobno kontakt z partyzantką radziecką. Niedalekie były nawet miejsca postoju obu oddziałów leśnych. Z niewiadomego powodu doszło do nieporozumienia między dowódcami obu ugrupowań. „Kmicic” zaginął – (czyżby wywieziony samolotem do Związku Radzieckiego), oddział jego uległ rozbiciu. Jednym z następców oddziału „Kmicica” był „Łupaszko”, którego brawura i samowolność stawiała nieraz w kolizji z oddziałami partyzantki radzieckiej. Zgodnie z linią ustaloną przez władze AK w Wilnie należało przestrzegać stosunków przyjaznych z oddziałami partyzantki radzieckiej.

Roboty zresztą było wyżej uszu dla wszystkich. Partyzanci radzieccy, posiadający materiał wybuchowy, zakładali miny na drogach, niszczyli linie kolejowe, palili składy i urządzenia przydatne Niemcom. Partyzantki polskie niszczyły i rozbrajały posterunki żandarmerii niemieckiej i litewskiej przede wszystkim po to, by się zaopatrzyć w broń, wykonywały akcje odwetowe za znęcanie się nad ludnością polską, utrudniały zdawanie kontyngentów narzuconych przez administrację niemiecką w poszczególnych powiatach, reprezentowaną przez Sonderführerów.

Niepisana umowa na Wileńszczyźnie między oddziałami polskimi i radzieckimi uznawała jako teren działania party-

---

<sup>17</sup> To pseudonim Antoniego Burzyńskiego, absolwenta USB, d-cy pierwszego oddziału partyzanckiego AK na Wileńszczyźnie, działającego owocnie w okresie III-VIII 1943 r., rozbrojonego przez „współpracujący” oddział sowiecki Markowa, który zamordował ok. 70 polskich partyzantów wraz z „Kmicicem”.

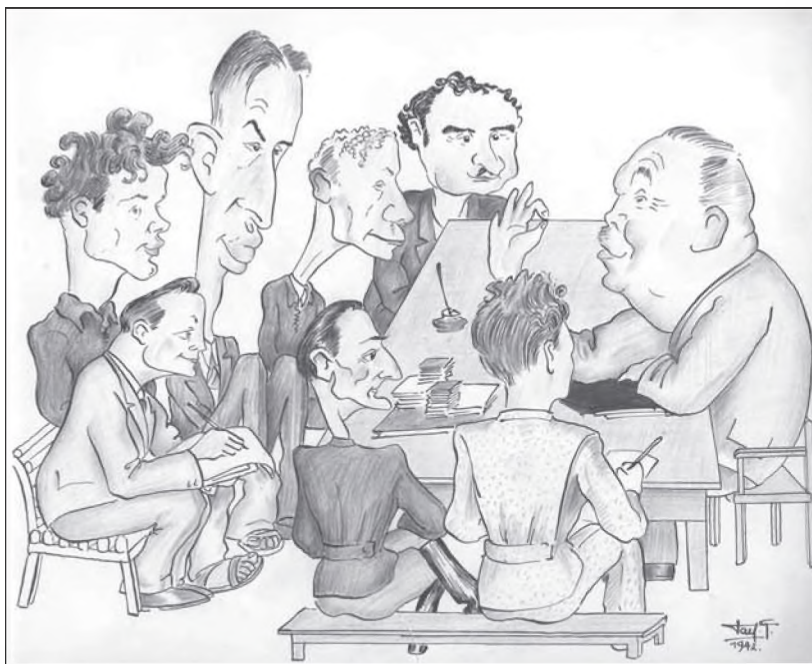
zantki radzieckiej okolice lasów nad Naroczą i Puszczy Rudnickiej. Oba ugrupowania wiedziały o sobie i działały zupełnie od siebie niezależnie.

Wróćmy jednak do sytuacji, którą zastałem w miasteczku.

Świr był typowym miasteczkiem powiatowym Wileńszczyzny. Liczył około 1000 mieszkańców. Biedne drewniane domki rozciągały się wzdłuż jednej ulicy nad brzegiem jeziora. Urząd Powiatowy, kościół, apteka, mały szpitalik również w jednopiętrowym drewnianym budynku, szkoła, bożnica żydowska zlikwidowana przez Niemców. Jedyne murowane budynki zajmował posterunek żandarmerii niemieckiej i młyn nad jeziorem, którego motor dostarczał również energii elektrycznej miasteczku. Pracujące rytmicznie maszyny młynu wydawały ponury odgłos dający się słyszeć we dnie i w nocy z odległości kilku kilometrów.

To już była „Białoruś”. Znaleźliśmy się poza granicami oddanymi pod administrację Litwinom. Urząd Powiatowy zatrudniał Polaków. Przewodniczącym był Świerzewski, starszy pan pod sześćdziesiątkę z pięknym siwym wąsem pasującym do kontusza... Dokumenty wypisywano w dwóch językach polskim i niemieckim. Niewielu pozostało Żydów. Dr Berger w szpitalu, specjalista położnik i ginekolog, i garść Żydówek używanych do sprzątania ulic. Spotykało się jednak na ulicach typy nie aryjskie, które przywędrowały z głębi Polski za frontem, niektórzy z rodzinami osiedlili się w miasteczku i zostali zatrudnieni jako urzędnicy, pomocnicy w aptece, sanitariuszki w szpitalu, a nawet w urzędzie Sonderführera jako tłumacze.

Głównymi postaciami w miasteczku był sekretarz powiatu ob. Paw, felczer Morgiewicz, ksiądz Dziekan, żona aptekarza i kierownik urzędu pocztowego. Wśród urzędników powiatu przechowywało się kilku Żydów o zmienionych nazwiskach; jeden, dr Ambroz, z tytułem dr. filozofii (miejscowa ludność nazywała go „fałszywym doktorem”), drugi, p. Philipp z synem wybitnie uzdolnionym muzykiem – oraz kilku oficerów WP, związanych już z siecią konspiracyjną.



*Świr. Spotkanie z kierownikami szpitala (siedzi po prawej stronie stołu, T. Ginko odwrócony tyłem). 1942 r.*

Lekarzem powiatowym został mianowany dr Skwarczewski, absolwent USB, znany w Wilnie „Olutek”, „polonus” przez długie lata chodzący po Wilnie z lisim ogonem przy kolorowym dekle korporanckim – godłem fuksa majora.

Kontakt organizacyjny związał mnie z por. „Rolandem” (E. Gapik)<sup>18</sup>. Pod względem fachowym jako kierownik Ośrodka Zdrowia miałem podlegać „Olutkowi” jako lekarzowi powiatowo-

<sup>18</sup> Oficer operacyjny sztabu Inspektoratu „BC”, następnie Zgrupowania nr. 2, aresztowany przez NKWD 17 lipca 1944 r. w Boguszech pod pretekstem „odprawy” z okazji walk z Niemcami.



wemu. W tym okresie nie był on jeszcze związany z konspiracją. W szpitalu czasowo pracował jeszcze, wspomniany wcześniej, lekarz Żyd dr Berger, cieszący się opinią dobrego specjalisty. Nie potwierdziłem tego obserwując go przy zabiegu operacyjnym. Dr Berger podzielił los innych Żydów. Mieszkał jeszcze w miasteczku lekarz radziecki. Nie znam historii jego życia, w jaki sposób znalazł się na tych terenach i zachował przy życiu. Była to niezwykle tragiczna postać. Milczący, zamknięty, izolowany od wszystkich sprawiał wrażenie chorego umyslowo. Przytłaczały go widocznie losy jego kraju i potęga najeźdźcy.

W szpitalu pracowała jako pielęgniarka Rosjanieczka S. Natasza, przemiłe dziewczę o ślicznych niebieskich oczach i rumianych policzkach, uczynna, pracowita i zawsze uśmiechnięta.



*Podróż poślubna do Świru.*

Najbardziej ją ceniłem i lubiłem ze wszystkich pielęgniarek szpitala, z którym w dalszym okresie miałem ściślejszy kontakt.

Po znalezieniu w Świrze mieszkania wróciłem do Wilna i tu zapadła decyzja. Losy wojny były nieznane. Zdecydowaliśmy wyjechać z Wandą już jako małżeństwo i odtąd razem przeżywać to, co nam los przyniesie.

Nasza podróż poślubna była piękna. Odległość między Wilnem i Świrem przebyliśmy sankami. „Rozwalki” mknęły po skrzącym się od słońca śniegu, a my opatuleni w kozuchy i koce snuliśmy plany naszego „dalejzycia”.

Rozmowa z woźnicą dotyczyła spraw wojny. Był zdania, że „Ameryka” przystąpi do wojny; różnica poglądów dotyczyła jedynie miejsca wylądowania wojsk Stanów Zjednoczonych.

– A ja panu mówia, że przez Turcja uderzon.

– Panie drogi, jakże przez Turcję – to niemożliwe.

– Oj panoczek, ja dobrze wiem, oni tam majon tajemna przejścia.

Filozofia chłopca była prosta, wiara w zwycięstwo koalicji przeciwniemieckiej niezachwiana, a horyzonty... niewiele mniejsze od naszych, którzy bez radia, gazet i odcięcia od świata opieraliśmy nasze rozeznanie polityczne wyłącznie na pogłoskach, prognozach i marzeniach...

## Lekarz powiatowy

Współpraca z lekarzem powiatowym dr Skwarczewskim „Olutkiem” była koleżeńska. W okolicy zdarzały się coraz częstsze wypadki duru plamistego. Zawszenie było ogromne. Ileż to razy po powrocie do domu z wizyt domowych u chorych znajdowaliśmy wszy we własnym ubraniu. Ustrzec się przed nimi lekarz nie mógł. W czasie jazdy sankami do okolicznych wsi nogi owijało się kozuchem gospodarza. Zgodnie z opinią miejscowej ludności wszy w tych okresach rodzą się ze złego powietrza i złej krwi. I jednego, i drugiego było w tym okresie ponad miarę.

„Olutek” znalazł jednak sposób zabezpieczenia się przed ugryzieniem przez wesz tyfusową. Rękawy i nogawki od spodni zawiązywał sznurkiem. Sposób ten naukowo nie był co prawda opracowany, dawał mu jednak spokój wewnętrzny.

Zaniepokojone rozszerzającą się epidemią władze wydały zarządzenie założenia Szpitala Zakaźnego. Organizację szpitala polecono lekarzowi powiatowemu. Istniały różnice zdań co do miejsca, w którym miał stanąć szpital. Byłem zdania, że należało go umieścić w pustym domu na skraju miasteczka. „Olutek” uparł się umieścić szpital w pustym dworku 3 km poza miasteczkiem. Budynek był murowany i wielkość pomieszczeń istotnie odpowiadać mogła potrzebom szpitala. Odległość jednak od miasteczka stwarzała ogromne trudności z transportem i zaopatrzeniem. W warunkach ówczesnych możliwości, zorganizowanie w tak odległym domu szpitala było niemożliwe, chociażby ze względu na obsługę pielęgniarską, zaopatrzenie kuchni, zorganizowanie pralni. Zadymki i zaspę śnieżne nie były dla romantycznego „Olutka” przeszkodą.

Decyzja zapadła i została zaakceptowana przez władze administracyjne powiatu. Lekarzem naczelnym szpitala miał zostać sam dr S., jego pomocnikiem lekarz Rosjanin, w którego wstąpiły nowe siły, gdy powierzono mu konkretne obowiązki świadczące o zaufaniu, którym go obdarzono.

Organizacja szpitala nie wyszła poza ramy planów i projektów, gdy znalazł się pierwszy pacjent. Był nim sam dr „Olutek”. Nie było innej rady. Jako jedyny godny jego zastępcą przejąłem na siebie obowiązki lekarza powiatowego. Zgodnie z jego decyzją umieściłem go w pustym dworze, na jedynym żelaznym łóżku. Opiekę miał doskonałą. Lekarz Rosjanin, dwie pielęgniarki na zmiany, kucharka, salowa i... własna mama, która przyjechała niezwłocznie z Wilna na wieść o chorobie syna. Mama energicznie zakrzętała się koło organizacji opieki nad synem. Jakież jednak trudności miałem ze znalezieniem drugiego materaca, bo jeden był dla „Olutka” za twardy, znalezieniem odpowiedniej ilości termoforów itd. itp... Jeśli jednak komukolwiek zawdzięczać może „Olutek” zdrowie – to tylko swej mamie.

Był on jednym i jedynym pacjentem swego szpitala. Na okres rekonwalescencji wyjechał do Wilna i już nie wrócił... Po jego wyjeździe Szpital Zakaźny w dworku został przeze mnie zlikwidowany i przeniesiony na skraj miasteczka. Na szczęście epidemia już wiosną wygasła.

Następcą „Olutka” na stanowisku lekarza powiatowego został, skierowany przez władze wojewódzkie, dr Romajtis. Podawał się za Litwina, chociaż nazwisko jego w brzmieniu polskim było Romecki. Przyjechał *panas doktoras* z urzędową nominacją, postawił na nogi posterunek policji litewskiej. Zagonili z ghetta Żydówki do szorowania podłogi i mycia okien mieszkania. Druga grupa Żydów wносиła i ustawiała meble, zawieszala firanki. Pani doktorowa litewskiego nie znała, więc tylko gestem i szeptem do ucha męża kierowała akcją.

*Panas doktoras* ustawił się wysoko w hierarchii urzędowej... „...*gydytojas*”. Zarządził odprawę wszystkich okolicznych lekarzy – przyjechali sami Polacy, absolwenci wileńskiego USB – w większości moi znajomi. Odprawa toczyła się w języku polskim. Na odprawie tej rozpoczęło się i skończyło urzędowe działanie dr Romajtisa. Od następnego dnia rozpoczął praktykę prywatną.

Odsłoniła ona całkowicie oblicze moralne doktora. Wieś w czasie wojny i okupacji ucierpiała ogromnie. Kontyngenty „żywca”, jaj, drobiu, zboża rabowane przez Niemców, żywienia oddziałów partyzanckich stanowiły dodatkowe obciążenie ubogiej ludności. Opłaty za wizyty lekarskie, wyznaczone przez dr. Romajtisa, przekraczały dziesięciokrotnie przeciętną stawkę pobieraną przez lekarzy, opłaty pobierane w pudach żyta czy pszenicy były przez niego wymuszane koniecznością zastosowania lekarstw posiadanych przez samego doktora. Lekarstwa były zagraniczne, stąd cena. Podejrzewaliśmy karygodne występki, z których każdy wystarczał, by przekazać nieetycznego lekarza do sądu dyscyplinarnego.

Z płaczem wpadła kiedyś do mnie matka dziecka chorego na dyfteryt z prośbą o surowicę leczniczą. Dr Romajtis zgadzał się na danie leku za kilkanaście kilogramów miodu, a przecie wiadomo,

że takiej ilości miodu nie znajdzie się w promieniu kilkudziesięciu kilometrów. Ciemni, biedni ludzie nie wiedzieli, że można surowicę dostać w aptece po cenie urzędowej na receptę Ośrodka Zdrowia. Ich zdaniem lekarstwa były dobre, bo drogo kosztowały, a dla dziecka daje się wszystko. Dr Romajtis działał. Pudy i półcie słoniny wędrowały do Wilna. Dzięki swemu stanowisku wykorzystywał do transportu również samochody urzędowe.

Wreszcie powinęła mu się noga.. Pewnego dnia przygotował spory transport worków, skrzynek i koszy z jajami i postanowił wykorzystać wojskowe wozy ciężarowe odchodzące sprzed warowni żandarmerii. Pewny siebie wcisnął butelkę samogonu w ręce kierowcy i zaczął wrzucać do wozu skrzynie, paczki i kosze. Żołnierz stał bezradny przy aucie, gdy nadszedł oficer. Scena, która nastąpiła, godna była sfilmowania. Czerwony z wściekłości żandarm wskoczył do wozu i zaczął wyrzucać z niego paki. Z worków posypało się zboże i mąka, z rozbitych pak wyleciały kury, kosze z jajami runęły na ulicę. Doktor błąd jak chusta nie mógł złapać tchu. Bezradnie starał się łapać w powietrzu worki, żona jego trzymając kurę histerycznie krzyczała, a żandarm pieniąc się i wyzywając nie poprzestał, aż wyrzucił ostatnią skrzynkę. Zatrzasnął drzwi, zahuczał motor, samochód pojechał. Na placu boju pozostał lekarz powiatowy. Niedługo już trwało jego panowanie. Wkrótce po tak wielkiej kompromitacji został odwołany ze stanowiska. Odetchnęliśmy z ulgą.

Na jego miejsce przyjechał wkrótce młody rdzenny Litwin dr Sviderskis. Grzeczny, taktowny, zawsze uprzejmy w stosunku do Polaków, zdawał sprawę z tego, że otacza go środowisko polskie, wolał mu się nie narażać.

Akurat trafił na czas, gdy władze niemieckie ogłosiły pobór do pomocniczej służby wojskowej. Chodziło im o zwerbowanie jak największej młodych roczników do służby transportowej (m. in. dostarczanie amunicji pod Leningrad).

Zostałem urzędowo wezwany do udziału w komisji lekarskiej dla poborowych. Badałem kolejno najpierw ja i kierowałem kandydata z rozpoznaniem do lek. powiatowego. Od potwier-

dzenia diagnozy zależało wciągnięcie poborowego na listę zdolnych do służby wojskowej. Jedną z chorób dyskwalifikujących była jaglica – szeroko rozpowszechniona w okolicy. Dowiedzieli się o tym poborowi i po natarciu powiek tytoniem wchodzili do pokoju lekarskiego z zapuchniętymi oczami. Sprawa była prosta. Wystarczyło odchylić górną powiekę, by stwierdzić, że zmian jagliczych na niej nie było, nacierali bowiem spojówkę dolnej powieki, która była świeżo przekrwiona i obrzmiała.

Z poważną miną badałem chłopca, po czym przekazywałem Litwinowi mówiąc „jaglica”. Ten zrozumiał, o co chodzi. Nie korygował rozpoznania. W ten sposób uratowaliśmy wielu chłopców od poboru.

Znalazł się jednak głuptak, który chcąc szukać przygód od progu uznał się za zdrowego. Znałem go, był jedynakiem ubogiej staruszki, grywał na harmonii na wieczorynkach i lubiany był przez wszystkich, zwłaszcza przez dziewczęta. Żał mi się zrobiło matki smyka, więc podszedłem z nim do komisji wojskowej z wyjaśnieniem.

– Ten jest zdrowy, ale to jest jedyny muzykant w całej okolicy. Jeżeli go weźmiecie, nie będziecie mieć wieczorynek.

Argument chwycił. Chłopca zwolniono.

Dr Sviderskis mrugnął dwuznacznie w moim kierunku. Następny kandydat, „jaglica”...

## Rozpoczynam pracę lekarza

Przed rozpoczęciem pracy w Ośrodku Zdrowia odwiedziłem aptekę, aby się zorientować w rodzaju i zapasach posiadanych przez aptekę leków. Skromne to były zapasy. Skrzętnie zanotowałem nazwy leków i ziół, po powrocie do domu złożyłem z nich pewne schematy recepturowe do praktycznego wykorzystania w poradni.

Dobry dowódca przewiduje. Zdawałem sprawę z moich ograniczonych umiejętności praktycznych w pracy ambulatoryjnej.

ryjnej. Nie miałem przecie stażu szpitalnego. Recepta, najlepiej nawet napisana, bez możliwości zrealizowania jej w aptece miała wartość papierka, mniejszą od higienicznego i tak ją ocenialiby miejscowi chłopi. Odsuwałem w ten sposób jedną z trudności stojących przede mną.

Istniał ponadto poważny problem podporządkowania sobie dotychczasowych władz poradni w osobach felczera Morgiewicza, starego praktyka na pograniczu znachorstwa, który swe umiejętności wyniósł jeszcze z pierwszej wojny światowej i siostry Anny, jedynej położnej dyplomowanej w powiecie, osoby autorytatywnej, niezwykle zarozumiałej i nie znoszącej sprzeciwów – prowadziła ona w Przychodni Poradnię Przeciwjagliczą.

Z jakąż wdzięcznością wspominałem dr Dulewiczową z Kliniki Okulistycznej w Wilnie, która prowadząc z nami ćwiczenia objaśniała nam przypadki częstej wtedy jaglicy i uczyła leczenia.

Ośrodek znalazłem „wypucowany” na połysk. Oczekiwano mnie. W drzwiach przyjął mnie „dr” Morgiewicz z czyrakiem na szyi, więc spoglądający dosłownie spode łba. Baczne spojrzenie małych bystrych oczu, uścisk wyciągniętej dłoni, grymas uśmiešku pod szczeciniastym wąsikiem.

Siostra Anna stała oparta plecami o piec ze skrzyżowanymi na bujnych piersiach rękami z wydętą ironicznie dolną wargą. Łaskawie podała mi czubki palców na powitanie.

Obejrzałem lokal, zadałem parę pytań ogólnych dotyczących ruchu chorych, obejrzałem książkę przyjęć i dokumentację poradni i z miejsca ruszyłem do ataku.

– Z panem panie doktorze (tytuł lechce) będę współpracował najbliżej, więc formy naszej współpracy ułożą się powoli w najbliższych dniach. W poradni przeciwjagliczej, w której będę widział siostrę kilka razy w tygodniu, chciałbym wprowadzić pewne usprawnienia.

Poleciłem zmienić kartotekę chorych, niezbyt wg mnie przejrzystą, rozszerzyłem zakres stosowanych zabiegów ogra-

niczonych dotychczas do usuwania zagiętych rzęs drażniących gałkę oczną o takie zabiegi jak wygniatanie jagieł oraz masaż powiek w dalszym okresie choroby, zaleciłem porozumiewanie się ze mną w każdym nowym przypadku choroby i przeprowadzanie wywiadów terenowych w celu wyłowienia świeżych ognisk jaglicy. Dyskusji nie uważałem za konieczną tym bardziej, że w poczekalni zaczęli się już zjawiać pierwsi chorzy. Rozpocząłem urzędowanie.

Pierwsze dni samodzielnej pracy lekarskiej tak głęboko zapadają w pamięć jak pierwsza miłość, jak pierwsze wypowiedziane słowa przez dziecko lub jego pierwszy samodzielny krok.



*Pierwsza praca młodego lekarza Tadeusza Ginki w ambulatorium w Świrze.*



Pierwszym moim chorym było dziecko. Kilkumiesięczne dziecko leżące w zasiusianej poduszce, owinięte dziesięcioma chustami, po rozwinięciu których buchnął z wnętrza, razem z kwaśnym zapachem pieluch, gorący krzyk siniejącego z wysiłku beznadziejnej obrony przed przemocą matki dziecka... Jakże dokładnie starałem się zebrać wywiad, jak starannie zbadałem maleństwo. Wszystko wydawało się w nim chore, zaczynając od wilgotnej od potu zaczerwienionej z przegrzania skóry, poprzez twarde od krzyku brzuszki, po kurczowo przygięte nóżki i zaciśnięte maleńkie piąstki.

Z ulgą odkryłem pod pachą dziecka stłumienie odgłosu opukowego i szmer oskrzelowy. Zdecydowanie inny niż po stronie przeciwnej. Rozpoznanie: pneumonia. Ale leczenie? Jakie dać dawki leków takiemu szpuntowi? Nie mogłem stracić aury doświadczonego lekarza. Uratowałem go wkładając



*Szpital w Świrze.*

dziecku w pachwinę termometr i polecając matce przytrzymać nóżki dziecka. Zyskałem w ten sposób kilka minut czasu, by rozejrzeć się w recepturze i podliczyć dawki leków. Rzuciłem okiem na skalę termometru. Nie miałem wątpliwości co do tego, że temperatura była wysoka. Z pewną miną umaczałem pióro w kałamarzu. Pierwsza recepta była poza mną. Pomogło nie tyle, jak myślę, lekarstwo, ile ogólne wskazówki o pielęgnowaniu dziecka.

Wieś białoruska była pełna przesądów i krańcowo zaniebdana pod względem oświaty sanitarnej. Chorobę traktowało się jako dopust Boży – szukało się najpierw pomocy u babek, znachorów, nawet u księży – do lekarza trafiało się na końcu, gdy chory mimo starań nie umierał. Toteż i choroby się widziało w stadiach krańcowych – nieprawdopodobnie rozległe ropowice unoszące skórę całych kończyn od nadgarstka aż po ramię, owrzodzenia rogówki jedyne go oka, owrzodzenia podudzi wielkości dwóch dłoni, cuchnące od przykładanych liści babki, gnilica rozpadowa u młodych kilkunastoletnich chorych. Rodzina starała się zwykle ukryć fakt dotychczasowego sposobu leczenia u znachorów lub innych lekarzy, chytrze wypytywała, co się stwierdza i jakie są szanse wyleczenia. Po wypowiedzeniu mego rozpoznania dochodziło często do dyskusji rodzinnych. Prawda mówi... tamten dochtor już 2-wie lata temu powiedział, że nic z niego nie będzie.

W Ambulatorium Poradni pracowałem przed południem. Poczekalnię zastawałem już pełną. Zwykle najpierw wylawiałem dzieci. Ileż to razy już od progu chwytiałem kobietę z dzieckiem na rękę zanoszącym się od duszącego kaszlu! Szybko do szpitala! dyfteryt!

Dyfteryt stanowił osobny dramatyczny rozdział w mojej pracy lekarskiej. Rozszalał się wiosną 42 roku. Posiadany w aptece zapas szczepionki szybko się wyczerpał. W miasteczku był maleńki szpitalik. Drewniany piętrowy budynek mieścił zaledwie 30 łóżek internistycznych. Kierownikiem jego był początkowo dr Berger – Żyd. Najcięższe przypadki dyfterytu

kierowałem do szpitala. W okresie największego nasilenia epidemii o surowicę przeciwydfterytyczną musiał się zatroszczyć lekarz powiatowy. Przywiózł ją, ale skromną część przekazał do szpitala. Szybko się wyczerpała. Wtedy można było dostać ampulkę surowicy u lekarza powiatowego, ale... za opłatą kilku pudów żyta lub połci słoniny.

Jednego popołudnia przybiegła do mnie z płaczem kobieta z sąsiedniej wsi po ratunek. Dziecko ma dyfteryt, a dr Romajtis zgadza się dać zastrzyk za kilka litrów miodu. Już mu dała i żyta, i słoniny. Doktor chce miodu, a ona miodu nie ma. Nie mogłem na to poradzić, surowicy sam nie miałem.

Kiedy w rok później pracowałem w tymże szpitaliku we Świrze sytuacja była nieco lepsza, ale dzieci przywożono w tak ciężkim stanie, że wielokrotnie ratując je przed uduszeniem przepychałem wejście do krtani zamknięte błonami dyfterytycznymi przy pomocy palca. Sine już dziecko łapało powietrze. Ratowaliśmy je potem, jak się dało.

Każdy z nas lekarzy pamięta wielu chorych, którym towarzyszył do ostatniego tchnienia. Śmieć jest zjawiskiem dla nas zwykłym. Widzimy ją często już w chorym zjawiającym się po raz pierwszy w poradni czy w gabinecie. Czasem jednak śmierć przychodzi niespodzianie, zaskakując w momencie zdawałoby się bliskiego już triumfu i te sytuacje zapadają głęboko w głębi duszy.

Przypominam 9-letnią córeczkę nauczyciela z okolic Świru, prześliczną błękitnooką jedynaczkę nad wiek rozwiniętą i mądrą dziewczynkę. Przywieziono ją z dyfterytem w stanie poważnym. Otoczyliśmy dziecko szczególną opieką. Była oczkiem w głowie personelu, matka siedziała przy niej we dnie i w nocy i dzięki jej m. in. poświęceniu na pewno przeszła najcięższy okres choroby.

Leżała jeszcze w szpitalu. Uprzedziliśmy matkę o konieczności pozostawiania dziecka w łóżku jeszcze przez kilka dni. Jednej nocy zaalarmowany zostałem przez sanitariuszkę, że dziecko nagle zasłabło. Lekarze dyżurów w szpitalu nie pełni-

li. Ordynatora nie znalazła w domu, zanim dobiegłem z krańca wsi, Ewunia już nie żyła. Mama pozwoliła jej w nocy zejść na garnuszek. Wystąpiła zapaść, spotykana zresztą po dyfteryście.

Im dłużej się żyje i dłużej jest lekarzem, tym bardziej się docenia kruchość ludzkiego życia i docenia najkrótsze nawet chwile szczęścia.

## Wróćmy jednak do poradni

Praca w Przychodni Lekarskiej dawała mi coraz więcej satysfakcji w miarę zapoznawania się ze sposobami leczenia ambulatoryjnego. Niedawno jeszcze zdawałem egzaminy dyplomowe, do których forsownie się uczyłem. Ciekawe, że najlepiej tkwiły mi w pamięci obrazy chorych demonstrowanych przez profesorów Uniwersytetu Wileńskiego. Z prawdziwą wdzięcznością wspominałem prof. Bujaka<sup>19</sup>, Michejdę, Januszkiewicza<sup>20</sup>, doc Mienickiego<sup>21</sup>, zaglądałem często do notatek skrzętnie chowanych przez okres wielu lat. Służyły one nie tylko mnie do nauki, ale wielu kolegom i zawierały cenne wiadomości dotyczące rozpoznawania i leczenia.

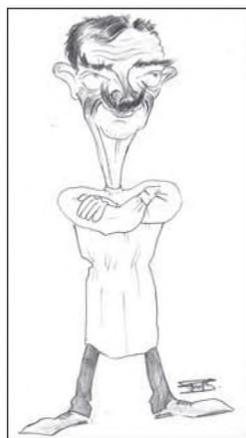
Najwięcej pociągającym przedmiotem była dla mnie zawsze chirurgia i ginekologia z położnictwem, wymagająca szybkiej decyzji i technicznych umiejętności.

---

<sup>19</sup> Władysław Wiktor Bujak, pediatra, prof. i kierownik Kliniki Pediatricznej USB, w l. okupacji kierownik szpitala dziecięcego, po wojnie prof. UJ i Akademii Medycznej w Krakowie.

<sup>20</sup> Aleksander Januszkiewicz prof. USB w l. 1921-1939, podczas I wojny św. lekarz wojskowy, podczas II wojny św. konsultant szpitali wileńskich.

<sup>21</sup> Marian Mienicki w l. 1922-1939 dermatolog w Klinice Dermatologicznej, podczas okupacji ordynator w szpitalu, „Sawicz”, uczestnik tajnego nauczania, więzień w Prawieniskach, po wojnie prof. Akademii Medycznej w Łodzi.



*Prof. Kornel Michejda, prof. Władysław Bujak, doc. Marian Mienicki.*

Trzeba było przypadku, że akurat pierwszy egzamin z chirurgii praktycznej omal mnie nie pogrążył w opinii felczera Morgiewicza. Przywieziono chłopca za zwichniętym stawem barkowym. Rozpoznanie było proste nawet bez zdjęcia rentgenowskiego, ale... ani razu nie wykonywałem nastawienia zwichnięcia tego stawu, a nawet nie widziałem jak to robią inni. Nie straciłem jednak tupetu i poufale zwróciłem się do felczera, z którym nawiązałem już całkiem możliwą współpracę.

– Ano... panie doktorze, ma pan tu zwichnięcie stawu barkowego, niechno pan pokaże, jak to pan zwykle nastawia...

Powiedziałem to tonem tak pewnym, jakby mi chodziło o wypróbowanie jego umiejętności. Z ukontentowaniem zabłysły mu oczka. Zawinął rękawy fartucha, zdjął but, chorego ułożył na leżance i ani się obejrzał jak przy pomocy własnej pięty włożonej w dół pachowy chorego, pociągnięciem za wyprostowaną kończynę górną zwichnięcie nastawił.

– No pięknie – z uznaniem skinąłem głową, robi pan to starym sposobem Hipokratesa. My używamy sposobu innego. Pokażę panu przy sposobności.

Po powrocie do domu przejrzałem notatki. Miałem zdemonstrować sposób Kochera<sup>22</sup>. Wyuczyłem się go i kiedy po kilku tygodniach zjawił się drugi pacjent ze zwichnięciem barku załatwiłem go akcentując poszczególne tempa jak na ćwiczeniach ze studentami. Felczer był zdobyty, a mój autorytet nie poniósł szwanku.

Z czasem rozszerzyłem zakres zabiegów chirurgicznych w Przychodni. Zdobyłem odpowiednie instrumentarium, załatwiłem sprawę sterylizacji materiału opatrunkowego. Poza nacinaniem ropni, ropowic, zastrzałów, otwieraniem ropni okołomigdałkowych i ropni piersi u położnic wykonywałem już drobne zabiegi operacyjne czyste – wycinanie drobnych guzków, kaszaków itp. w znieczuleniu miejscowym.

## Kontakty z polską partyzantką

Wkrótce po przybyciu do Świru nawiązałem kontakt z por. „Rolandem”, który, jak się później dowiedziałem, pełnił funkcję oficera taktycznego. Był to szczupły młody mężczyzna o pociągłej twarzy, przenikliwych czarnych głęboko osadzonych oczach i wysuniętej do przodu szczękę. Jego wyprostowana wojskowa sylwetka nie stwarzała mu bezpiecznej sytuacji w terenie. „Roland” był pośrednikiem w załatwianiu wszystkich moich spraw związanych z pracą konspiracyjną.

Wraz z nadejściem wiosny uaktywniła się działalność oddziałów partyzanckich w okolicach. Po jednej z potyczek zostałem wezwany do jednego z oddziałów – do kilku rannych. Wyjechaliśmy przed świtem. Na polach leżały płaty śniegu, szumiały potoki spływającej ku dolinom wody, wezbrały rzeki. Koła wozu zapadały się w rozmiękłym błocie nie pozwalają-

---

<sup>22</sup> Emil Theodor Kocher prof. uniwersytetu w Bernie, noblista, twórca nowych metod operacyjnych i narzędzi własnej konstrukcji.

jąc na szybką jazdę. Furman, młody chłopiec, niepokoił się czy będzie można przejechać przez wezbraną rzeczkę Straczankę (Straczenkę?), której wody uniosły się powyżej leżącego na niej mostku.

Znając dobrze teren wybrał na miejsce przeprawy najbardziej płytkie w tym miejscu koryto rzeki, a przewidując możliwość zanurzenia się wozu powyżej kół a nawet barierok drabin stanął okrakiem na drabinach wozu, kazał mi stanąć za sobą i oprzeć mu ręce na ramionach – by nie zamoczyć nóg.

Dobrze się stało. Koń parszcząc wszedł w rwące koryto rzeki, niedaleko drugiego brzegu zanurzył się tak głęboko, że wyciągnął szyję i usiłował płynąć. Wóz zarzuciło, woda podplynęła pod siedzenie z desek, na którym leżał worek z sianem. Smagnięcie batem poderwało konia do maksymalnego wysiłku. Złapał kopytami grunt i za chwilę spychani przez nurt już toczyliśmy się po brzegu.

Jechaliśmy długo leśną drogą, wreszcie na skraju lasu pojawiły się słomiane dachy wioski.

– O patrz pan – dojechali, zawołał furman – tam pod chatą jeden stoi na warcie, widzisz pan!

Nic nie widziałem. Panowała cisza. Wóz tylko terkotał przechylając się na głębokich koleinach grząskiej błotnistej drogi.

Już niedaleko domu zauważyłem postać w wojskowym płaszczu z karabinem, niewidoczną prawie na tle szarych ścian domu. Serce mocno mi zabiło z wrażenia. Był to pierwszy chłopak z lasu, którego ujrzałem.

Już na mnie czekano. Wóz zajechał na dziedziniec i stanął. Z chaty wyjrzało kilka zaciekawionych twarzy. Zielone rogatywki z orzełkami, białe czerwone opaski na rękawach. Młode błyszczące oczy, proste twarze wiejskich chłopaków.

Podoficer zaprowadził mnie do dowódcy oddziału, od którego dowiedziałem się, że było dwóch rannych w głowę, których po założeniu opatrunków odesłano wozem do Wilna. Wymagali leczenia operacyjnego. U jednego pocisk urwał część kości

czaszki i widoczny był mózg. Stan chorego był ciężki, nie można było zwlekać. Zorganizowano więc podwozę i pod opieką sanitariuszki skierowano rannych do Wilna, gdzie zapewniony był kontakt ze szpitalem.

Dobrze się stało. Niewiele bym pomógł rannym poza założeniem opatrunku. Nie wiedziałem nawet dokąd mam rannych kierować. Po latach dowiedziałem się, że organizacją pomocy rannym w sieci organizacji miejskiej kieruje Basia Skarżanka<sup>23</sup> (po wojnie profesor filozofii Uniw. Warsz.).

Wracać miałem inną drogą. Szedłem z oddziałem rozciągniętym na przestrzeni kilkuset metrów, opowiadając co się dzieje we Świrze i w Wilnie, w którym nie byli dawno. W rękę niosłem torbę lekarską.

Zbliżaliśmy się do następnej wsi, w której mogli mnie znać ludzie, gdyż jeździłem tu czasem do chorych. Zainscenizowano więc prowadzenie mnie jako aresztowanego pod eskortą. Szedłem między dwoma partyzantami uzbrojonymi – ze spuszczoną głową i nasuniętą czapką na oczy. Z okien wyglądały zaciekawione twarze dzieci. Przez opłotki wyglądały kobiety i szybko znikwały w domach.

Dopiero za wsią zabrano eskortę. Poczulem się znów wolny.

Braki oddziału w zaopatrzenie sanitarne było żenujące. Jeden sanitariusz z torbą z opatrunkami. Własnego lekarza oddział nie miał. Był to jeden z plutonów brygady „Ronina”. Nie poznałem go wtedy. Zetknąć się z nim miałem po dwóch latach w czasie pamiętnej defilady w lasach Rzeczypospolitej partyzanckiej.

Od tego czasu kontakty moje z oddziałami partyzanckimi były coraz częstsze i bliższe. Wielokrotnie wyjeżdżałem do rannych chłopców, cięższe przypadki kierowałem do Wilna – te, które wymagały leczenia operacyjnego. Zajmowała się już tym

---

<sup>23</sup> Barbara Skarga pseud. „Ewa”, filozof, kierownik łączności zewnętrznej szefa Sztabu Okręgu Wileńskiego AK z inspektoratami i brygadami, areszt. IX. 1944 i zesłana na 10 lat do obozów pracy przymusowej w ZSRR, później do Kazachstanu, wróciła do Polski w 1955.



sieć terenowa. Lżej rannych umieszczaliśmy w trudniej dostępnych, dalej od miasteczek położonych wsiach u „naszych ludzi”. W Szemietowszczyźnie miałem niedaleko dwóch chłopców z przestrzelonym udem i postrzałem klatki piersiowej. Rany nie były skomplikowane, ale niebezpieczeństwo ogromne, toteż ranni leżeli w łózkach najczęściej za piecem oddzielnym od pokoju zasloną z dywanu. Nie wymagali oni częstej zmiany opatrunków. Doglądały ich sanitariuszki z oddziałów lub sami gospodarze.

Któregoś dnia zwrócił się do mnie „Roland” z propozycją współpracy przy redakcji pisemka partyzanckiego, którego celem było podniesienie ducha chłopców w oddziałach, przekazanie im informacji ze świata i z frontu wojny, od których byli odcięci i powiadamanie o rozkazach dowództwa. Oczywiście przystałem chętnie. Pismo nosiło tytuł „PARTYZANT”. Mieliśmy kłopoty z powielaniem egzemplarzy. Maszyna do pisania była u księdza dziekana, zdobycie powielacza z Urzędu Gminnego było niezmiernie trudne, toteż drukowanie pierwszego numeru szło nam opornie. Wyszedł ośmiokartkowy numer I jako pismo brygady „Łupaszk”, który był podobno inicjatorem tej akcji.

Następny numer już miał firmę Grupy PN – Wschodniej AK. Na okładce wyrysowałem postać partyzanta na koniu, który przysiadł na zadzie przed pękającym przed nim granatem. Chłopiec podniesioną ręką do góry dawał rozkaz do ataku. Artykuł wstępny, chyba „Rolanda”, oceniał sytuację wojenną. Na jednej ze stron umieściliśmy kilka pieśni partyzanckich m. in. „O Panie któryś jest na niebie”. Wreszcie ostatnia strona poświęcona na satyrę i humor znowu była wypełniona przeze mnie. Doceniając znaczenie sprawności technicznej i czasu zażądaliśmy dostarczenia nam przez oddziały maszyny do pisania i powielacza wyłącznie dla potrzeb pisemka. Nie upłynęły dwa tygodnie, a nadeszła wiadomość, że żądane przybory znajdują się już na melinie w niedalekiej wsi. Wystarczyła jedna wyprawa za granicę przedwojennej Litwy, z którą mieliśmy

porachunki za nasyłane na nas oddziały gen. Plechavičiusa, by z urzędu gminnego zdobyć akcesoria drukarskie.

Przez kilka wieczorów stukaliśmy niewprawnie na maszynie, dwoma palcami, teksty drugiego numeru pisemka razem z młodym księdzem organistą Edwardem J. niezwykle przejętym faktem włączenia go do udziału w pracy konspiracyjnej.

Przy odbijaniu na powielaczu zatrudniliśmy też naszą żonę. Niewprawni w posługiwaniu się powielaczem połowę farby drukarskiej rozsmarowaliśmy na własnych rękach.

Nowy numer „Partyzanta” wyszedł już w znacznie większym nakładzie i rozszedł się błyskawicznie w terenie. Trzeci i ostatni numer miał niezwykle historię. Nasze drukarskie przybory należało przesłać do Wilna, przygotowaniem do druku tekstu i materiałów zajęła się sieć konspiracyjna miasta. Moim zadaniem było samo odbicie egzemplarzy na powielaczu.

Zostaliśmy powiadomieni o miejscu, do którego mieliśmy z Wandą zgłosić się z zachowaniem konspiracyjnych ostrożności. Przed Ostrą Bramą o oznaczonej godzinie stanęliśmy za kobietą w kozuszkach i jaskrawej chustce na głowie. Obejrzała się, poznała nas z opisu i ruszyła – my za nią. Przeszliśmy Ostrą Bramę i na jednej z uliczek niedaleko kościoła Misjonarzy znaleźliśmy się w pustym ubogim mieszkanku. Kobieta zniknęła pozostawiając nas samych.

Powielacz okazał się nie nasz, a obcy. Siatkę miał mocno zanieczyszczoną farbą drukarską i nie pozostawiono żadnych środków do jej oczyszczenia. Zgrzytając zębami znowu wysmarowaliśmy się farbą po uszy. Pierwsze odbitki były niemożliwe do odczytania.

Całość jednak druku wypadła imponująco. Paczki „Partyzanta” spoczęły na stole, a my ulotniliśmy się dyskretnie z lokalu aż się za nami kurzyło, z miłą świadomością spełnionego zadania.

Był to trzeci i ostatni już numer. Zbliżał się front. Niezadługo miałem się sam zatroszczyć o alibi, tłumaczące moje zniknięcie za Świru przed władzami powiatu.

## Świr etap I (życie i praca)

Okres pobytu we Świrze kryje wiele wspomnień. Przeżyliśmy w nim z Wandą niezapomniane chwile szczęścia i wiele koszmarnych związanych z nieszczęściem, które przyniosła wojna. Poznaliśmy wielu ludzi małych i wielkich duchem w okresie, który był dla jednych egzaminem życiowym dla drugich rozrachunkiem z całego życia.

Fala frontu, która przeszła przez ziemie kresowe, zmiotła z powierzchni ziemi masę biedoty żydowskiej zamieszkującej małe miasteczka. Pozostały po nich obskurne drewniane rudery, rozpadające się domki z dobudówkami, z szopami i składzikami w podwórzach. Domki te i szopy były rozbierane przez ludzi na drzewo opałowe; lepsze zostały zajęte przez administrację litewską, skierowaną do obsadzenia powiatu.

Jako lekarzowi należało się i mnie mieszkanie. Niestety, wszystkie lepsze zostały już zajęte. Przydzielono mi pożydowski domek z na w pół rozebraną już szopą.



Obraz nędzy. Obite brudne ściany, spróchniałe deski podłogi, w drzwiach zbitych z desek szpary szerokości palca, żelazne klamki z chlewików. Największy pokój był chyba sklepem, 3 nieduże przy nim spełniały funkcje magazynów i pokoiów mieszkalnych. Na wprost kuchnia z piecem wiejskim do wypieku chleba i zapieckiem. W wykuszu trójnożek żelazny i płytką

*Domek w Świrze.*

z żelaznymi drzwiczkami. Drzwi od kuchni zamykane drągiem od wewnątrz.

Za domem przed szopą żerdź, do której przywiązywano konie. Szopa miała już tylko dwie ściany. Na obelkowaniu stryszku było jeszcze sporo żerdzi długich, ociosanych, zapewne przygotowanych do budowy.

Dobrym duchem naszym okazała się Jadziulka Hrynaszkiewiczówna. Koleżanka nasza ze studiów, jeszcze bez dyplomu. Znalazła miejsce pracy w szpitalu, gdzie mogła pełnić swą samarytańską powinność. Uosobienie dobroci i pogody ducha. Ona to zajęła się przygotowaniem dla nas gniazda i jej zawdzięczaliśmy nastrój przywitania w Świrze, dokąd dotarliśmy sankami w lutym 42 roku, obfitym szczególnie w mróz i zwały śniegu.



Życie w małym miasteczku nigdy nie jest atrakcyjne dla ludzi wychowanych w wielkim mieście, których ambicje zawodowe są związane z perspektywami stworzonymi przez miasto, a środowisko, w którym się urodzili i wychowali, nie przygotowało ich do zetknięcia się ze środowiskiem małego miasteczka i wsi.

Są natury ludzkie, które się adaptują szybko, są takie, które zawsze będą przeżywać nostalgię za miastem.

Wojna i okupacja ułatwiają przystosowanie do nowych warunków; ratunkiem jednak jest stworzenie mikroklimatu własnego środowiska, które pozwala na zachowanie równowagi psychicznej. We Świrze, w którym znaleźliśmy się z Wandą bez żadnego przygotowania, byłem w lepszej niż ona sytuacji.

Z rana szedłem do pracy w Przychodni. Wraciałem do domu po południu. Nieraz o 16.00, 17.00 godzinie. Już było szaro na dworze, a nawet ciemno – zimą. W domu czekali już na mnie pacjenci, których przyjmowałem „prywatnie” – dobrych kilka godzin roboty, a do płotu uwiązana już była furmanka lub sanki na wizytę domową nieraz o kilkanaście kilometrów.



Szesnaście godzin po porodzie<sup>24</sup>. Macica obkurczona twarda, wielkości dwóch złożonych pięści. Chora skrwawiona, blada leży na łóżku za szafą na słomie bez prześcieradła. Pępowina gubi się między słomą. Łożysko nie odeszło mimo najszczerzych chęci zebranych w chacie babek.

Credo nie skutkuje. Decyduję się na jedyne co pozostaje – ręczne wydobycie łożyska. Nie tylko w celu naradzenia się, ale i gnani naturą, która w sytuacjach ciężkich szczególnie silnie wpływa na organizm, wyszliśmy na dwór. Gwiazdy bladły, świtało. Za stodołą zrobiliśmy naradę. Obaj pierwszy raz stanęliśmy wobec podobnej sytuacji.

A jednak zdecydować się trzeba, a jednak trzeba ratować..

Z zegarkiem w ręce 20 minut myję ręce, wycieram je spirytusem. Ze skupieniem na bladej twarzy owiniętym wata patykami smaruje mi współtowarzysz rękę po łokieć jodyną dokładnie wciskając się w każdą szparkę, w każdy fałdzik skóry.

Szafę każę odsunąć. Chorą kładę ukośnie na łóżku, pod plecy podłożyć każę prześcieradło czyste. Pępowina jak wąż wypełzła ze słomy i spoczęła na płótnie. Szwagierka trzyma lampkę naftową nad głową, możliwie dokładnie oświetlając pole zabiegu. Mąż wzdycha za szafą. Babka na łóżku ucisza dziecko.

Zdecydowanym ruchem staram się wprowadzić rękę. Chora cofa się gwałtownie. Ból, szalony ból nie pozwala myśleć o niebezpieczeństwie, o konieczności poddania się zabiegowi pod groźbą śmierci.

O tak... inne warunki niż w klinice przy asyście, z narkozą, przy zachowaniu wyszukanej, wykwintnej aseptyki. Chora krzyczy. Cofa się znów, gdy rękę mam włożoną w połowie. W chacie płacz. Mąż zza szafy decyduje się na przerwanie za-

---

<sup>24</sup> Opis porodu, datowany 1942 r., pochodzi z luźnych zapisków Autora, towarzyszących wspomnieniom.

biegu, na wiezienie do szpitala odległego o 45 km. Wiem, czym to się skończy.

– Psiakość klnę... albo pani chce żyć, albo umrzeć.

Chwila osłupienia, ciszy. Już jestem całą ręką.

Chora obsuwa się, oddycha szybko. Ból mniejszy. Staram się możliwie delikatnie, możliwie szybko działać. Rozpaczliwie konstatuje, że dłoń mam tak opiętą częściami miękkimi, że poruszać nią trudno. Szukam. Mam pępowinę, idę głębiej od zewnątrz kontrolując kierunek poruszającej się ręki.

Między palcami wyczuwam coś śliskiego, miękkiego, ciepłego. O Boże, przecie to nie otrzewna, przecie to nie jelita. Tak, to brzeg łożyska. Konstatuje to z westchnieniem ulgi czując jak gubi się ono w ujściu, które twardym pierścieniem je obejmuje.

Chora prosi, bym dał jej chwilę wypocząć. Przecie chwilę trwa zabieg. Jestem jednak tak zmęczony, że pozwalając chorej na krótki odpoczynek sam opieram bezwiednie głowę na jej kolanie. W przeciągu tych kilku chwil przeżyłem więcej niż kiedykolwiek, wiedząc, że ode mnie zależy życie chorej. Już koniec przerwy. Współtowarzysz ociera mi pot z twarzy. Ścieka strugami...

Jestem już w macicy. Prędko się orientuję w różnicy konsystencji ściany macicy i łożyska. Ręka operująca jest unieruchomiona, aż odrętwiała. Łożysko przymocowane do przedniej ściany macicy. Pod ciągłą kontrolą ręki zewnętrznej staram się je odpiłować od mięśnia. Ciężko idzie. Macica obkurczona, mięsień twardy jak deska. Palcami nie mogę ruszać każdym osobno. Może to i lepiej. Wszystkimi, według położniczych przykazań świętej teorii. Pracuję ciężko. Jak ciężko. W chacie cisza. Oddechy tylko ciężkie słychać, mój i chorej; reszta z zapartym tchem milczy.

Lampka naftowa ostrym światłem oświetla bladą twarz współtowarzysza. Oczy mu błyszczą. Policzki chude, zęby zacisnięte.

Pracuję... Ostatni opór. Czuję, jak się rozluźniło napięcie między ścianą mięśnia a łożyskiem. Po kiści usuwam je na ze-

wnątrz, sprawdzam raz jeszcze jamę maciczną. Prędko, prędko. Dokładnie. Raz jeszcze, a może w kątach. Nie, nie ma nic, żadnych nierówności, jednakowa konsystencja. Koniec. Wyjmuję rękę.

Koniec. Wyprostowuję kręgosłup. Teraz dopiero czuję, jak boli.

– W porządku, mówię, dzięki Bogu w porządku.

Idę do miednicy z wodą i zataczam się po drodze.

– Kolego... woła za mną głos z tyłu, sprawdźcie jeszcze łożysko.

– Ach, prawda.

Wracam do łóżka. Na prześcieradle skrwawionem leży miękki ciemny placek. Biorę go w obie dłonie.

– Całe, powiadam, proszę przykryć chorą.

Odchodzę. Serce mi bije wolniej. Czuję, że jestem zmęczony, bardzo zmęczony. Świadomość pomyślnie wykonanego zabiegu nie cieszy mnie. Zdaję sprawę, że jest to pierwszy etap. Mam czyste sumienie, że zrobiłem wszystko co można, jak można najlepiej, włożyłem cały wysiłek, wszystką energię. Czyste sumienie rozjaśnia mi twarz. Myję ręce i czuję jak krew ciepłą falą rozchodzi mi się po organizmie, napływa do ręki brunatnej od jodyny, z obrzmiałymi żyłami.

Poruszam palcami. Z uśmiechem widzę, że są jak drewniane. Podchodzę do chorej. Współtowarzysz robi właśnie zastrzyk kamfory. Masuję macicę. Wyciskam jeszcze ogromny skrzep krwi. Macica obkurczona. To dobrze. Szkoda ergotaminy.. Mam tylko trzy ampułki, zostawić będzie można na gwałtowny krwotok. Każę dać lód na brzuch. Prognoza? Mój Boże. Zrobiliśmy wszystko co można. Widzieliście sami, że ciężka jest sprawa. Wszystko w rękę Najwyższego.

Za oknem świt, ejże.. przecie już dzień. Wdziewamy kożuchy, siadamy na furmance. Z rozkoszą poddaję się chłodnym podmuchom wiatru. Jedziemy szybko. Błoto chlupocze pod kołami, koń parska.

– Zdrów, zdrów.

Współtowarzysz bezpośrednio jedzie na pracę do ambulatorium – ja jadę do domu na śniadanie. Czuję, że jestem piekielnie głodny.



Zwykle wracałem do domu późną nocą, tak nieraz zmęczony, że nie chciałem jeść kolacji i waliłem się do łóżka po to, by rano znów biec do Przychodni.

A Wanda? Ta pozostawała w domu i poza przygotowywaniem posiłków głównym jej zajęciem było czekanie na mnie.

Zawierucha na dworze, świszczący wiatr, oblepione śniegiem szyby. Bezustanny jęk tartaku, przygasające lub gasnące światło elektryczne, które zmuszało do palenia lampki naftowej lub karbidówki. Świadomość stałego zagrożenia, samotność w starym domu, gdzie wiatr hulał po strychu i strącał w szopie deski ze ścian. Drzwi zamknięte na zasuwkę, a częste kołatanie do drzwi szukających lekarza stwarzało sytuację ciągłego napięcia nerwowego.

Świadomość obecności garnizonu niemieckiego w miasteczku i Litwinów, którzy często nie byli od nich lepsi, troska o Rodziców w Wilnie. Niebezpieczeństwo na dworze, w lesie – w czasie każdej podróży do chorego – wymagało niezwyklej siły charakteru i wiary w Opatrzność, by zachować spokój wewnętrzny i pogodę ducha. Wanda to potrafiła. Dzięki swej dobroci i całkowitemu brakowi zainteresowania sobą, a odwrotnie – stawianiu na pierwszym miejscu potrzeb innych, Wanda nie tylko nie dawała poznać po sobie, jak jest jej ciężko, ale znalazła zajęcie w owych czasach najpotrzebniejsze.

Zorganizowała sztab gospodyń wiejskich, które robiły na drutach rękawice i skarpetki i przesyłała je do Wilna. Organizowała przesyłanie produktów żywnościowych nie tylko najbliższej rodzinie, ale wszystkim potrzebującym.

Mieliśmy w Wilnie kilka rodzin wielodzietnych, prawie głodujących. Jednego 6- letniego smyka wzięła od rodziców by go odkarmić. Dziczek pałaszował wszystko aż mu się uszy trzęsły.





*W Świrze. Wanda.*

Dziś wyrósł z niego dzielny kapitan marynarki!

Przesyłanie produktów do Wilna nie było sprawą łatwą. Doszło do tego, że paczki z żywnością i wełnianą odzieżą wiózł pod siedzeniem samochodu szofer Sonderführera. Ba! odniósł nawet pod wskazany adres...



Jesienią 1942 roku zostałem zwolniony z obowiązków lekarza Przychodni, by zaliczyć w Szpitalach Wileńskich staż po-dyplomowy.

Okres od 16 IX 42 do 15 III. 43 r. spędziliśmy więc w Wilnie.



*Prof. Jakowicki.*

Wiąże się on z drugim etapem tajnego nauczania medycyny w kompletach zorganizowanych przez Reichera, Hillera i Mozołowskiego.

Zdawałem wtedy doskonale sprawę z odpowiedzialności lekarza terenowego. Zakres przypadków, z którymi musiał umieć poradzić, obejmował wszystkie niemal specjalności, toteż niezwykle intensywnie uzupełniałem swe braki zwłaszcza w zakresie chirurgii i pediatrii.

Staż chirurgiczny odbywałem w Szpitalu Czerwonego Krzyża – dawnym budynku Kliniki Ginekologicznej prof. Jakowickiego. Ordynatorem Oddziału Chirurgicznego był dr Katilius – Litwin, wśród personelu kilku Polaków, zwłaszcza pielęgniarki i salowe. Na Oddziale Pediatrycznym ordynatorem była Litwinka, lecz jej zastępcą prof. Bujak, który praktycznie kierował Oddziałem, ciesząc się ogólnym autorytetem i szacunkiem.

Przeżywaliliśmy wspaniałą erę narodzin sulfonamidów. Cibazol był cudownym lekiem, Prontosil, Albacid, były trudne do zdobycia, lecz działanie ich nawet w niewielkich dawkach dawało wspaniałe rezultaty.

## **Szemietowszczyzna**

Wraz z ukończeniem stażu stałem się pełnoprawnym lekarzem. Związany byłem organizacyjnie z terenem Świru, toteż, gdy zaproponowano mi stanowisko lekarza w najbardziej na wschód wysuniętej wsi Szemietowo, gdzie ogromny teren zamieszkały przez ludność polską i białoruską był całkowicie pozbawiony opieki lekarskiej, chętnie na nie przystałem.



LIETUVOS GENERALINĖS  
SRITIES  
SVEIKATOS RŪMAI

Nr. 1333

# LEIDIMAS

Kaunas, 1943 m. liepos mėn. 22 d.

Pažymima, kad **gyd. G I N K O Tadu** (pavarde ir vardas)

leidžiama nuo 1943 m. rugpjūčio mėn. 1 d. apsigyventi ir verstis

**gydytoju** (gydytojo, dantų gyv., farmacininko ir t. t.) praktika

**Šemetavoje, Svyrių apskr.**

(vietos pavadinimas ir apskritys)

Leidimas neterminuotas ~~iki 1944 m. rugpjūčio mėn. 1 d.~~



(Antspaudas)

Prof. Dr.

Sveikatos Rūmų Valdytojas

- Pastaba: 1. Skirta praktikai verstis vieta turi būti užimta ne vėliau kaip per vieną mėnesį.  
2. Be Sveikatos Rūmų leidimo, Tamsta iš paskirtos praktikal vietos pasitraukti daugiau kaip 7 dienas negali.



*Wizyta Wandy i Tadeusza u lekarza powiatowego.*

Szemietowo – inaczej Szemietowszczyzna leżała po drugiej stronie jeziora Świr. We wsi znajdowała się szkoła, która zajmowała jedyny murowany budynek. W jednym z kątów czworobocznego rynku, otoczonego ubogimi domkami, policja litewska zbudowała bunkier – jedyną oznakę władzy. Trzy km za wsią na skraju lasów ciągnących się do jeziora Narocz ukrył się majątek Szemietowo z małym kościółkiem i drewnianą dzwonnica.

Majątek dawniej dobrze zagospodarowany miał stawy rybne zdewastowane wojną i ogromne stodoły, a w nich maszyny rolnicze i zbiory słomy i siana – zboże bowiem zostało zabrane przez niemiecką administrację.



*Wanda Ginko w Szemietowie.*

Przez wieś szła droga prowadząca do Miadzioła i Kobylnika. Dokola otaczały ją lasy kryjące różne oddziały partyzantki, polskie i radzieckie.

Niepisana umowa dzieliła tereny na będące pod władzą oddziałów polskich i radzieckich. Polskie sięgały aż po jeziora Dziśnieńskie; działały tam brygady 23. i 24-ta, w których lekarzami byli dr Waszczuk Eug. i felczer Kaczanowski. Nocą nad lasami szeroko porastającymi okolicę jeziora Narocz wytryskiwały rakiety i słycać było szum samolotów. To były zrzućy broni dla oddziałów partyzantki radzieckiej (Markowa).

Szkoła była nieczynna. Mieścił się w niej Ośrodek Zdrowia – będący raczej punktem sanitarnym. Mieszkała tam tylko

pielęgniarka s. Irena (Irena Płatakis) z rodziną, wyposażenie żadne. Najbliższa apteka za jeziorem we Świrze, odległa drogą okrężną brzegiem jeziora o ponad 12 km od wioski. Apteka ta, której wyposażenie znałem, posiadała więcej niż skromny zasób leków, toteż wybierając się w teren zdawałem sprawę z czekających na mnie trudności.

Prof. Muszyński dostarczył mi cennych wskazówek o leczeniu ziołami. Przygotowałem ich zestawy na różne pory roku.

W Wilnie zdobyłem podstawowe leki nasercowe, wykrztusne i inne w płynach lub w proszku, zestaw naczyń i małe wagi apteczne. Wanda została przeszkolona w mieszaniu mikstur i proszków. Zestaw narzędzi chirurgicznych, puszkę z materiałem opatrunkowym miałem własne i tak wyposażony już bez strachu ruszyłem w nieznane.

W Szemietowszczyźnie znaleźliśmy niezwykle uczynnych ludzi, którzy pomogli nam w trudnym okresie zorganizowania nowego gniazda. Pielęgniarka Irena (Płatakis), nauczyciel Władysław Koleśnik (spotkałem go potem w Oddziale), rodzina Samulewiczów i inni.

Na skraju wsi niedaleko rynku stał mały kryty słomą domek, opuszczony przez właścicieli. Podłogi miał przegniłe, ściany obite, ale piec mocny, a nawet stół i ławy. Chatynka przechylona, stareńka, stała w ogródku, pachnącym świeżą ziemią, tęskniącą do kwiatów jak my.

Zdecydowaliśmy się w niej zamieszkać. Po wybieleniu, naprawieniu dachu i uzupełnieniu desek w podłodze wydawała się rajskim domkiem.

Cisza odurzała. Kryształowe powietrze i słoneczne lato pozwalały zapomnieć o wojnie.

Którejś niedzieli, gdy w rozgrzane powietrze wysoko uleciały mieszkające pod naszym dachem jaskółki i my postanowiliśmy się wybrać na wycieczkę, zobaczyć Narocz. 15-17 km marszu przez las. Widocznie nie zdawaliśmy sprawy z niebezpieczeństwa, zapuszczając się w tereny będące już poza granicami Litwy – znajdujące się w strefie wpływów partyzantki

radzieckiej. Nie spodziewaliśmy się spotkać ludzi po drodze. Do brzegów jeziora doszliśmy w południe. Płaski brzeg.. Tafla jeziora nieruchoma, topniejąca w blasku słońca. Daleko na horyzoncie łódź rybacka, poza tym cisza. Jedynie rozświergotany ptakami las, a nad brzegiem jeziora roje komarów. One to przeгнаły nas szybko, a może niepokój jakiś, odległość od osiedli, nieznany teren. Drogę powrotną przebyliśmy znacznie szybciej. Zarzucano nam we wsi brak rozwagi.. To prawda, pokusa jednak była zbyt silna, a zapas piękna zaczerpnięty tego dnia był nam ogromnie potrzebny przed czekającymi nas w miasteczku trudnymi chwilami.

Zebranie plonów z pól stało się jak gdyby hasłem do zaostrożenia działań partyzanckich. Oddziały radzieckie w starannie zaplanowanych akcjach otaczały miasteczka, najpierw niszczyły połączenia telefoniczne ścinając słupy i przydrożne drzewa – uniemożliwiając dotarcie pomocy – a potem niszczyły bunkry w miasteczkach i murowane domy mogące służyć Niemcom za kwatery. Napadały też na gospodarstwa spółdzielcze i majątki i niszczyły zbiory w stodołach, co miało utrudnić aprowizację wrogowi.

W odwet za te akcje Niemcy palili okoliczne wsie, złapanych chłopów wywozili na roboty do Niemiec. Dochodziły głosy o masowych rozstrzeliwaniach, paleniu wypełnionych ludźmi kościołów i inne bestialskie akcje odwetowe.

Wieczorami coraz częstsze były na horyzoncie łuny palonych wiosek. Pacyfikowano tereny Białorusi.

Załoga bunkra w Szemietowszczyźnie wycofała się ze wsi do Świru. Nasz domek leżący na skraju wsi wydawał nam się coraz mniej bezpieczny.

Jednego popołudnia warkot motorów wypełnił rynek. Zatrzymało się na nim kilka samochodów wypełnionych wojskiem niemieckim. Krzykiem wzywano lekarza. Poskoczyłem do wozu. Leżał w nim blady jak papier kapitan z przestreloną piersią. Zbadałem go pobieżnie. Miał założony opatrunek na ranę i znajdował się w stanie głębokiego wstrząsu krwotoczne-

go. Stwierdziłem, że stan chorego jest bardzo ciężki – zachodzi możliwość krwotoku wewnętrznego i jedynie szybki zabieg operacyjny w szpitalu może go uratować. Auta otoczone motocyklami pomknęły natychmiast w kierunku Wilna. Okazało się, że oficer – podobno syn generała – został ranny przez partyzantów, którzy puścili serię z lasu. Bojąc się zasadzki i nie znając sił oddziału Niemcy nie zatrzymywali się, być może ucieczka pozwoliła im ująć cało.

Strach padł na mieszkańców Szemietowa. Pamiętaliśmy jeszcze akcję odwetową za akcję pod Łyntupami. Niemcy wymordowali wtedy wszystkich mężczyzn z najbliższej wsi. Ze Świącian zastrzelili nauczyciela, księdza, aptekarza – całą inteligencję. Dr Rogowskiemu udało się uniknąć aresztowania.

Czy aby teraz nie będzie podobnie krwawego odwetu?

Nocą zawarzały silniki samochodów. Wyskoczyłem w bieliźnie do okna. Na tle granatowego nieba widoczne były sylwetki żołnierzy w samochodach. Szukano sołtysa, a potem załomotano kolbami w drzwi naszego domku.

– „*Hier wohnt der Arzt?*”

Przez zamknięte drzwi zapytałem, czego chcą.

– Zaprzęgać konia, pojedziecie z nami.

– Ja nie mam konia.

Widocznie sołtys potwierdził moje słowa, a może skierował ich w inną stronę. Krzyki umilkły, głosy oddaliły się, wkrótce samochody odjechały.

To były oddziały odwetowe. Odjechały w kierunku Naroczy.

Do rana już nie zasnęliśmy. Zdawaliśmy sprawę jakiego uniknęliśmy niebezpieczeństwa.

A następnego dnia uznaliśmy, że nasz domek jest położony w niezbyt bezpiecznym miejscu i przenieśliśmy nasz skromny dobytek do opuszczonego przez żandarmów budynku po przeciwnej stronie rynku.

Dom to już był bardziej odpowiadający na mieszkanie lekarza. Trzy pokoje z kuchenką, pod podłogą której znajdowała się piwniczka zamykana drewnianą klapą. W pokoju stał tap-



czan, stół i krzesła, a nawet palma pod oknem w ogromnym drewnianym ceberku.

Okna domu wychodziły na rynek, na podwórze z budynkami gospodarskimi, z drugiej strony na odległy o 100 metrów las.

W jednym pokoju urządziliśmy gabinet lekarski i aptekę. Wanda zajęła się energicznie gospodarstwem. Wkrótce na podwórzu gęgały już gęsi.

Pracy było jak zwykle dużo. Lekarstw coraz mniej. Sięgałem do najprostszych sposobów przypominając chorych demonstrowanych na wykładach w okresie studiów.

Miałem możliwość sprawdzenia skuteczności autohemoterapii, leczenia bodźcowego wstrzykiwaniem mleka w owrzodzeniach rogówki u chorej z jedynym okiem. Uratowałem je. W znieczuleniu miejscowym wykonywałem drobne zabiegi chirurgiczne.

Pewnego dnia zostałem wezwany do niewielkiego zaścianku będącego własnością Malinowskich. W czasie gdy 70-letnia babcia przędała na kołowrotku zwałił się na nią piec i przygniótł łamiąc jedną z kończyn w okolicy stawu biodrowego. Nie było mowy o przewożeniu chorej, o kontroli radiologicznej. Zaimprovizowałem więc wyciąg pośredni, osłaniając miejsce umocowania ciężaru pakułami. Wyciąg działał skutecznie, lecz był zbyt uciążliwy dla starej kobiety. Zdecydowałem więc unieruchomienie kończyny w odwiedzeniu i prawidłowym ustawieniu stopy. Babcia leżała długo, lecz dzięki opiece rodziny przeżyła uraz, chodziła kulejąc o lasce. Wdzięczność rodziny nie miała granic.



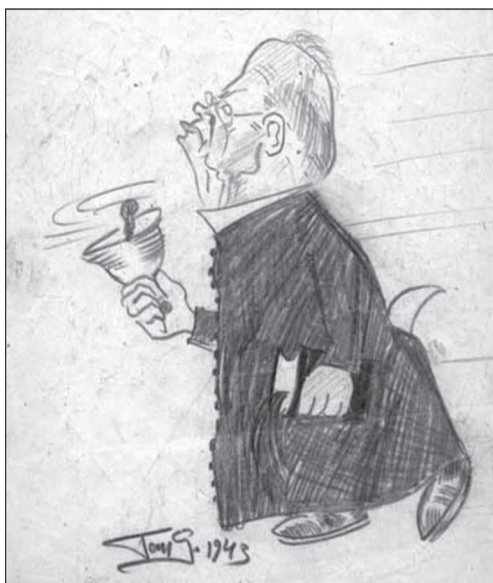
*Wanda Ginko w Szemietowie.*

Akurat zbliżały się imieniny Wandy.. W prezencie od babci Malinowskiej otrzymała kilim wileński wybrany ze skrzyni spośród kilkunastu podobnych, prześlicznych własnoręcznie tkanych kilimów. W skrzyni tej jako najpiękniejsza leżała kwiecista chusta kupiona w Wilnie z frendzlami, bez gustu, kolorowa i tandetna. Wspaniałe ręcznie tkane kilimy nie miały dla nich tej wartości. Przez długie lata kilim ten był ozdobą naszego domu.

Jednego popołudnia zostaliśmy powiadomieni o łapankach na roboty do Niemiec, przeprowadzonych w sąsiednich wsiach. Nie oszczędzano nikogo – również lekarzy.

Istniały obawy łapanki w naszej wsi, może nawet w najbliższych dniach.

Zabraliśmy ze sobą najpotrzebniejsze drobiazgi i postanowiliśmy noc spędzić na plebanii w pobliskim majątku. Staruszek proboszcz był w kłopotcie.. Nie splamił się w swym życiu kłamstwem, jakże będzie mógł powiedzieć, że nie ma nas u niego w domu, gdy będą o to pytali.



*Ksiądz.*

Znaleźliśmy wyjście spędzając noc w obórcie. Łapanka, jak dowiedzieliśmy się, była w miasteczku. Nie zabrano jednak nikogo, gdyż uprzedzeni o niej mieszkańcy uciekli do lasu.

Następnego dnia była niedziela. Leżeliśmy jeszcze na stryszku, gdy obudziło nas bicie dzwonu, pojedyncze strzały i krzyki od strony zabudowań gospodarskich.. i dzwonnicy... Biły stamtąd chmury dymu. Paliła się stodoła wraz z zamkniętymi w niej zbiorami i maszynami rolniczymi. Kilku uzbrojonych partyzantów radzieckich wyrывało od kobiet wyrostka.. który ich zdaniem wzywał dzwonem pomocy i zasługiwał na kulę. Ledwo ich przekonano, że dzwonił on na nabożeństwo w kościele. Kobiety nie oddały chłopca. Krzyki nagle umilkły, gdy ze strony wsi Szemietowa rozległy się serie strzałów. Partyzanci zniknęli natychmiast. Przez szparę w deskach obserwowaliśmy z napięciem tyralierę policji litewskiej biegnącej na odsiecz.

Tak więc w ucieczce przed łapanką niemiecką dostaliśmy się nieomal w ręce partyzantki radzieckiej, a uratowani zostaliśmy przez Litwinów. Niezwykła międzynarodowa akcja bojowa.

Do domu wróciliśmy trzeciego dnia. Dom stał jak dawniej – ale gęsi nie żyły.

Staruszek proboszcz, jak doszły nas słuchy, nie żył długo. W czasie kolejnego napadu na majątek zmarł w czasie, gdy zdejmowano mu buty. Miał buty skórzane.

Po kilku tygodniach akcję werbunkową zorganizowano sprawniej. Byliśmy oboje z Wandą w domu. Było wczesne popołudnie. Wieś najpierw została otoczona przez Niemców, a potem wkroczył oddział Łotyszów pod dowództwem podoficera Niemca i chodząc od domu do domu wybierał zdolnych do pracy.

Tym razem zaalarmowały nas strzały. Ranny został chłop uciekający ze wsi do lasu. Wyjrzałem przez okno.. Pod lasem ujrzałem mundury feldgrau, i już na podwórzu rozległy się odgłosy komendy. Ledwie zdążyłem podnieść klapę w podłodze, zamknąć Wandę w piwnicy i włożyć biały fartuch lekarski, gdy otwarły się drzwi i stanął w nich dowódca oddziału.

– *Wer wohnt hier?*

- Lekarz – odpowiedziałem w języku niemieckim.
- Jest pan Niemcem?
- Nie, Polakiem.
- Mieszka pan sam?
- Nie z żoną, lecz wyjechała właśnie do apteki do Świru po

lekarstwa.

Chwila wahania. Przeszedł przez wszystkie pokoje, zatrzymał się przed rozstawionymi na stole lekarstwami i wagą apteczną, wyszedł. Ledwie zdążyłem odetchnąć z ulgą, gdy ponownie otworzyły się drzwi. Wrócił, żeby zadać mi parę pytań.

Krzesło postawił tuż przy klapie od piwniczki, lecz myślałmi był przy innych sprawach. Korzystał z mojej znajomości języka niemieckiego, by zorientować się w sytuacji w terenie.

Niepokoila go partyzantka. Liczebność oddziałów; czy są daleko, czy często tu przychodzą?

Odpowiadałem koloryzując, robiąc uniki, wyolbrzymiając siły oddziałów radzieckich. Rozmowa trwała dobre 15 minut. Już się niepokoiłem o Wandę, która siedziała jak mysz cicho. Niechby tak kichnęła nagle, lub przestraszyła się myszy?

Gdy feldfelbel poszedł, sprawdziłem przez okno, że jest już daleko i otworzyłem klapę. Wanda wyszła bardzo, bardzo biedniutka.

Kiedy luny płonących dokoła wsi stawały się coraz bliższe, gdy jednego wieczoru widziało się je na całym nieomal horyzoncie – płonęło naraz 5-7 wsi – kiedy w coraz bliższych nam miejscowościach zaczęły płonąć szkoły, a oddziały partyzantki radzieckiej bez przeszkód chodziły po drogach ocierając się nieomal o oddziały wojsk niemieckich, które unikać zaczęły z nią kontaktów, gdy wreszcie sygnały o zbliżającym się powiększeniu naszej rodziny okazały się w pełni prawdziwe, postanowiłem wywieźć Wandę do Wilna.

Zamieszkała w pokoiku przy ul. Rzecznej, odnajętym dzięki staraniom jej siostry Anieli Dziewulskiej, niedaleko mieszkania jej rodziców.

Gdy wróciłem do Szemietowa, nie było już szkoły. Została spalona. Nie było też małego białego domku na skraju wsi, w którym zamieszkaliśmy po przybyciu do Szemietowa; co gorsze oddział partyzantki radzieckiej szukał lekarza i wyraźnie interesował się tym, gdzie jestem i kiedy wrócę.

Perspektywa zostania lekarzem w oddziale radzieckiej partyzantki nie imponowała mi, zdecydowałem się opuścić wieś. Zabrałem więc aptekę i narzędzia i przenieśliem się ponownie do Świru..

Dwukrotnie jeszcze odbyłem samotną podróż wozem do Szemietowa, aby zabrać resztę dobytku i zlikwidować wszystkie sprawy. Nie pamiętam, kiedy zostali zabrani przez nasze oddziały dwaj ranni chłopcy leczeni przeze mnie w domu sąsiadów. Ranni czuli się już zupełnie dobrze.

Ostatnim razem miałem szczęście. W rozgrzane popołudnie powiadomiony zostałem przez zadyszanego chłopaka, że kilku konnych jedzie ulicą miasteczka w stronę rynku. Koń był zaprzęgnięty. Dobry bat i znajomość dróg uratowała mnie i tym razem.

Etap Szemietowszczyzny był już za mną.

Rozpoczął się drugi etap Świru.

## Świr etap II

Zima roku 1943 była surowa. W drewnianym szpitalu we Świrze spalano fury drzewa. Dyrektor i ordynator oddziału wewnętrznego dr Gołoński przyjął mnie chętnie. Z oddziału położniczego Niemcy zabrali dr Bergera – Żyda i wywieźli go do Miadziola, gdzie zginął rozstrzelany z innymi. Akcja wyłapywania Żydów ukrywających się w okolicy trwała już od wielu miesięcy. Niewielu udało się uratować. Kiedyś wpadła do mnie zrozpaczona pielęgniarka szpitalna – Żydówka. Jedynym ratunkiem wydawała się jej zmiana dokumentów. O blankiet zaświadczenia tożsamości nie było trudno. Dostarczył mi go Jan

Paw zatrudniony w Urzędzie Gminnym. Gorzej było z pieczęcią na fotografii i dokumencie. Urzędniczka miała je w szufladzie swego biurka i strzegła jak oka w głowie. Do akcji potrzebne były dwie osoby. Postanowiłem działać sam i podczas gdy Paw wywołał i zatrzymał przez kilka minut stróża pieczęci w swoim pokoju, ja wtargnąłem do szuflady i przyłożyłem pieczęć na dokumencie. Sprawa nie zajęła minuty czasu, lecz kosztowała sporo nerwów. Z jakąż dumą wręczyłem pielęgniarce nowy dokument z aryjskim imieniem i nazwiskiem.

Z podobnie podniosłym uczuciem oburzenia zrzucąłem ją następnego dnia ze schodów, gdy mi w dowód wdzięczności ofiarowywała skórzane cholewki do butów.

Są sprawy w życiu, których się nie załatwia za pieniądze.

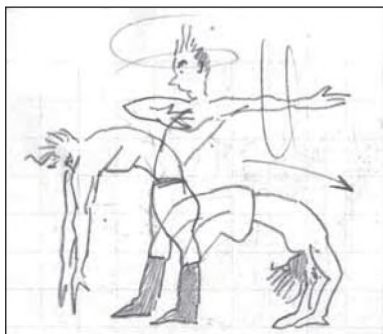
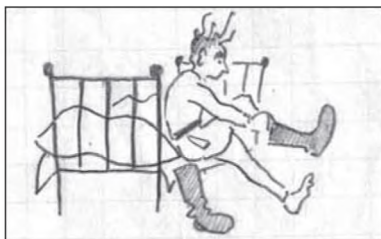
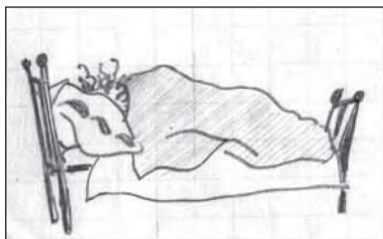
Szpital potrzebował lekarzy. Znając sytuację wielu moich kolegów w Wilnie zaproponowałem zatrudnienie w Szpitalu koledze ze studiów Lechowi Iwanowskiemu<sup>25</sup>. Z zamiłowania skłaniał się on ku neurologii. Był przez jakiś czas współpracownikiem doc Hurynowiczówny<sup>26</sup>. Jego zainteresowania neurologią ujawniły się w pracy w szpitalu.

Leszek był interesującą postacią. Studiował medycynę w Akademii Wojskowej, do której został przyjęty, mimo że zaczął się w mowie. Był ze mną w Kownie. Potem w okresie wybuchu wojny niemiecko-radzieckiej zniknął z horyzontu. Wiedziałem, że się ożenił z koleżanką ze studiów.

---

<sup>25</sup> Lech Iwanowski studia medyczne kończył także w Kownie. W czerwcu 1943 r. został zaangażowany w Szpitalu Powiatowym w Świrze, gdzie współpracował z siatką terenową AK. W październiku został lekarzem 3. Brygady AK „Szczerbca”. Zorganizował szpital partyzancki w Onżadowie. Po wojnie był w ZG ŚZŻAK, a także pierwszym prezesem Okręgu Wileńskiego tego Związku.

<sup>26</sup> Janina Hurynowicz lekarz neurofizjolog pracowała w Klinice Neurologicznej USB, a po habilitacji w Zakładzie Fizjologii Wydziału Lekarskiego USB. W l. okupacji działała w konspiracyjnej służbie zdrowia. Po wojnie prof. UMK w Toruniu.



*Dzień we Świrze.*

Zgodnie z zapowiedzią zjawił się we Świrze mimo niechętnych przygód po drodze. Szykowała się widocznie jakaś większa akcja oddziałów partyzanckich. Została wysadzona kolejka wąskotorowa koło Kobylnika, którą jechał. W drodze do Świru widział zwalone przez szosę słupy telefoniczne, poprzecinane druty. Dotarł do miasteczka wieczorem, a już pierwszej nocy został zabrany jako lekarz przez Niemców i pod karabinem zmuszono go, by wyciągał z rowu postrzelonego żołnierza niemieckiego, podczas gdy z lasu leciały w jego stronę serie świecących pocisków, a nad głową świstały mu kule odstrzeliwujących się Niemców. Wyszedł z akcji szczęśliwie, nie załamało go takie przyjęcie.

Z pracą Leszka w Szpitalu wiąza się obrazki, które już przeszły w legendę. Dyrektor polecił mu wykonać sondę żołądkową u chorego.

– Robił to już kolega?

– Na – na – naturalnie panie Dyrektorze.

Poszedł, nie wracał zbyt długo. Zaniepokojona przełożona pielęgniarek s. Moszyńska idzie do laboratorium i widzi taki obrazek.

Chory siedzi z głową uniesioną do góry, a z ust wystaje mu koniec zgłębnika żołądkowego. Nad chorym stoi dr Iwanowski.

– No... ży – ży – żygaj pan.

Siostra chcąc ratować sytuację przejmuje inicjatywę, bo to przecie do jej obowiązków należy nie do pana doktora, ale mimo usilnych starań nie może pobrać treści żołądkowej. Zwraca się więc do Leszka

– A śniadanie próbne pan doktor dał choremu?

– O psia – psia – psiakrew za – zapomniałem.



Dyrektor otwiera drzwi od pokoju zabiegowego i widzi taką scenę. Stoi policjant litewski z zamkniętymi oczami. Ręce ma wyciągnięte przed siebie i chwieje się.

– O... wi – wi – widzi Pan Doktor objaw Rom – Romberga do – dodatni.



Dyrektor bez słowa podchodzi do policjanta i zwraca się do niego

– ano.. chuchnij pan!  
Komentarze zbyteczne.



Wchodzę do pokoju zabiegowego, który był stałym pomieszczeniem Leszka i widzę: Policjant litewski – chłop ogromny i czerwony na gębie – siedzi na stołku z odchyłoną głową i rozwartymi szeroko ustami. Leszek przy pomocy pincety usiłuje wyciągnąć mu ość rybią, która utkwiała w gardle.

Chwycił, wymknęła mu się. Zdenerwowany usiłuje ją złapać... policjant czerwienieje i krztusi się. Nie udało się.

Leszek ciska pincetę o podłogę.  
– No – no – du – du – duś się pan!



Wyjechał dyrektor ze szpitala do Wilna. Mnie również nie było przez dłuższy czas. Zamiast po kilku dniach wrócił po tygodniu. Jest wiosna. W otwartych drzwiach szpitala stoi dr Leszek oparty o framugę i wystawia twarz do słońca.

– O pan – pan – pan dyrektor!  
– Dzień dobry kolego – jak tam chorzy?  
– Cho – cho – chorych nie ma pa – panie dyrektorze...  
Szpital miał tylko 30 łóżek.



Zima była dobrą porą do utrzymywania kontaktów z terenem. Front się zbliżał. Terenowa sieć Służby Zdrowia działała sprawnie. Oddziały chirurgiczne szpitali były obsadzone lekarzami, którzy udzielali pomocy chłopcom z lasu. Zaopatrywali oddziały w sprzęt sanitarny, operowali rannych w wiejskich chatach i na oddziałach szpitalnych, organizowali transport rannych do Wilna.

W Ostrowiu pracował dr Groński, w innych miejscowościach: dr Hajel, dr Gierasieński, dr Opaski w Łyntupach, w Kiemielizkach Marian Sylwanowicz, który jeszcze nie miał dyplomu, lecz praktycznie przewyższał umiejętnościami niedjednego z lekarzy. Postanowiłem go odwiedzić. W niskich sankach „rozwałkach” mknęliśmy przez niezmierzone lasy. Koń parskał i rwał z kopyta. Zadymka, która trwała przez kilka dni zawiąła drogi, toteż wpadaliśmy czasem w wydmy kruchego, zmrożonego śniegu. W okolicy grasowały watahy wilków, podróż więc nie była bezpieczna. W zmierzchu zdawało nam się, że widzimy przemykające opodal, równoległe do drogi śmigłe cienie. 30 km drogi. Mimo że okryci byliśmy kozuchami, a nogi schowane w słomie, mróz dał się nam we znaki. Zaszliśmy więc do karczmy na skraju Kiemielizek i ... otóż właśnie – zastaliśmy tu Mariana w dość dobrym humorze. Spotkanie trzeba było uczcić. Czciliśmy je godnie. Późnym wieczorem odwiózł nas woźnica do domu, gdzie zapadliśmy w kamienny sen. Tu rozpoczęła się historia, która się zdarza raz w życiu, a której nie można zapomnieć.

Nad ranem obudziło nas stukanie pięścią w okiennicę.

– Otwierać... to do lekarza!

Pobył w Kiemielizkach upamiętnił się we wspomnieniach jeszcze jedną przygodą, dzięki której stałem się posiadaczem dziesięciu pięknych krawatów.

Dom Mariana był schroniskiem wielu studentów i młodzieży – członków licznej rodziny Sylwanowiczów. Rodzina ta znana była z humoru i dowcipu oraz zdolności poetyckich. Witold Sylwanowicz był autorem słynnych szopek akademickich. Po wojnie profesorem Anatomii U. Warsz.

Żyli w kolchozie. Wspólne ubrania, wspólna kasa, jedzenie ze wspólnego kotła. Kolejnie obierany szef zgromadzenia mający władzę absolutną i gabinet osobliwości w postaci gabloty na ścianie zawierającej kurioza od guzików wieloryba po sztuczną szczękę.



*Dr Witold Sylwanowicz.*

wisiało mnóstwo krawatów. Białych, czarnych, kolorowych. Oczy mi zabłysły z zachwytu.

Mimo niezmiernego przywiązania do wiernie mi służącej części garderoby wybrałem dziesięć najładniejszych krawatów (niektóre przetrwały do dnia dzisiejszego). Mój został z orkiestrą i oklaskami zawieszony w gablocie osobliwości.

Front się zbliżał. Oddziały polskiej partyzantki stawały się coraz liczniejsze. Por. „Roland” zniknął w terenie na dłuższy okres czasu. Ja coraz częściej stykałem się z terenem. Pewnej niedzieli odwiedziliśmy z „Rolandem” 3. Brygadę „Szczerbca”. Była msza polowa przed stodołą, był też obiad na świeżym powietrzu. Chłonałem nastrój swobody, pogodny i zdyscyplinowany.

Przypadek chciał, że w czasie obiadu wypsnął mi się spod kamizelki krawat, raczej szczątek krawata. Jedyne to był mój krawat z kawalerskich jeszcze czasów, który, w miarę jak się strzeplił, zawiązywałem coraz wyżej, wyżej aż został szczątek tej ozdoby, który chowany za sweter lub kamizelę wyglądał zupełnie przyzwoicie.

Towarzystwo oceniło to inaczej.

– 10 krawatów za ten jeden, który pójdzie do gabloty.

Zaprowadzono mnie do szafy, gdzie na drzwiach

Na stole zjawiała się miednica pełna pieczonego drobiu, a kiedy wzorem mieszczucha ograniczyłem się do zjedzenia skrzydełka, komendant brygady wetknął mi w rękę gęsie udo z rubasznym uśmiechem.

– Jedz doktorze, starczy dla wszystkich – to wolny polski ptak!!

Nie wiedział wtedy – watażka – że w imię tej wolności sam sobie złamie skrzydła.

W miasteczku wraz z wiosną czuło się powiew nadziei – większy ruch.. więcej pogody ducha. Coś wisiało w powietrzu. Naczelnik poczty Tukan nocował u siebie nieznanym młodych ludzi, w rodzinie Ciechanowiczów częściej bywał *Sonderführer*, zapraszali go na wódkę, przy której można się było więcej dowiedzieć. Zaaferowany chodził ulicą miasteczka dr Ambroz – „fałszywy doktor” jak go ludność nazwała, bo mimo tytułu nie chciał leczyć (był doktorem filozofii). Coraz to jakiś młodzian zatrudniony w Urzędzie Gminnym zjawiał się na ulicy w wysokich butach i ginął z horyzontu po kilku dniach. Coraz częściej słyszało się o potyczkach polskich oddziałów, o rozbrajaniu posterunków żandarmerii niemieckiej.

Ja sam wiozłem kiedyś w drodze powrotnej z lasu list od jednej z brygad do komendanta posterunku żandarmerii we Świrze, który przekazałem naczelnikowi poczty. Nie znałem treści tego listu, najpewniej nie wróżył nic dobrego. Na polnej drodze spotkałem wtedy nawet komendanta – pozdrowiliśmy się uprzejmym *Guten Tag herr doktor*. Miałem okazję, by list wręczyć osobiście, nie skorzystałem z niej jednak, z ulgą kierując się do miasteczka, podczas gdy on pojechał w odwrotnym kierunku.

W tym czasie w Wilnie było zimno i głodno. Brak opału spowodował produkcję piecyków blaszanych, które się stawiało na stole i które opalało drewnienkami długości 10-15 cm. Grubości ołówka. Dawno już zniknęły z półek „maistasy”. Litwini większość produkowanych artykułów spożywczych przekazywali na potrzeby wojska.

Korzystałem z każdej okazji, by przesłać do Wandy słonię, kaszę czy kosz z jajami, o które lekarzowi pracującemu w terenie było łatwiej niż o pieniądze.

Wanda włączyła się w akcję tajnego nauczania. Uczyła młodzież szkolną. Jej siostra Aniela – „Krystyna” od dawna była związana z ruchem oporu. Wiedzieliśmy, że pełni poważną funkcję w Komendzie Obwodu. Sprawy te nie były przedmiotem rozmów. Rodzice szczególnie niepokoili się o nią, udawali że o niczym nie wiedzą i tak było lepiej.

Aniela wykorzystywała niekiedy pokój Wandy dla celów konspiracji. O oznaczonej godzinie zjawiał się ktoś z określonym hasłem, dzwonił do drzwi ustaloną ilość razy i wręczał Wandzie ciężką paczkę lub skrzynkę, która czekała pod łóżkiem aż zjawi się po nią następna dyskretna osoba.

Jako sublokatorka zajmowała Wanda pokój u Rosjan – tych białych Rosjan zamieszkałych w Wilnie przed wojną, u których córki bywali oficerowie niemieccy. Sytuacja więc mogła być powikłana niespodziankami.

Dokładne rozeznanie w programie dnia gospodarzy, znane i ogólnie stosowane w pracy konspiracyjnej znaki i sygnały stanowiły zabezpieczenie przed wpadką.

Pokoik miał ścianę od schodów, w którą można było stuknąć bez korzystania z dzwonka przy drzwiach.

Pewnej nocy stukanie do ściany obudziło Wandę. Zerwała się wystraszona i otworzyła drzwi, przez które wśliznęła się zadyszany „Tosiek” (Teodor Cetys)<sup>27</sup>. Uciekł z kotła, strzelali za nim – zmylił ślady i okrężną drogą dotarł do Wandy prosząc o nocleg.

---

<sup>27</sup> Właściwy pseudonim „Sław”. Cichociemny skoczył w kwietniu 1942 r. W Okręgu Wileńskim AK szef Oddziału III Okręgu, z-ca szefa sztabu KO, szef sztabu polowego Dowództwa Oddziałów AK Wilno i Nowogródek. Od 15 lipca 1944 mjr.

Noc spędził na dywaniku na podłodze. Spał jak suseł, nawet tak chrapał, że istniała obawa, że obudzi gospodarzy. (Hańba, mężczyzna nocą w pokoju mężatki.)

Rano opowiedział szczegóły. W mieszkaniu, w którym miał wyznaczone spotkanie, byli już Niemcy. Zatrzymane osoby siedziały w jednym pokoju pod nadzorem oficera niemieckiego, ich dokumenty leżały na stole. Znalazły się tam również i dokumenty (oczywiście fałszywe – jedne z wielu) „Tośka”.

W przedpokoju siedział przy drzwiach uzbrojony żołnierz. Jak się potem okazało, drugi żandarm znajdował się na schodach.

Zręcznie manewrując „Tosiek” wyrwał ze swego dokumentu fotografię, wpadł do przedpokoju, zdzielił teczką siedzącego tam Niemca przez głowę, a że znał dobrze zamek u drzwi, otworzył go w mgnieniu oka, zatrzaskał drzwi za sobą i skokami zbiegł ze schodów. Przy drzwiach zderzył się z żandarmem, którego odtrącił i który sięgnął natychmiast po broń, podczas gdy Tosiek biegł do żelaznej bramki na ulicę. Zatrzaskując za sobą bramkę potknął się i upadł. W tym czasie padły strzały, które przeszły nad głową.

Biegł teraz ulicą – była godzina policyjna – ulice puste. Niemiec pędził za nim strzelając. Tosiek – chłopak wojskowy doliczył do siedmiu strzałów... same pudła, skoczył w boczną uliczkę i czując za sobą pogoń odbiegł daleko, aż na Kolonię Montwiłowską w innej dzielnicy miasta.

W ucieczce miał okazję wykorzystać umiejętności koman-dosa, nabyte w Anglii. Czołgał się więc pod murami więzienia – poza zasięgiem wzroku strażnika. Zawisnął w drewnianym ustępie pod dachem, podczas gdy pogoń z psem szukała go lartarką na dole, skakał przez płoty, przedzierał się przez krzaki nad brzegiem Wilii i od strony Zakretu dotarł do Wandy.

Przygoda skończyła się szczęśliwie. Musiał jedynie zmienić „rysopis” – Anielka przemaalowała go na blondyna, wyszedł koloru pośredniego, rudy. Musiał zniknąć na pewien czas za-nim sprawa ucichła.

A tymczasem wyszkolony i uzbrojony przez Niemców Litewski Korpus Posiłkowy gen. Plechavičiusa, zorganizowany przez Niemców do walki z polskimi oddziałami, ruszył do akcji.

Żołnierze litewscy nie byli dla naszych chłopców straszni. W walkach pod Olkienikami, Świrem, Murowaną Oszmianką, Santoką, Wornianami zostali sromotnie pobici. Największa ich bitwa pod Grauzyszskami skończyła się ich największą klęską. Około 400 chłopów zostało rozbrojonych, rozebrano ich do bielizny pozostawiając jedynie hełmy niemieckie, obcięto guziki od kalesonów i pod konwojem puszczono w kierunku miasteczka i stojących na jego skraju bunkrów. Tam padła komenda: Ręce do góry! Biegiem marsz.

Scena była tak malownicza, że Niemcy fotografowali biegnących i gubiących bieliznę wojaków.

Waleczne wojsko załadowano w samochody ciężarowe i powieziono do Wilna. Ludność Wilna długo komentowała scenę przechodzenia żołnierzy w hełmach i w bieliźnie z samochodów do budynku Gestapo.

Uzbrojenie oddziałów gen. Plechavičiusa znakomicie wzmocniło stan posiadania naszych oddziałów.

Akcja ta miała miejsce w początkach maja. W tym czasie i ja już byłem w oddziale.



O powołaniu do szeregów zostałem powiadomiony przez „Rolanda” wcześniej. W początkach kwietnia.

Decyzja nie była łatwa. Za kilka miesięcy Wanda spodziewała się rozwiązania. Sytuacja najbliższej rodziny nie była łatwa. W Wilnie przebywała moja matka. Odpowiedzialność za ich losy ciążyła na mnie.

Nie ja jeden i nie one jedne znalazły się w tym czasie w podobnej sytuacji. Życie mierzyło się wówczas inną miarą, a sprawy własne i wspólne stawiało się w określonej kolejności. Nie było w tym szukania przygody. Nie było młodzieńczej beztroskiej brawury. Nie było też pięknych haseł... „ojczyzna”, „ofia-

ra”... – Nasi ojcowie nazywali tę sytuację „potrzebą” – dla nas była to „powinność”. – Stawialiśmy ją na pierwszym miejscu. Tak było i tak być musiało!!!

Należało jeszcze tak zniknąć z miasteczka, by nie pociągnęło to za sobą represji w stosunku do rodziny.

Lekarz powiatowy zwolnił mnie w celu przebadania w Wilnie stanu zdrowia, gdyż z nastaniem wiosny czułem się szczególnie osłabiony i obawiałem się gruźlicy płuc.

W Wilnie zostałem przyjęty na obserwację do szpitala gdzie ordynatorem był dr Śmigielski, a kierownikiem laboratorium prof. Hiller. Nieswojo czułem się na sali szpitalnej między prawdziwie chorymi. Na szczęście sprawa szybko się wyjaśniła. Badanie krwi wykazało u mnie białaczkę limfatyczną. Rozmaz krwi pozostał jako dokument w laboratorium prof. Hillera. Wypisany zostałem ze szpitala do Zakładu Terapii Rentgenowskiej. Założyłem tam kartotekę i uzyskałem zaświadczenie o leczeniu, które przesałem lekarzowi powiatowemu we Świrze.

Okazało się, że całkowicie pozbyłem się choroby nie wskutek terapii promieniami X. Wystarczyły promienie słońca przenikające przez gałęzie drzew. Sanatorium w Związku Radzieckim znakomicie przyspieszyło rekonwalescencję, ale tak kompleksowej terapii nie przewidywałem w swych planach.



Tadeusz Ginko

## W NIEWOLI SOWIECKIEJ 1944-1946

### Rozbrojenie i marsz w konwoju do Miednik

**W**iadomość o rozbrojeniu i aresztowaniu przez Armię Radziecką Generała „Wilka”<sup>1</sup> wraz ze sztabem, dotarła do nas nocą. Przyniósł ją jakoby adiutant „Węgielnego”<sup>2</sup> – „Gerwazy”. Zarządzono alarm. W pośpiechu formowały się oddziały i wymaszerowały na drogę, która niebawem zapełniła się końmi, wozami taborowymi i maszerującym wojskiem. Nie znaleźliśmy kierunku, w jakim płynęła ta rzeka. Noc była na tyle jasna, że nie pogubiliśmy się. Część taborów pozostała przy drodze. Wozy czołówki sanitarnej były w komplecie, Oddziały nieobciążone taborami miały nas szybkim marszem; dowiedzieliśmy się od nich, że kierujemy się w stronę Puszczy Rudnickiej.

---

<sup>1</sup> Pseudonim płk Aleksandra Krzyżanowskiego (1895-1951) k-dta Okręgu Wileńskiego AK, d-cy operacji „Ostra Brama”, aresztowanego i więzionego przez NKWD w Riazaniu i Griazowcu, w 1948 aresztowanego przez UB i po wyrafinowanych torturach w więzieniu mokotowskim zmarłego 29.IX.1951 r.

<sup>2</sup> Mjr Mieczysław Potocki („Kamienny”, „Węgielny”) (1909-1986), d-ca Inspektoratu „BC” powiaty: brasławski, święciański, postawski i dziśnieński), następnie Zgrupowania nr 2 (6 brygad partyzanckich), podstępnie aresztowany i osadzony w obozach Ostaszkowo i Morszański, w l. 1948-1950 więziony przez UB, inspirator wielu poczynań kombatanckich o tematyce wileńskiej.

Szarzało, kiedy wkroczyliśmy w kępy drzew. Wtedy usłyszeliśmy nad sobą warkot samolotów; droga o dziwo, była wolna. Na skrzyżowaniach nie było posterunków radzieckich, nie stały czołgi, które widzieliśmy w okolicach Wołkorabiszek, kiedy zmierzaliśmy na koncentrację.

Wkroczyliśmy na olbrzymią przestrzeń wolną od lasu, otoczoną wzgórzami; środkiem ogromnej doliny biegła droga przez żyto, wysokie po ramiona. Na pagórkach otaczających dolinę stało wojsko radzieckie z bronią skierowaną na nas. Samoloty, jakby dla zademonstrowania swej siły, obniżyły pułap i przelatując nad długimi rzędami wojska puściły kilka serii po życie. Od wzgórz zaczęły się odrywać pojedyncze postacie schodzące miedzami w naszym kierunku. Byli to oficerowie radzieccy, którzy wystarczająco jasno przedstawili naszą sytuację wołając: *Nuka, brasajtie orużja, wy okruženy...*

W poczuciu całkowitej bezsiły, pod groźbą wykoszenia ogniem karabinów maszynowych na całkowicie odsłoniętym polu, uświadomiliśmy sobie naszą przegraną.

Broń składano w przydrożnym rowie. Wyjąłem z magazynku pociski i rozsiałem po życie, za nimi poszedł i pistolet. Nie użyłem go ani razu. Moją bronią były wozy sanitarne. Poleciłem sanitariuszom napełnić chlebaki materiałem opatrunkowym. Nagarnąłem leków do plecaka pozostawiając cały sprzęt czołówki na wozach.

Skierowano nas na rozległy, odkryty stok góry, otoczony kordonem *bajców*. Oddzielono oficerów od szeregowych. Nie posiadając stopnia wojskowego pozostałem przy żołnierzach.

Po kilkugodzinnym wyczekiwaniu uformowano olbrzymi konwój, ustawiając nas piątkami. Mimo szerokiej kolumny utworzył się wąz kilometrowej długości; po jego obu stronach, w odległości 5 metrów szli uzbrojeni żołnierze z bagnetami na karabinach; w pewnej odległości za nimi jechali konno oficerowie. Skierowano nas na przełaj przez pola. Deptaliśmy dojrzałe żyto, mijaliśmy wsie, których mieszkańcy wyglądali z przerażeniem przez uchylone drzwi i okna. Bliżej zabudowań rozległy

się krzyki i strzały. Pojedynczy żołnierze urwali się z szeregów i pryskali w stronę domów lub lasu. Jednego złapano i *bajcy* przyprowadzili go w pobliże kolumny. Młody chłopak bez czapki, śmiertelnie przerażony rozglądał się rozpaczliwie na boki. Dосkoczył na koniu major z pistoletem w garści i z odległości 2 metrów strzelił chłopcu w głowę. Usłyszałem tylko zduszony krzyk „o, Jezu”... chłopak zwałił się na ziemię i znieruchomiał. Ryzyko ucieczki stało się jeszcze większe; postawa konwoju była zdecydowana. Każdemu, kto by próbował oderwać się od grupy, groziła śmierć.

Słońce grzało niemiłosiernie, koszule kleiły się do przepoconych pleców, a myśmy szli, szli, szli....Po kilku godzinach zorientowałem się ze zdumieniem, że zatoczyliśmy ogromne koło, by znaleźć się w tym samym miejscu, które już mijaliśmy. Chodziło więc jedynie o to, by nas krańcowo zmęczyć, a przez to zdusić w nas chęć jakiegokolwiek oporu.

Pod wieczór, niemiłosiernie utrudzeni, weszliśmy na ubitą drogę wysadzaną drzewami. Przed nami wyrósł z zielonej ściany drzew wysoki mur, a w nim brama prowadząca na rozległe podwórze. Kilka drewnianych domów, jakies długie szopy, baraki, przybudówki. Były to Miedniki<sup>3</sup>. Ruiny dawnego zamku i czworaki, reszta posiadłości nieznanych właścicieli. Przez otwartą szeroko bramę weszliśmy na dziedziniec.

---

<sup>3</sup> Miedniki (Miedniki Królewskie) wieś 28 km na wschód od Wilna, ongiś z warownym grodem książęcym i zamkiem (XIV w.), siedziba św. Kazimierza Jagiellończyka, od 1486 posiadająca prawa miejskie. W 1519 Rosjanie zniszczyli zamek, a w 1812 Francuzi spalili miasteczko. 17 lipca 1944 Armia Czerwona w ruinach zamku utworzyła obóz internowanych żołnierzy Armii Krajowej.

## W obozie w Miednikach

Zmęczeni całodziennym marszem żołnierze kryli się od piekących jeszcze promieni słońca w cień szop i nielicznych krzaków bzu, kładli się z chlebakami pod głową lub skupiali w żywo dyskutujące grupki. Wszystkich nurtowała tajemnica dalszych losów. Uciekać, czy nie uciekać?... Oczywiście uciekać! Ale jak i kiedy?... Szczerby w murach uniedostępniał drut kolczasty. Mając na sobie wojskowe lub na wpół wojskowe ubrania byliśmy skazani na rozpoznanie i nie oddalilibyśmy się od obozu nawet na kilkaset metrów. Wykorzystując rozmaite okazje znikali ci śmiałkowie, którzy dobrze znali teren i posiadali cywilne ubrania. Przez bramę napływały wciąż nowe grupy chłopców, spotykali się znajomi z różnych ugrupowań i oddziałów. Rozmowy, opowiadania...ktoś zaczął grać na ustnych organkach. Najwięcej zainteresowania budziły sanitariuszki, w których obecności zniknęło zmęczenie i przygnębienie, słychać było nawet żarty i śmiech.

Z lekarzami 2. Zgrupowania wybraliśmy głębiej stojący, drewniany, piętrowy domek na pomieszczenia sanitariatu, pokój na parterze przeznaczając dla sanitariuszek, a na piętrze dla lekarzy. W lewym skrzydle budynku zorganizowaliśmy ambulatorium, a na piętrze izbę chorych. Zaczęli się zgłaszać lekarze z innych ugrupowań i brygad. W potężnej masie żołnierzy (po kilku dniach liczba ich dochodziła do 5 tys.) poczuliśmy się odpowiedzialni za stan sanitarny obozu. Studnia wyczerpana do dna już pierwszego dnia, roje much, brak ustępów groziły epidemią. Wybraliśmy samorząd obozowy, mnie powierzyli koledzy obowiązki szefa służby zdrowia. Zapasy z własnych chlebaków szybko się skończyły, zgłosiliśmy się do władz radzieckich w sprawie żywności niecierpliwie oczekiwanej. Tymczasem warunki higieniczne pogarszały się, co prawda wykopano pod murem dół kloaczny, ale mimo że był wielkości pokoju, zapełnił się tak szybko, że trzeba było kopać drugi.

Przez bramę dostarczano nam wodę w beczkach, a z kuchni polowej zupę, której nigdy dla wszystkich nie starczało. Wyżywienie tak wielkiej ilości żołnierzy nie było łatwe. Zwróciłem się do władz radzieckich wysuwając projekt wykorzystania dobrej woli okolicznych wieśniaków. Dano mi wóz i pozwolono na zbieranie żywności od mieszkańców najbliższych wiosek. Zabrałem ze sobą Jurka Prüffera i razem wyruszyliśmy w teren. Ofiarność miejscowej ludności była wzruszająca, wóz napełniono bochenkami chleba, serami, dzbankami z mlekiem i miodem. Oddaliliśmy się od obozu o kilka kilometrów, bez konwoju, mając niejedną okazję do ucieczki, ale nie przyszło nam nawet na myśl, by pozostawić chłopców bez pomocy. Czuliśmy się naprawdę potrzebni.

Czas leciał szybko. Wieczorami wybiegałem myślą do matki, która przeżywała boleśnie naszą tragedię i do żony, która właśnie w tych dniach oczekiwała rozwiązania. W podobnej sytuacji był również mój przyjaciel, lekarz Witek Tymiński<sup>4</sup>.

Trzeciego dnia w godzinach popołudniowych podszedł do mnie jeden ze strażników:

– *To wy doktor Jan?*

– *Tak, to ja*

– *Wy użę atiec, docz imiejecie... Priszła wasza mać i zdjot na was.*

Za chwilę trzymałem w ramionach matkę, dotarła do Miednik część drogi furmanką, część pieszo, a część nawet wojskową ciężarówką. Przywiozła radosną wiadomość o rozwiązaniu Wandy, a w węzélku cywilne ubranie i trochę żywności. Pewna była, że ułatwią mi ucieczkę.

– *No więc jak, uciekniesz?*

Zwilgotniały mi oczy widząc jej niemy, pytający wzrok.

---

<sup>4</sup> Witold Tymiński pseud. „Newada” ppor. W oddziale Kedywu dowodzonym przez Zygmunta Augustowskiego, d-ca plutonu walczącego w Powstaniu Wileńskim.



*Miedniki. Widok ogólny – stajnie, baraki. Fot. S. Białożyłt.*



*Ochrona przed słońcem (pusta beczka), w głębi mury zamku. Fot. S. Białożyłt.*



*Rozbrojeni żołnierze 7. Brygady Wilhelma. Od lewej: Czesław Białożył, Henryk Białożył, Zygmunt Komar, Sylwester Chęczyński, Stanisław Wroński, Leon Lisatowicz. Fot. S. Białożył.*



*Kuchnia w Miednikach. „1 kocioł „pszeno” dzienne”. Miesza Stanisław Białożył, pomaga: Henryk Dzikiewicz, stoją obok: Michał Baniukiewicz, Leopold Kozakiewicz, Stanisław Zmitrijewski. Fot. S. Białożył.*

– Nie mogę, mam, jakże opuszczę chłopców w tej tragicznej sytuacji pełnej niepewności i goryczy?

Piątego dnia pobytu w Miednikach pojawił się polski oficer w randze porucznika, znany mi z okresu uniwersyteckiego – Anatol Mikułko<sup>5</sup>. W obozie poruszenie, rozeszła się wiadomość, że celem jego wizyty miała być propozycja przejścia do I Armii Wojska Polskiego, pod dowództwem gen. Berlinga<sup>6</sup>.

Mikułko usiłował nieudolnie wyjaśnić naszą sytuację, ale w jego argumentach nie było takich, które by usprawiedliwiały zdradę sojusznika i potrafiły nas nakłonić do złamania złożonej przysięgi. Szybko opuścił obóz. Po jego odjeździe zaczęła krążyć po obozie lista ochotników do Wojska Polskiego, chłopcy wśród kpín i śmiechu wpisywali nazwiska: Dupnicki, Skurwysyński, Gnojek... Rano nastroje były zacięte, w powietrzu wisiała burza.

Po południu przyjechała ciężarówka z radzieckimi oficerami, jeden z nich pod płaszczem radzieckiego oficera miał mundur pułkownika Wojska Polskiego. Mówił o zwycięskim marszu w pogoni za hitlerowskim najeźdźcą, o bohaterstwie broni, o sojuszniczych armiach, o zdradzie rządu londyńskiego, o możliwości walki z Niemcami w szeregach Wojska Polskiego. Z tłumu zaczęły się sypać okrzyki o zdradzie, aresztowaniu naszego dowództwa, o przysiędze żołnierskiej. Ktoś zawołał:

– Dawajcie nam naszych oficerów, z nimi pójdziemy! Zwróćcie nam „Wilka”!

Tłum podchwycił ten okrzyk i zaczął skandować:

– „Wilka”, „Wilka”, „Wilka!”

– *Ach da, Wołka хочycie...nu charaszo, pojedziecie na wołki* – z przekleństwem oficer zatrzasnął drzwi samochodu

<sup>5</sup> Anatol Mikułko (1910-1955) lekarz, dziennikarz, kolaborant z sowieckim aparatem propagandy, lekarz-chirurg w I Dywizji im. T. Kościuszki.

<sup>6</sup> Zygmunt Berling (1896-1980) generał, od 1939 w niewoli sowieckiej, współzałożyciel Związku Patriotów Polskich, d-ca I Dywizji im. T. Kościuszki, a w 1944 Armii Polskiej w ZSRR, odwołany po próbie pomocy Powstaniu Warszawskiemu.



i za chwilę kurz na drodze za samochodem rozwiął się, zniknął.

Zrozumieliśmy, że wyrok na nas wydany zapadł. Wystąpił nasz kapelan; w ciszy i uroczystym skupieniu rozległy się słowa modlitwy, z baraków wylegli wszyscy chłopcy. Kapelan krótko przemówił o konieczności ufnej wiary, o ostatecznym zwycięstwie prawdy, po czym udzielił kłęczącym rozgrzeszenia „in articulo mortis”. Rozbrzmiała pieśń-modlitwa, po raz pierwszy przez nas wspólnie odśpiewana, a znana już polskim żołnierzom walczącym na wszystkich frontach: *O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń*. Takich chwil nie zapomina się nigdy...

Po kilku dniach zlecono lekarzom likwidację izby chorych, na której leżało kilku chorych na biegunkę. Zażądałem od władz radzieckich przewiezienia chorych do szpitala w Wilnie. Przesłano samochód ciężarowy, wyznaczono mnie konwojentem grupy, na platformie umieszczono żołnierza radzieckiego z karabinem. Wśród chorych przemyciłem kilku zdrowych.

Skierowałem samochód do szpitala św. Jakuba wiedząc, że polski personel lekarski zajmie się w odpowiedni sposób zarówno chorymi jak i zdrowymi chroniąc ich przed Rosjanami. W tym też szpitalu spodziewałem się zastać żonę i maleńką córeczkę.

Po przekazaniu moich podopiecznych udałem się na oddział położniczy. Wszedłem na salę chorych z biało-czerwoną opaską na rękawie, z ryngrafem na piersi (ten nieznośny romantyzm!...). Zdumienie ogólne! Przecież głośno już było w mieście o rozbrojeniu oddziałów Armii Krajowej, o podstępnym aresztowaniu jej dowództwa, o izolowaniu żołnierzy w Miednikach. Kilka bezładnych pytań i odpowiedzi, gorączkowe szukanie najpotrzebniejszych, a nieuchwytnych słów, szczęście niespodziewanego spotkania i zaraz potem powrót do nieubłaganej rzeczywistości.

– Już teraz pozostaniesz z nami?

– Nie, kochana, nie mogę, zrozum, ufają, że wrócę, że ich nie opuszczę, nie zdradzę ucieczką, że będę im pomagał, jak tylko potrafię.

Wanda zgodziła się bez słowa sprzeciwu, znała walkę przez udział w tajnym nauczaniu, w pielęgnowaniu rannych, w obsłudze skrzynki kontaktowej.

Zastanawiam się dzisiaj nad podjętą wówczas decyzją: czy była to egzaltacja wywołana wielkością „sprawy”, czy pragnąłem być bardziej potrzebny, niż to było w rzeczywistości, czy przecucie, że będę bezpieczniejszy w gromadzie, nie wiem. Po-  
stanowienie takie powziąłem już w Miednikach i nie mogłem go zmienić.

Przed opuszczeniem szpitala wstąpiłem na chwilę do pokoju noworodków, zobaczyłem foremną buzię i ciemne włoski naszej maleńkiej Anielki, która we śnie wysunęła do mnie języczek.

Udało mi się namówić kierowcę, by zajechał na ul. Dobrą, gdzie mieszkali rodzice mojej żony i gdzie spodziewałem się znaleźć siostrę żony, Anielę Dziewulską ps. „Krystyna”<sup>7</sup>. Podczas okupacji była początkowo kierowniczką łączniczek, a potem razem z siatką łączności przeszła do komórki szefa sztabu „Ludwika” (ppłk. Krzeszowski)<sup>8</sup>. Na szczęście zastałem ją w domu i przekazałem wszelkie dane dotyczące naszego uwięzienia i przetrzymywania w Miednikach, by jak najszybciej powiadomiła o tym nasz rząd londyński.

---

<sup>7</sup> Aniela Dziewulska pseud. „Krystyna” (1916-2004) geofizyk, szef łączności na m. Wilno, sekretariatu sztabu Okręgu Wileńskiego AK oraz archiwum, zesłana w 1944 na 10 lat do obozów pracy przymusowej w ZSRR a następnie na bezterminowe zesłanie do sowchozu Krasnogorskiego, w 1955 wróciła do Polski.

<sup>8</sup> Lubosław Krzeszowski pseud. „Ludwik” (1897-1965) ppłk, z-ca k-dta Okręgu Wileńskiego AK, szef sztabu. Po zdradzie sowieckiej – jako jeden z nielicznych zgodził się na służbę w armii Berlinga i namawiał aresztowanych kolegów do współpracy z NKWD.



*Aniela Dziewulska na zesłaniu.*

Z ciężkim sercem wsiadłem do ciężarówki, gdzie kierowca już się niecierpliwił i ostro nas poganiał.

Najbliższe dni upływały w niepokoju, wiedzieliśmy, że ważą się nasze losy. 27 lipca duża grupa żołnierzy radzieckich zapełniła plac zamknięty ruinami zamku. Polecono wszystkim ustawić się w szeregach przed barakami. Przeprowadzono kontrolę plecaków i toreb, zabrano osobiste dokumenty. Mój tymczasowy dowód tożsamości zwinąłem w rurkę i wsunąłem do tubki po lekarstwie. Część lekarstw rozdzieliłem pomiędzy kolegów. W niewielkim plecaku miałem brezentową płachtę namiotową, cywilne ubranie, dostarczone przez matkę, przybory do pisania i rysowania, niewielki notesik, w którym zapisywałem ważniejsze wydarzenia. Ustawieni w kolumnę, otoczeni konwojem opuściliśmy Zamek Miednicki.

## Z Kieny do Kaługi

– *Pa wagonam!*

Stacja Kiena<sup>9</sup>. Wagony towarowe bydłące, zakratowane lub zabite deskami okienka. Z desek półka, na którą ładujemy się z Witkiem Tymińskim i Jurkiem Prüfferem, jest z nami Mietek Pimpicki<sup>10</sup> właściciel zestawu narzędzi chirurgicznych i kleszczy dentystycznych, jest także Janek Rymian<sup>11</sup> z brygady „Juranda”<sup>12</sup>. Ponad 60 osób w wagonie, część stoi, część siada pod ścianami, głodno. Nastrój szubieniczny: „Jeszcze nigdy nie było tak, żeby jakoś nie było”. Konwój zamyka z trzaskiem drzwi, zaryglowuje je od zewnątrz. Ruszamy – kierunek Wschód.

Wsiadając do wagonu nie przypuszczaliśmy, że podróż będzie bardzo długa. Już po pierwszy dniu mieliśmy dość zaduchu i ciasnoty. W Mińsku pierwsza racja żywnościowa – chleb i sucha, piekielnie słona ryba. Marzenia o wodzie nie do spełnienia. Transport zatrzymywano na pustych przestrzeniach pozwalając wyskoczyć z wagonów, by koło kolejowych torów załatwić swoje naturalne potrzeby, konwój rozstawiał się wtedy o kilkanaście kroków od nasypu, by mieć wszystkich na oku.

Kilkakrotnie zatrzymywaliśmy się na mniejszych stacjach, waliliśmy pięściami w drzwi domagając się ich otwarcenia. Jeżeli spełniono nasze żądanie widzieliśmy grupki ubogo ubranych kobiet, patrzących na nas wrogo. Mówiono im, że wiozą faszystów. Zdziwione, że mówimy po polsku, a więc nie

<sup>9</sup> Kiena stacja kolejowa, trzecia od Wilna na trasie Wilno-Oszmiana. Stąd 27/28 lipca 1944 internowanych żołnierzy AK z Miednik wywieziono do Kaługi.

<sup>10</sup> Mieczysław Pimpicki pseud. „Biały”, „Orzeł” (1913-2008) lekarz w Obwodzie Oszmiańskim AK, później Zgrupowania nr 3 „Jaremy”.

<sup>11</sup> Jan Rymian pseud. „Pean” lekarz w 1. Brygadzie „Juranda”.

<sup>12</sup> Czesław Grombczewski pseud. „Jurand” (1911-1944) d-ca 1. Brygady AK. Poległ podczas Powstania Wileńskiego w bitwie pod Krawczunami-Nowosiólkami.

jesteśmy Niemcami, dawały się czasem ubłagać i przynosiły ze stacji kubki *kipiatoku*. Im dalej w głąb kraju, tym było trudniej o wodę.

Mowy nie było o umyciu rąk, słońce paliło, pragnienie dokuczało, słona ryba piekła wyschnięte wargi. Nastrój stawał się coraz bardziej ponury, wybuchały kłótnie. Znalazłem na szyi wieszak. Witek był oburzony, jak mogłem do tego dopuścić; przeglądał codziennie swoją koszulę i oznajmiał triumfalnie, że jest nietknięta robactwem, ale piątego dnia zaklął szpetnie, była niejedna. Cały wagon ryknął śmiechem.

Transport włókł się powoli. Przystoje na polu trwały godzinami, nie pozwalano otwierać wagonów. Ktoś spróbował wystawić przez okienko wiadomą część ciała, by się załatwić. Padł strzał. Na najbliższym postoju wezwano do opatrunku. Nie było warunków, by wyciąć operacyjnie ranę, chłopak miał rozszarpane mięśnie pośladkowe. Wywiązała się zgorzel gazowa, śmierć zabierała swoją pierwszą ofiarę. Pochowaliśmy chłopaka pod Orszą, a właściwie zagrzebaliśmy go przykrywając darnią.

Minęliśmy Smoleńsk. Jedynym nadal pożywieniem była słona ryba. Zaczęła się epidemia biegunki. W podłodze wagonu wycięliśmy otwór. Cuchnęło straszliwie. Większość czasu mijała na leżeniu, już nawet nie było ochoty wyglądać przez szpary w ścianach wagonu. Krajobraz był zresztą ciągle taki sam – gładkie, puste przestrzenie, nędzne chutory, skwar, step.

Przed Wizną zmarł drugi żołnierz z powodu krwawej biegunki. Pociąg stał w Wiznie bardzo krótko, nie było łopaty, koło torów znaleźli kupę węgla, zasypali nim ciało. I znów jednostajny stukot kół, głód, pragnienie, przygnębiający nastrój.

Transport zmienił kierunek, jechaliśmy bardziej na południe. W wagonach coraz częściej zjawiali się żołnierze z konwoju, proponowali handel, patrzyli pożądliwie na buty. Spodobały im się szczególnie, moje z dobrej skóry.

– *Pradaj, za czym ani tibia i tak wam odbierut.*

Nie sprzedałem.

Wreszcie siódmego dnia podróży stanęliśmy nie w polu, a na stacji „Kaługa”. Dobiegły nas znajome dźwięki, polski krakowiak grany przez wojskową orkiestrę. Zdumienie nasze nie miało granic, cóż za paradoks!

Na dworcu zjawili się nieznani nam oficerowie i żołnierze, kazano opuścić wagony, uformowano w kolumnę, na czele stanęli radzieccy podoficerowie. Z orkiestrą przemaszerowaliśmy przez miasto do koszar.

### Koszary czy „łagier”?

Koszary leżały w dzielnicy miasta przylegającej do rzeki Oki. Ubogie drewniane domki miały drewniane płoty lub ogrodzenia z drutu kolczastego. Przypominały swoim wyglądem najuboższą dzielnicę Wilna – Śnipiszki. Na każdym kroku widać było zniszczenia wojenne. Cerkwie stały wypalone, bez drzwi i okien. Na dachu jednej z nich zauważyłem wysoko między kopułami rosnącą, półtorametrową brzoźkę.

Pewnego dnia pracując przy noszeniu cegieł, zająłem do wnętrza tej świątyni. Kruchtę używano jako ustęp, wewnątrz było całkowicie wypalone i puste, tylko na głównej ścianie, tam, gdzie dawniej był ołtarz, pozostało jedno ramię krzyża z ręką Chrystusa na osmolonej belce. Było to tak wymowne, że aż wstrząsaające.

Dziwnym zrzędzeniem losu przy ulicy przebiegającej prostopadle do koszar, zachował się stalowy budynek, coś w rodzaju pałacyku z kolumnkami, o białych ścianach. Mówiono mi, że to jest historyczna pamiątka z wojen napoleońskich. W tym domu miał się zatrzymać feldmarszałek Kutuzow, przed nim zbierały się wojska rosyjskie wyruszające na bitwę pod Borodino. Poza pałacykiem rozciągał się nieduży ogród otoczony drutem kolczastym. Zielone grzędy ogórków, kapusty i brukwi kusily wzrok.

Los nasz, jako żołnierzy Armii Krajowej, był już przesądzony, lecz ostateczne decyzje były uzależnione od wyników



*Kaluga – 9.IX.1944 r.*

rozmów na najwyższych szczeblach, wszak byliśmy nadal „zbrojnym ramieniem rządu londyńskiego”. Dochodziły do nas słuchy, że mamy zostać rezerwowym pułkiem Armii Czerwonej, szkolonym na wzór wojsk radzieckich.

Zebrano nas na placu koszarowym, po czym zostaliśmy podzieleni na rotę, zwoły, bataliony i ustawieni w czworobok pod komendą oficerów radzieckich. Przed frontem pułku stanął pułkownik ze świtą i głosem nawykłym do rozkazywania wygłosił przemówienie.

Dowiedzieliśmy się, że nazywa się ppłk. gward. Jarmułow, że jest dowódcą 361. pułku rezerwowego Armii Czerwonej, że odtąd będziemy traktowani jako wojsko radzieckie, dostaniemy sorty mundurowe zgodnie z obowiązującymi przepisami i broń, i to nie byle jaką, bo maszynową i przeciwpancerną, a po przeszkoleniu, gdy nadejdą rozkazy, zostaniemy najpewniej skierowani na front.

Przypomniął o obowiązku posłuszeństwa i dyscypliny, o karach, które za jej łamanie będą surowe według prawa wo-

jennego, że zaszczytem dla nas będzie noszenie na czapkach czerwonej gwiazdy – godła kraju rewolucji i sprawiedliwości społecznej. Szmer protestu i głosy oburzenia zostały pominięte milczeniem.

Zostaliśmy rozdzieleni między baraki. Osobne pomieszczenie otrzymał *zwod wraczej*. W dowód szacunku dla naszego wykształcenia pozostawiono nam nasze własne buty i...włosy na głowie. Przydzielono nam sorty mundurowe: drelichowe *gimnaściorki*, *briuki*, *briusznoj pojas*, kalesony, onuce i furażerki, na których zaraz pojawiły się polskie orzełki.

Pokój, który przydzielono lekarzom, wydawał się czysty. Na piętrowych pryczach umieściliśmy sienniki ze słomą, otrzymaliśmy prześcieradła i po dwa koce. Pod ścianami stały szafki na własne rzeczy. Obok pokoik sierżanta. Nasz sierżant Dobruckij pełnił funkcje członka egzekutywy partii i należał do podoficerów polityczno-wychowawczych przydzielanych do każdego zwodu.



*Starszyna Dobrucki.*

Nie bez zadowolenia wyciągnęliśmy się wieczorem na czystych prześcieradłach. Sen przyszedł nagle. Pod sufitem świeciło przez całą noc nikłe światło żarówki.

Nigdy nie zapomnę tej pierwszej nocy... Swędziało mnie całe ciało, przewracałem się z boku na bok, wreszcie rozgniotłem na twarzy coś mokrego, poczułem smrodliwy zapach, usiadłem przerażony na pryczy uświadamiając sobie nagle, że zostałem zaatakowany przez pluskwy. Na sąsiedniej pryczy siedział już Bohdan



## Tadeusz Ginko w Kałudze



*Zdjęcie wykonane przez NKWD.*





*w środku*



*Sieredniaki 1945 r.. W górnym rzędzie 1. od lewej (4. od lewej Babiński, 7. St. Lenartowicz, w środkowym rzędzie 1. z prawej Mańkowski).*

do pasa nagi i strząsał z ramion i pościeli tysiące ruchliwych, opitych krwią stworzeń. *Kłapy!* Makabra, obłęd! Nikt z nas do rana nie zmrużył oka. Atakowani byliśmy z sienników, ze szpar przycz, z sufitu... Jedyłą bronią były zapałki, palące wkładało się w szpary desek, w spojenia przycz.

Rano sierżant dobrotliwie się uśmiechnął:

– *No czoż, pożywiosz-prywykniosz.*

Kłapy okazały się codziennymi towarzyszami frontowego zaplecza.

– *Padiom!* – pobudka. Zwody biegiem ruszają na poranną gimnastykę, potem bieg do koszar, a dyżurni ruszają po prowiant na śniadanie. Myjemy się, zanim przyniosą kawę, żołnierski chleb i tygodniową normę cukru. Z wyżywieniem nietęgo.

Kazano nam zdjąć z czapek orzełki, a gwiazdki kazano wyciąć z blachy po świńskiej tuszonce. Były sprzeciwy, raporty, nic nie pomogło. Tłumaczono nam, że z braku polskiego umundurowania musimy się zgodzić na formy okresu przejściowego uznając ich starania, by nas wyszkolić na prawdziwe wojsko. Niemile to było, ale nie najważniejsze. Orzełki z czapek znikły. Dopomogła temu codzienna *prawierka wieszczej*. Robiono ją dokładnie zabierając osobiste rzeczy, nie należące do żołnierskiego wyposażenia. Rewidujący oficerowie spoglądali łakomie na zegarki, złote obrączki, przedmiotem zazdrości były wysokie buty ze skórzanymi a nie parcianymi cholewami, a nawet... włosy na głowach lekarzy. Podobno był nawet raport w tej sprawie radzieckiego kaprała. Otrzymał odpowiedź kapitana:

– *Prikaz eto prikaz. Kak ty budziesz imieć wyższe obra-zowanie i tiebie wołosy ostawim.*

Przez dłuższy czas udało mi się ochronić cywilne bryczesy i zamszową kurtkę, którą nosiłem w oddziale; po paru tygodniach zniknęło z szafki jedno i drugie, gdyśmy byli na ćwiczeniach. Nauczyłem się nie przywiązywać większej wagi do własnych rzeczy. Przez szereg kontroli udało mi się przemyścić brezentową płachtę namiotową, okazała się być doskonałym „surowcem” do wyrobu rękawic.

Przedmiotem oporów był rosyjski język komend i rosyjskie piosenki. Śpiew jest składnikiem atmosfery życia w szeregach, ale domagaliśmy się polskich wojskowych piosenek, chociaż melodie rosyjskich były niekiedy bardzo ładne i łatwo wpadały w ucho; niestety, wyświechtało je radio, głośniki na ulicach, młodzieżowe masówki.

Pozwolono nam śpiewać polskie piosenki pod warunkiem, że będziemy ćwiczyć rosyjskie. Ćwiczyli więc chłopcy *Szyraka strana maja radnaja...* ale z szelmowskim uśmiechem kończyli zwrotkę słowami: *ja drugoj, takoj strany nie znaju, gdzie tak wolno zdycha czelawiek.*

Najchętniej śpiewaną i najbardziej lubianą okazała się być pieśń „*Marsz, marsz, Polonia, marsz dzielny narodzie. Odпочniemy po swej pracy w ojczystej zagrodzie*” ...

W czasie toalety porannej w umywalni w koszarach słychać było najpierw mruzcando, a po tym w pełnym brzmieniu pieśń-modlitwę „*O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń*”...

Mijały tygodnie i zapoznawanie się z bronią. Pepesze i ręczne karabiny maszynowe z wielkim talerzem z nabojami nie były chłopcom obce, nierzadko posługiwali się nimi w leśnych oddziałach. Najwięcej trudu sprawiało im obecnie kopanie rowów przeciwczołgowych; musiały mieć odpowiednią szerokość, a ich głębokość powinna była przewyższać wzrost żołnierza. Po wykopaniu rowu *starszyna* stawiał za wzór najlepiej wykonany, pułkownik wyrażał *blagadarność* żołnierzowi, który milczał, wtedy *starszyna* podpowiadał mu przejęty: *skazy – na sławu sowietskawo sajuza!*

Przy następnym rowie *starszyna* wskazywał na żołnierza, który popisał się najgorzej, a ten prężąc się nad dołem salutował: *na sławu sowietskawo sajuza!* Ta scenka była przedmiotem opowiadań i radości wszystkich chłopców.

Mimo uczucia ucisku, przymusu, wrogości maskowanej dyscypliną, mimo bolesnych zwodów i tragicznych chwil, które rozdzieliły nas z krajem, byliśmy w gromadzie, wspieraliśmy

się drwiną, śmiechem i nie opuszczało nas przeświadczenie, że każdy dzień zbliża nas do Polski, ponieważ nasza sytuacja musi się wyjaśnić.

Służbę zdrowia stanowili lekarze i studenci medycyny. Do lekarzy należeli: dr Jan Brzozowski<sup>13</sup>, dr Mieczysław Pimpicki, dr Jan Rymian i ja – Tadeusz Ginko; studentami medycyny byli: Bogdan Buchowski, Witold Tymiński i Jan Mańkowski, ale pełnili funkcje lekarzy, sanitariuszem był Kaczanowski.

Po upływie dwóch tygodni naszego pobytu w Kałudze dołączono do nas brygadę „Wawrzeckiego” z Braślowszczyzny, która została rozbrojona później i którą spotkał ten sam los z tą różnicą, że nie odłączono od niej oficera. Tak więc „Wawrzecki”-Krauze<sup>14</sup> jako dowódca 24. Brygady i ppor „Topór” – Czesław Budrewicz wraz z lekarzem dr Eugeniuszem Waszczukiem<sup>15</sup> i z doświadczonym sanitariuszem Stanisławem Pietkielewem zostali włączeni w skład *zwodu* lekarzy.

Na szefa *zwodu* obrano mnie. Do moich obowiązków należała najpoważniejsza czynność – dzielenie bochenków chleba na równe porcje, każda okruszyna była cenna. Mimo dokładnego dzielenia chleba na 150-gramowe porcje zawsze odbywało się jeszcze losowanie. Jeden z nas obrócony tyłem do stołu wywoływał nazwisko, a ja przydzielałem ułożone .kolejno porcje.

Odczuwaliśmy bardzo silnie niedobory jedzenia. Marna zupka z kawałkami konserw lub kielbasy na obiad, cienka kawa

---

<sup>13</sup> Jan Maciej Brzozowski pseud. „Sowa”, „Mietek” (1906-1990) lekarz, w 1939 opiekujący się na Litwie uchodźcami z Polski, twórca szpitali polowych w Onżadowie i Szwajcarach, na przełomie sierpnia i września 1945 zwolniony z Kaługi, w Polsce pracujący w Fordonie.

<sup>14</sup> Kazimierz Krauze pseud. „Wawrzecki”, „Kumiel” (1916-2008) d-ca 26. Ośrodka Dywersyjnego w Obwodzie Braślowskim, organizator 85. Oddziału Leśnego (OL-85) oraz 23. Brygady Braślowskiej, d-ca 24. Brygady „Dryświaty”, po zdradzie sowieckiej w Kałudze, z której deportowano go do Riazania, Diagilewa i Czerepowca, w l. 1950-1955 więziony w PRL.

<sup>15</sup> Eugeniusz Waszczuk lekarz 24. Brygady „Dryświaty”.



*Rozdzielanie (przez autora) porcji chleba.*

z chlebem na śniadanie i kolację. Czasami była słona, wędzona ryba lub śledź, po których odczuwaliśmy męczące pragnienie, lecz tego było stanowczo za mało dla młodych, zdrowych organizmów, toteż kolejnym przywilejem – oczyszczanie łyżką resztek z wiadra po zupie. Pitkiel był szczególnie wrażliwy na sprawiedliwy podział, toteż gdy Jasio Mańkowski<sup>16</sup>, u którego instynkt głodu był silniejszy od poczucia solidarności grupo-

<sup>16</sup> Jan Mańkowski student medycyny wykonujący obowiązki lekarza w 4. Brygadzie „Narocz”.

wej, złamał kiedyś obowiązujący rytm kolejki, doszło do bójki przy stole i tę scenę udało mi się uwiecznić w karykaturze.

Podjeźrzewaliśmy rotę *bajców* z magazynu o okradanie nas z przydziałowych porcji. Magazynier był kutą na cztery nogi bestią, robił na nas niejednen interes. Kradzieże były w wojsku na porządku dziennym, toteż czuliśmy się rozgrzeszeni biorąc udział w wyprawach do magazynu, które wzbogacały nasze zapasy żywnościowe.

Okazje nadarzały się, kiedy dyżurny *nariad* był w kuchni, w czasie noszenia posiłków czy transporcie produktów do kuchni.

Podczas gdy sierżant załatwiał z magazynierem formalności obliczając produkty i kwitując ich odbiór, nasze oczy biegały po półkach magazynu, workach i beczkach, by się zorientować, co można zwędzić. Raz były to ziarna pszenicy, które wsypywało się garścią do kieszeni, innym razem śledzie z beczki „ginęły” za pazuchą ociekając płynem, dlatego też nasze gimnastycyki cuchnęły nie tylko potem, mimo starannego doprowadzania ich do porządku...

Największą zdobycz stanowiły bochenki chleba; nosiło się je w workach do kuchni pod nadzorem uzbrojonej straży składającej się z dwóch *bajców* i sierżanta. Mimo to znalazły się sposoby, bochenki znikaly nie wiadomo w jaki sposób i nigdy nie można było doliczyć się ich prawidłowej liczby, dlatego też sierżant musiał chodzić do magazynu po *dobawkę*. Tajemnica polegała na tym, że chleb chowano do kubła z pomyjkami, który stawiano za drzwiami kuchni. Żołnierz przeciskając się z pełnym workiem bochenków przez drzwi, zręcznie wyciągał jeden bochenek a widoczny przez konwój tylko od tyłu – wkładał go prawą ręką do kubła. Pehnięty przez kolegę wpadał jak z procy do kuchni, tu oddawał prowiant. Sprawą uzgodnioną z *nasiadem* było wyjąć bochenek, obciąć z niego skórę i podzielić zdobycz między „organizatorów”.

Nasi przełożenie byli mistrzami w „organizowaniu”; od nich uczyliśmy się żyć w socjalistycznym społeczeństwie. Pewnego dnia został wydany przez *kom-bata* rozkaz naprawienia

umywalni, a raczej dostosowania jej do potrzeb większej ilości żołnierzy. Nie było jednak żelaznych rur koniecznych do doprowadzenia wody. Zapytany o materiał *starszyna* wzruszył bezradnie ramionami, lecz sam *kom-bat* podpowiedział mu rozwiązanie problemu:

– *Kakże eto, wsiotki my w Kaługie imiejem sostwiennyj zawod...*

Rzeczywiście, kilka ulic dalej była fabryka, czy też skład żelaznych rur, trzeba było je tylko umiejętnie „zorganizować”...

Nocą ruszył z koszar oddział naszych chłopców dowodzony przez *starszynę*, który pod płotem magazynu zablokował żołnierzom ulicę i pod opieką czujek zdobył przez dziurę w płocie tyle rur, ile było trzeba. Umywalnia została naprawiona ku zadowoleniu wszystkich, a żołnierzowi – *starszynie* – wyrażono na apelu *blagadarność* za oszczędny, bo we własnym zakresie przeprowadzony remont koszar *k’sławie sowietskomu sojuzu!*...



*Dopólniteliyj pajok.*



Możliwości „organizownia” dodatkowego dożywiania (*dopólnitielnyj pajok*) stawały się coraz bardziej ograniczone toteż i nasza pomysłowość rosła.

W oddzielnych koszarach na terenie miasta umieszczono rotę tzw. *niestrojowych*, przydzielono do niej zbieraninę sanitariuszy, z kat. D, starszych już wiekiem partyzantów niekwalifikujących się do służby wojskowej oraz nasze dziewczęta-sanitariuszki. Mogli oni swobodniej się poruszać, łatwiej też im było wymknąć się do miasta, gdzie istniała możliwość kupna *lepioszek* – placków kartoflanych pomieszanych z pastewnymi burakami. Chociaż używane do tego kartofle były przemarznęte, *lepioszki* wszystkim smakowały, bo musiały smakować, wypełniając żołądek zabijały głód.

Sprawa *dniewalnego* w dniu inspekcji koszar przez dowódcę pułku odbiła się głośnym echem we wszystkich barakach, była długo powtarzana i komentowana. *Dniewalnym* – służbowym był tego dnia „Topór” – Czesiek Budrewicz. Jako odznakę władzy miał przy pasie *sztyk* bez pochwy, zawieszony na sznurku.

Wchodzący poczet *komandirów* z dowódcą pułku powitał jak należy salutując służbowo i raportując:

– *Dniewalny 2-wo bataliona bajec Budrewicz....*

Pułkownik odwrócił się na pięcie i idąc korytarzem zaglądał do kątów i do szaf kontrolując czystość. Tego dnia było wyjątkowo czysto i nie można było do niczego się przyczepić, toteż kazał odsunąć szafę i pociągnąwszy palcem po gzymsie ściany surowo ściągnął brwi:

– *Dniewalny, a czto eto?*

– *Griaż – tawariszcz podpułkownik*

– *Nu wot, griaż, eto możet byt’ w waszej polskoj armii, no w naszej Krasnoj Armii griaży niet* – pociągnął palcem pod nosem zaczerwienionego ze złości Czeška.

I tu stała się rzecz niespotykana – „Topór” bez słowa zrobił przepisowe – w tył zwrot – i defiladowym twardym krokiem opuścił towarzystwo.

Reakcja była piorunująca! Inspekcja przerwana, Czesiek z niesubordynacją został odprowadzony do aresztu. Następnego dnia został wezwany przed oblicze majora dla złożenia zeznań, tu sprawę postawił jasno:

– Podpułkownik źle się wyraził o polskiej armii, to armia sojusznicza, obraził w ten sposób mnie jako Polaka i jako żołnierza sojuszniczej armii...

Nie trzeba było innych usprawiedliwień, bez słowa został zwolniony z aresztu. Stał się bohaterem pułku!

Postawa „Topora”, zdaniem władz politycznych, nie mogła być reakcją zwykłego żołnierza, tylko oficera. Rozpoczęto penetrację wśród zwodów szukając oficerów. Coraz to kogoś proszono do osobnego domku, gdzie urzędował oficer NKWD, na przesłuchanie.

Czułem że jestem obserwowany; kręcił się koło mnie i zagadywał młodszy lejtnant, którego podejrzewaliśmy o pracę w kontrwywiadzie.

Čzęsto rozmawiałem ze *starszyną* Dobruckim. Polubił mnie widocznie, może dlatego, że traktowałem go jak człowieka, chętnie opowiadał o swojej rodzinie i pracy. Ja mu mówiłem o córeczce, która jeszcze mnie nie zna, a nawet narysowałem mu jego portrecik wiedząc, że Rosjanie nie lubią karykatur, które już wówczas były moją specjalnością.

Pewnego dnia obaj ci Rosjanie zaproponowali mi wyjście z nimi do miasta w celu zrobienia fotografii. Po drodze lejtnant zaprosił mnie do swego domu; chętnie na to przystałem. Uboga, mieszczańska chatka okazała się być schludną, a jej mieszkańcy starali się być gościnnymi gospodarzami. W izbie mieszkalnej stały okazałe drewniane łóżka ze stosami poduszek, obok nich starodawna komoda, w kącie zauważyłem ikonę, a na ścianie duży obraz przedstawiający Chrystusa idącego wśród zboża; takie obrazy spotykałem na naszych wsiach. W rogu pokoju stał fortepian.

Lejtnant mieszkał z matką i siostrą, poprosiłem ją o zagranie jakiejś melodii. Trudno wyrazić moje zdumienie, gdy z dna szafy wyjęto grube, stare modlitewniki, rozdano je obecnym,

a kobieta akompaniując na fortepianie odśpiewała razem z całym towarzystwem kilka zwrotek...psalmów. Niespodziankom nie było jeszcze końca. Przygotowano kolację, do stołu usiedli sami mężczyźni, ale przed rozpoczęciem posiłku wojskowi powstali, przeżegnali się szerokim prawosławnym krzyżem i odmówili głośno modlitwę... To samo powtórzyło się po kolacji: *Błagadamim ciebia Hospodi...* Czyżby to była mistyfikacja? Nie potrafiłem sobie na to odpowiedzieć. Serdecznie pożegnałem gospodarzy i we trójkę wróciliśmy do koszar.

Mimo pozornego spokoju i uregulowanego porządku dnia nie opuszczał nas stan psychicznego napięcia związany z naszą niepewną sytuacją. Sprawy wielkiej wagi toczyły się poza nami i były nam nieznane. Bezustannie czuliśmy przygniatający nas ciężar. Byliśmy w niewoli, koszary otaczał wysoki płot z drutów kolczastych, ale nie to było najgorsze, tylko atmosfera zawieszona w powietrzu niebezpieczeństwa.

Wieczorem, kiedy w zwodzie lekarzy wszyscy już leżeli, czytałem głośno rozdział *Krzyżaków*. Egzemplarz przez nas posiadany był już tak „rozczytany”, że brakowało okładki, kartki się rozszypywały, co nikomu nie przeszkadzało; najważniejsze, że ktoś go uratował, że był z nami... W miarę czytania wracał spokój, znikало napięcie, przybliżał się dom, niepostrzeżenie ogarniał wszystkich dobry sen, wtedy gasiłem kopciłkę i sam szedłem spać.

Nadszedł wrzesień a z nim chłodne wiatry; rozdano nam *buszlaty* i watowane kurtki; zimą były nieocenione! Nadszedł czas, gdy służyły nam jako sienniki i koce.

Niedobory posiłków stawały się coraz bardziej odczuwalne i ciężkie do zniesienia.

*Zwod* lekarzy został wyznaczony do specjalnych prac. Naprawialiśmy w umywalni dach, pchaliśmy wóz ze smołą potrzebną do tego remontu, rozbieraliśmy rozwalające się ruiny, przynosiliśmy cegły na odległość kilkuset metrów. Najwięcej dało nam się we znaki noszenie kolejowych szyn; wyznaczono do tej pracy 12 chłopów, ale nierówny teren i nierówny wzrost kolegów sprawiała, że często ciężar wgniatał w ziemię.



*Lekarze przy pracy fizycznej.*



*Prace remontowe i porządkowe na terenie obozu.*



*Prace na terenie obozu.*



*Katuga. Brama do obozu.*

Pewnego dnia wyznaczono Mietka i mnie do przeniesienia dużego, gipsowego popiersia Gorkiego, wydobytego z ruin w stanie oplakany. Nos był odbity, duże wąsy przysłaniały usta. Na cokole wyryte było nazwisko pisarza. Niesłychany był to ciężar! Urywał ręce, nieśliśmy go na noszach odpoczywając co kilka kroków; siadaliśmy wtedy na posągu, jeden z nas na głowie a drugi na cokole. Scena była godna uwiecznienia, toteż machnąłem serię karykatur; na szczęście umieściłem na cokole nazwisko Gorkiego, nie przypuszczając jakie to się okaże kiedyś ważne...

Nie minęło wiele dni, gdy zostałem wezwany do „specjalnego” referatu na przesłuchanie pod zarzutem wykonywania rysunków zwróconych przeciwko... Stalinowi! Siadanie na jego głowie profanowało i bezcześciło Wielkiego Wodza Narodu. Pokazano mi dwie wykonane przeze mnie karykatury; odetchnąłem z ulgą widząc wyraźny podpis na cokole. Tłumaczyłem, że posąg Gorkiego był ogromnie ciężki i dlatego odpoczywaliśmy siadając na nim. Usprawiedliwienie przyjęto.

Wspaniałą postacią i nieocenionym w każdych warunkach kolegą był dr Mietek Pimpicki. Tryskał siłą i zarażał optymizmem. Nie tracił nadziei i podtrzymywał ją u innych, jego bronią były: kpina, żart i rubaszny śmiech – bezcenne w tamtych trudnych dniach. Zawsze można było na niego liczyć. Jako student Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie był jednym z najbardziej czynnych sportowców AZS-u, mistrz Polski w pływaniu i wielokrotny mistrz narciarski.

Pewnego dnia porwał ze sobą trzech kolegów: Janka Rymliana, Waszczuka i mnie i ścieżką między ruinami wyprowadził nad Okę, gdzie zginęliśmy w starych okopach. Z kieszeni jego *buszlatu* wyjrzała puszcza świńskiej *tuszonki*, pół bochenka chleba i flaszka wódki.

– No, chłopcy, golniemy! Dziś moje urodziny!...

Znalazła się i szklanka. Trzeba było się spieszyć, więc swoją porcję należało wypić jednorazowo. Chyba tylko *tuszonce* zawdzięczałem, że wróciłem do koszar żywy! Były więc i takie relaksy.

Głód dawał się coraz silniej we znaki. Spadł śnieg. W poszukiwaniu jedzenia postanowiliśmy korzystać z pozostawionych na polu warzyw. W czasie porannej gimnastyki, prowadzonej w zupełnych ciemnościach, zakradaliśmy się do ogrodu i wynosiliśmy stamtąd główki kapusty, przerzucaliśmy je przez ogrodzenie koszar i po przejściu przez bramę obok straży odnajdywaliśmy swoje skarby.

Za pieniądze można było czasami kupić brukiew, ale skąd wziąć pieniądze? Nieocenionym okazał się Jurek Prüffer. Jako *niestrajawoj* miał prawo poruszania się po ulicach Kaługi, nawiązał czarnorynkowe znajomości. Jemu to przyszedł na myśl pomysł sprzedawania *adiejatów* czyli kocy. Zdejmowaliśmy je kolejno z prycz, owijaliśmy kocem niewąski brzuch Jurka, zapinaliśmy na nim *buszlat* i tak wychodził za bramę. Po kilku dniach przynosił ruble i zabierał następnego koca.

*Starszyna* Chain – stary Tatar, chłopisko porządne z krwi i z kości, zaglądał co tydzień z notesem i liczył pościel, liczył także koce, to było całe misterium *Adin, dwa, tri... dwienadset* – zapisywał w notesie i wychodził. Po tygodniu było *dziesiat* a po dwóch *wosim*. Nie interesowała go stale zmieniająca się liczba koców, jego obowiązkiem było przeliczenie i zapisanie, i to spełniał sumiennie. Podobna sytuacja była w każdym baraku.

Nagle nadeszła zapowiedź inwentaryzacji magazynu!... Nocą obudziły nas strzały i niebywały ruch w koszarach. Rano sprawa się wyjaśniła – magazynier spłoszył złodzieja. Otwarte okno, ślady na śniegu w stronę płotu, a w płocie dziura, strzelał, ale nie trafił. Oczywiście remanent w magazynie wykazał ogromne braki, ale protokół o kradzieży wyjaśnił sprawę wystarczająco. *Starszyna* Dobrucki był wyraźnie zadowolony. Ucieliśmy szczerą rozmowę, narysowałem jego portret.

Przez kilka dni śnieg padał nieprzerwanie i pokrył ziemię grubą warstwą. Zgodnie ze zwyczajem garnizonu miasta Kaługi każdego roku odbywały się tu zawody narciarskie o mistrzostwo garnizonu, które stanowiły eliminacje do zawodów całego okręgu wojskowego.

Dowódca pułku rzucił propozycję, by jednostka wzięła udział w zawodach. Wysunęliśmy dr Pimpickiego do organizacji *zwoду лыжников*. W drużynie znaleźli się byli członkowie AZS-u, dawni czynni sportowcy, tacy jak Romek Ruskowski a między innymi i ja. Należałem do Akademickiego Klubu Włóczęgów Wileńskich, zasmakowałem w narciarskich włóczęgach, ale nigdy jazdy na nartach nie traktowałem jako wyczynowego sportu.

Wymieniono nam sorty mundurowe na ubrania treningowe, upomnieliśmy się o większe porcje żywnościowe. Pozostawiono nam swobodę w ustalaniu czasu i miejsca treningu.

Były to najwspanialsze dni naszego pobytu w Kałudze – dwa tygodnie wolności! Treningi prowadził dr Pimpicki, zarówno przed jak i po południu narzucając nam ostre tempo. Zalesione pagórki w okolicach Kaługi stały się celem naszych wypraw. Wracaliśmy zmęczeni, ale pełni chłodnego, rześkiego powietrza, które przywracało nam siły fizyczne i psychiczne. W dniu eliminacji na 20 startujących zająłem jedenaste miejsce, w zawodach garnizonu wzięło udział pierwszych dziesięciu. Zamieniłem więc ubranie treningowe na *buszlat* i własne buty, których na szczęście nikt nie ukradł.

Liczyliśmy na zwycięstwo Mietka, ale Rosjanie byli znacznie lepiej od nas odżywieni i silniejsi; mimo to zajął drugie miejsce i pokazał, co są warci Polacy. Do zawodów *wojenkommatu* już nie doszło, nasze losy uległy zmianie.

## Po odmowie przysięgi

W Armii Czerwonej, tak jak w każdym wojsku, po okresie rekruckim odbywa się uroczysta przysięga. Jednomyślny, zgodny sprzeciw całego pułku określił nas zupełnie jasno jako obywateli polskich. Zamierzona uroczystość stała się manifestacją solidarności żołnierzy. Kolumny zebrane na placu opuściły go ze śpiewem „*Marsz, marsz, Polonia*”... Przed przysięgą zwolniono do domu nasze sanitariuszki; razem z tą grupą wyjechała



żona Bohdana Buchowskiego<sup>17</sup> – Rena Bukszczaninówna będąca w ciąży. Wtedy studentka medycyny, w Polsce skończyła studia i została psychiatrą.

Nagle przyszedł rozkaz, którego przyczyn jeszcze nie znaleźliśmy: „Oddać broń”. Zamiast rusznic przeciwpancernych i pepesz dostaliśmy drewniane kije... Coś wisiało w powietrzu. Któregoś ranka z naszego zwodu zabrano Krauzego, Budrewicza, ponoć także kilku innych ukrywających się dotąd wśród żołnierzy. Wywieziono ich w nieznanym kierunku, potem dowiedzieliśmy się, iż ich dołączono do naszego dowództwa przebywającego w Riazaniu<sup>18</sup>.

*Starszyna* Chain mrużąc oczka wyznał mi w zaufaniu, że i mnie miano dołączyć do grupy oficerów, ale poręczył za mnie *starszyna* Dobruckij i jemu zawdzięczałem pozostanie w grupie.

W październiku jeden z batalionów opuścił Kaługę, znajdował się w nim Mietek Szczerski. Nie wiedzieliśmy wtedy, że po trzech miesiącach spotkamy się z nim w zupełnie odmiennych warunkach.

Zmiany w naszych losach zbiegły się z wizytą Mikołajczyka w Moskwie i z fiaskiem dyplomatycznego porozumienia rządu londyńskiego ze Stalinem.

Przyszła odwilż, śnieg topniał jak na wiosnę, pod pokrywą śniegu płynęła potokami woda. *Zwod* lekarzy pod nadzorem lejtnanta dostał rozkaz dostarczenia z lasu faszyny do budowy okopów. W odległości kilku kilometrów za miastem rósł dziwny las: nie były to leszczyny, lecz drzewka dochodzące do wysokości 3 m, ubogie w gałęzie, proste jak trzcina. Cięliśmy je przy ziemi, układali w grube snopy, obwiązywali linami i ciągnęli po śniegu.

---

<sup>17</sup> Bohdan Buchowski student medycyny wykonujący obowiązki lekarza w 23. Brygadzie „Brasławskiej”.

<sup>18</sup> Rianzań – miasto w Rosji nad rzeką Oką. W jego okolicy w Diagilewie w l. 1944-1945 był obóz dla oficerów AK i działaczy niepodległościowych aresztowanych przez NKWD.

Nogi mieliśmy mokre, buty przeciekały, mokre onuce ocierały pięty, skóra na stopach zbielała i zmarszczyła, jak na rękach praczki. Postanowiliśmy przyspieszyć robotę, żeby zaoszczędzić czas na rozpalenie ogniska i wysuszenie onuc. Wiatr dął silnie; broniąc się przed zimnem pracowaliśmy szybko, w pocie czoła. Po kilku godzinach mieliśmy snopy związane i przygotowane do transportu.

Lejtnant zawieruszył się gdzieś z inną grupą żołnierzy. Z ulgą znaleźliśmy ukrytą pod śniegiem ziemiankę i zabraliśmy się do rozpalania ogniska. Nagle jak bomba wpadł lejtnant i ostrym głosem zarządził wymarsz. Próbowaliśmy przemówić po ludzku tłumacząc nasz pośpiech i pracę bez najkrótszego nowego odpoczynku, by choć trochę odpocząć i wysuszyć onuce.

Odpowiedź była twarda: *ja wam prikazywaju...* Doszło do sprzeczki, w której obie strony się zacięły i tu nastąpił moment kulminacyjny – lejtnant zaczął odpinać kaburę pistoletu... W oczach chłopców zabłysła wściekłość. Stach Pietkiel i Mietek Pimpicki zaczęli się do niego zbliżać z groźnym wyrazem twarzy, a my otoczyliśmy go ze wszystkich stron; gdyby tylko wyjął do końca pistolet doszłoby do samosądu.

Zrozumiał to, opamiętał się, trzasnął przykrywą kabury i z przekleństwem na ustach wybiegł z ziemianki.

Po wysuszeniu onuc i ogrzaniu się dobrnęliśmy z faszyną do wyznaczonego miejsca. Zdawaliśmy sobie sprawę, że obok nas przeszło wielkie niebezpieczeństwo...

Czas włókł się powoli, odmierzany dyzurami w kuchni, gdzie łatwiej było o dodatkowy talerz zupy. Nocne dyzury były bardzo wyczerpujące, trzeba było obrać 8 worków kartofli dla całego pułku. Jeden z takich *nasiadów* uwieczniłem w karykaturze, gdzie wspólnie z Jasiem Rymianem, Witkiem Tymińskim i Cześkiem Budrewiczem zamienialiśmy się w maszyny. Rosła przed nami góra ostrużyn grożąc nam zasypaniem po szyję, a pełnych worków nie ubywało. Wyśpiewałem tam wtedy cały arsenał znajomych mi piosenek studenckich, włóczegowskich, partyzanckich, a nawet, jakże melodyjnych, romansów Wertyńskiego.

## Z łagru do lasu

Zbliżało się Boże Narodzenie 1944 roku, zbliżał się ku końcowi piąty miesiąc pobytu w Kałudze, kiedy przyszedł rozkaz: *po wagonam*. Otrzymaliśmy *suchoj pajok* na cały dzień, załadowano nas do bydlęcych wagonów i pojechaliśmy w nieznaną.

Pociąg kierował się na północ, potem na wschód... dokąd?... Znowu miarowy stukot kół przypominający tragiczne dni lipca. Za oknem biała płaszczyna. Wiatr porywał tumany śniegu, gdzieś tam dachy ubogich chutorów.

Myśl cofała się w daleką przeszłość. Tą samą drogą, przez te same pola ciągnęły szeregi Polaków, sto lat temu, 80 lat temu... to nie tak dawno. Nie wszędzie docierały kibitki, część szła pieszo od etapu do etapu. A tacy jak my, za otwarty sprząciew z bronią w ręku szli zakuci w żelazne na nogach obręcze... Jak długo szli, jeśli my pociągiem jedziemy przez dni, tygodnie, a oni szli miesiącami...

Miarowy stukot kół, a każdy obrót koła oddala od najbliższych, w nieznaną... Kiedy ich zobaczymy? Jak będzie wyglądało nasze powitanie?

My jesteśmy młodzi, zdrowi, w grupie przyjaciół, związani przynależnością do jednej organizacji, a jak się czuli ci wywożeni z terenów Wileńszczyzny w latach 1940-1941? Oderwani od rodzin, starzy, bez środków do życia i bez nadziei, bez opieki... Ile setek tysięcy Polaków odbywało tę drogę na wschód, ilu straciło tu życie?...

Suchy prowiant dawno już zniknął, jedziemy czwarty dzień. Długie postoje, chłopcy wymykają się z wagonów szukając czegoś do jedzenia. Znowu sucha, słona ryba, znowu wydzielany łyżkami cukier; rybę zjadamy, cukier chowamy do woreczków i ukrywamy na dnie plecaków, chlebaków, toreb, w których głównym dobytkiem są: blaszany *kaciatok*, menażka i łyżka.

Postój w nocy na jakiejś stacji, obok nas wagony towarowe. Zgadywaliśmy, co mogą wieźć. Wreszcie jeden z nas wydo-

stał się na zewnątrz, wlaź pod najbliższej stojący wagon i wyciął otwór w jego podłodze, zaczęło się sypać ziarno!

– Dawajcie menażki, dużo menażek.

Ruch, podniecenie... Stach Pietkiel – najbardziej opiekuńczy sanitariusz, chłop już po czterdziestce, przyniósł z triumfem kilka kociołków pszenicy. Będzie więc Wigilia!... To już jutro! Pociąg ruszył, chłopcy pośpiesznie wskakiwali do naszego wagonu, nadzór zamknięty w swoim wagonie niczego nie widział.

Żelazny piecyk po smarach dymił; dobrze, że mieliśmy jeszcze zapas desek do palenia, w innych wagonach już marzli. Deski podłogi cholernie twarde, wiatr przenikał przez ściany, nogi drętwiały. Naciągnęliśmy *uszanki*, tuliliśmy się do siebie. Nie pamiętam, skąd miałem papachę z lisa, nie marzłem więc w uszy. Zacząłem drzemać, myśli wybiegały do matki, do Wandy i małej Kruszynki...

Znowu postój, koło pociągu wzmożony ruch, podobno wyładowano jeden batalion. Już było ciemno, kiedy wąskotorową kolejką wjechaliśmy w las. Ustawiono nas w szeregi i poprowadzono wzdłuż torów, a potem leśną przecinką. Otwarta w drucianym ogrodzeniu brama, jakieś dachy. Rozdzielono nas między ziemianki, drewniane prycze bez sienników. Wrzuciłem plecak na górną pryczę, tam będę spał.

Nie było straży; ci, co budowali ziemianki, już spali. Wyszliśmy z Witkiem na skraj obozu, rozpaliliśmy ognisko. Był wigilijny wieczór. Topiliśmy w kociołku śnieg, by ugotować w nim pszenicę. Wyjęliśmy zaoszczędzony cukier, było więc danie wigilijne, a smakowało jak prawdziwa *kutja*. Złożyliśmy sobie życzenia. Wpatrzeni w żar ogniska grzaliśmy się ciepłem nie tylko rozżarzonych głowni, ale i uczuciem naszej przyjaźni, otwieraliśmy się przed sobą. Byliśmy w podobnej sytuacji, nie znaliśmy obaj naszych dzieci; on miał syna, ja córkę.

Wiele łączyło nas w przeszłości – to samo gimnazjum, te same studia. Był rok ode mnie niżej w Uniwersytecie Stefana Batorego; w czasie okupacji studia w Kownie. Dzielili tylko – dekel Polonii i włóczęgowski beret. On nosił się dumnie z lisim

ogonem nad uchem, ja z żółtym kutasem przy dużym, czarnym berecie, naciągniętym na jedno ucho. Wprowadzaliśmy zamieszanie w pełne godności życie konwentów. Na zorganizowany przez nich bal sylwestrowy wpadaliśmy nocą w narciarskich butach i ośnieżonych wiatrówkach (ponieważ spotykaliśmy nowy rok w terenie, szusując po Górach Ponarskich), by porywać wydekoltowane panny do oberka na gładkim parkiecie... Myśl odbiegała do wspaniałych lat akademickich, potem do naszych najdroższych, do naszych domów, do kraju... żar przygasał... aż trzeba było wrócić na twardą pryczę.

Rano rozejrzeliśmy się w naszym nowym otoczeniu. Na *linijce* – drodze przed ziemiankami przywitał mnie żołnierz w poszarpanym *buszłacie*. Przerażliwie chudy, na cienkiej, żylastej szyi wąsata twarz tak opuchnięta, że oczy tworzyły wąskie szparki, porwane na kolanach spodnie, wylazące z dziurawych butów onuce... Nie mogłem go poznać, dopiero kiedy się roześmiał, poznałem po głosie – to był Mietek Szczerski<sup>19</sup>, przyjaciel z Wilna i Kowna, mąż mojej koleżanki z wydziału lekarskiego – Zosi Wierzbickiej, oficer, który w czasie okupacji zaczął studiować medycynę. W czasie koncentracji oddziałów dokoła Wilna przybył tam, najpierw jako zastępca dowódcy, a potem jako dowódca, z partyzanckim oddziałem aż spod Lidy. Przyjaciele ukryli go między żołnierzami, stał się jednym z nich.



Mieczysław Szczerski.

<sup>19</sup> Mieczysław Henryk Szczerski pseud. „Żulik” żołnierz Zgrupowania Nadniemeńskiego.

Poprowadził mnie do swojej ziemianki, z której koledzy odeszli już do pracy. Otworzył drzwi. Z wnętrza buchnął wraz z kłębem pary przerażający smród gnijących onuc, wilgoci i ludzkiego potu. Mieszkali tu już dwa miesiące, przysłani z Kalgugi budowali dla nas ziemianki cierpiąc dotkliwy głód.

Kiedy przyzwyczailem oczy do panującej w pomieszczeniu ciemności, ujrzałem blaszany piecyk, dwa rzędy *nar*, onuce rozwieszane na belkach pod sufitem i ...zwisające bosc stopy kogoś siedzącego na górnej pryczy. Mietek chcąc mi pokazać w największym skrócie, co przeżywali, zawołał w stronę siedzącego:

– Romek, Mukin idzie!...

Zobaczyłem półnągą postać, twarz bladą o zmierzwionej, czarnej, spadającej na czoło czuprynie i uderzające oczy – zapadnięte, błyszczące – utkwione w przestrzeń ponad naszymi głowami. Nagle podciągnął stopy na górną pryczę, a na twarzy pojawił się wyraz śmiertelnego przerażenia, to już nie była twarz człowieka, tylko jakiegoś widma...

Odpychając się piszczelami rąk do tyłu, na czworakach, widmo cofało się powoli aż zniknęło w najdalszym kącie *nar*, gdzie panowała taka ciemność, że zniknęła w niej nawet zarys postaci.

Byłem wstrząśnięty, oglądana scena mogła być obrazem z filmu grozy albo straszliwym oskarżeniem. Mukin – najbardziej okrutny lejtnant nadzoru – wybrał sobie Romka na ofiarę swych sadystycznych upodobań i wpędził go w psychiczną chorobę.

## Praca i warunki sanitarne w obozie

Pracowaliśmy dla „Metrostroju” w Moskwie zabezpieczając opał na zimę. Niedaleko po drugiej stronie torów pracowali tu skierowani urzędnicy administracyjni tego przedsiębiorstwa; dalej, w głębi lasu znajdował się obóz Uzbeków skazanych na długoletnie więzienie; z drugiej strony mieścił się podobno obóz dla oficerów Czerwonej Armii, którzy wrócili do ojczyzny z terenów okupowanych.

Nasz pułk złożony z czterech batalionów roboczych rozmieszczono w odległości 1-4 km od siebie. Zajęliśmy ziemianki przygotowane przez pionierską kompanię, do której należał Mietek. We dnie wyrabiali normę, a nocą budowali. Norma wynosiła 10 kubików drzewa. Należało je zciąć z pnia („spuścić”), odrąbać i spalić gałęzie, spiłować i złożyć w sągi; drużyna składała się z żołnierzy. Norma dla dwumetrowych kłód – 12 metrów sześciennych. Praca od rana do wieczora aż do wykonania normy, bez względu na pogodę.

W południe dowożono sankami z obozu jednodaniowy obiad – zupę z mięsną konserwą (tyle tam tej konserwy, co kot napłakał...) i chleb wydany na cały dzień – 300 gramów.

Odcinki pracy w odległości 3-5 km i dalej, dojście torami. Nocą przyjeżdżały pociągi towarowe; każda kompania kolejno ładowała bez względu na to, kiedy skończyła „piłówkę”. Kloce metrowe dźwigał jeden żołnierz, dwumetrowe – dwóch. Ładowało się na lory lub do pulmanowskich wagonów. Nadzór uzbrojony w karabiny pilnował porządku, „żeby nikomu nic złego się nie stało”... Praca na akord, im wcześniej się skończy, tym prędzej się wróci do obozu na kilka godzin snu.

W każdym batalionie mieści się w drewnianym domu *sanczaść*. Wyposażenie apteczki obozowej: jodyna, czarna maść od wrzodów, bandaże, streptocid, kilka ampulek kofeiny.

Przydzielono nam funkcje; zostałem sanitarnym instruktorem. Student Bogdan Buchowski otrzymał stanowisko lekarza batalionu. Zamieszkał w osobnym domku przy bramie; widocznie moja kartoteka była bardziej obciążona. Lekarzami innych batalionów zostali: Mietek Pimpicki – IV, Gienek Waszczuk – III, student Witek Tymiński – I. Instruktorem sanitarnym przy Mietku został Jaś Rymian, dr Waszczukowi pomagał Włodek Bodak – osobny rozdział w życiu obozowym – oraz Stach Pietkiel. W naszym batalionie poszczególne kompanie – *zwody* dostali pod sanitarną opiekę dr Jan Brzozowski i Jaś Mańkowski – student. Witek Tymiński dostał do pomocy Kaczanowskiego.

Pierwszym obowiązkiem sanitarnego instruktora było sprawdzanie każdego rana koszul...na obecność wszy. *Zwod* stał rzędem (i zimą i latem) zdejmował koszule odwracając je na drugą stronę. Sprawdzało się w szwach, w ulubionych miejscach pod pachami i za kołnierzem; tam się szelmy najczęściej chowały. Tych, u których znaleziono wszy, kierowało się do *bani*.

Bania czyli łaźnia była nad rzeczką kilkaset metrów za obozem. Jak na warunki obozowe była urządzona luksusowo. Składała się z trzech części: odwszawialni, rozbieralni i łaźni właściwej. W odwszawialni pracowali funkcyjni – etat uprzywilejowany, bez normy. Ubrania oddawało się przez okienko, wieszano je na drągach, zamykano i wpuszczano parę. Biada skórzanym częściom garderoby: pod wpływem gorącego powietrza zwijały się w twarde postronki. Raziły nas parciane pasy w umundurowaniu *bajców*, teraz przekonałiśmy się, jak były użyteczne.

Dyżurny wręczał każdemu kawałek mydła, na gólasa wchodziło się do *bani*. Duża izba miała pod ścianami ławki, mnóstwo cebrzyków z uchwytami dla rąk. Błaznany kocioł z wodą był podgrzewany od zewnątrz, gdzie dyżurni byli odpowiedzialni za podtrzymywanie pod nim ogniska. Do nich też należało noszenie wody z rzeczki, wlewali ją przez rynny przebijające ściany *bani* do beczek, z których czerpało się wodę zimną z kawałkami lodu.

Największą dla mnie przyjemnością była lodowata kąpiel po rozgrzaniu ciała i zmyciu mydła. Było tylko dwóch śmiałków – olbrzym Strzałkowski i ja, którzy po kąpeli wylewali na siebie cebrzyk lodowato zimnej wody. To nie był lód, to był... ukrop, przed którym wszyscy uciekali na ławki, a my nabieraliśmy oddechu i ...chlust! Z łaźni wychodziłem rzeźki, jakby mi ubyłoby kilkanaście lat.

Drugiego dnia po przyjeździe do obozu w Sieredniakach (tak się nazywała najbliższa wioska) stanął między Witkiem Tymińskim a mną zakład o umycie się wodą z przerębli. Nie było dużego mrozu, za to wiał przeraźliwie silny wiatr. Zdjęcie koszuli już było bohaterstwem. Wygrałem! Nawet nie złapałem kataru. Oto co znaczy psychiczne napięcie.





*W Sieredniakach.*

Który to już mija tydzień? Nie mogłem zasnąć, w głowie kłębiły się myśli, pod biodrem miałem połowę *buszlatu*, drugą połowę przykrywałem się; nad ranem, gdy przygasał piec, robiło się zimno. Pod głową miałem plecak, mocno uciskał, więc go przykrywałem swoją *papachą*. Ktoś gramolił się z *nary*. To dr Brzozowski, zawsze z nieodstępnym kociołkiem, miał w nim kilka kartofli. Obawiając się wycieńczenia na skutek głodu, piekł nocami po parę kartofli i zjadał je rozglądając się na wszystkie strony. Nie widział, że go obserwowałem. Oglądałem z przyjemnością jego piękny profil, polską urodę; tak musieli wyglądać powstańcy 1863 roku na Syberii...

Na dolnej pryczy, niedaleko wejścia zamieszanie, ktoś kłął, wulgarnie rugał:

- Wysikaj się, gówniarzu wieczorem, a nie lej na głowę!... Szarpanina...
- Zostaw mnie, dopiero co byłem...

Powiedziałem, że z pewnością przeziębili pęcherz i stąd parcie. Jedyna rada, to położyć gościa na dolnej pryczy. Co chwilę ktoś wychodził, przez otwarte drzwi wpadało mroźne, kłujące powietrze, buchały kłęby pary. Po wyjściu człowiek się zataczał od świeżego powietrza. Łać przy ścianie nie było wolno, trzeba było biec aż do ogrodzenia, dobre 50 metrów do komórki – był to tylko dół przykryty dachem. Zdążyło się solidnie zmarznąć.

*Starszyna* Chain sypiał przy wejściu w zagrodce oddzielonej deskami, straszliwie chrapał, rytm jego chrapania działał jak środek nasenny.

Kiedyś nie mogłem zasnąć, widziałem jak Strzałkowski wiercił się, potem zapalił *kopcilkę* i wodził nią po belkach sufitu, pluskwy trzaskały i pękały... Wychodziły ze szpar po północy, gdy się już rozgrzały ciała. Rozgniotłem na twarzy coś, co mnie laskotało i cuchnęło. Wstrętny zapach przenikał całą ziemiankę. Szukałem długo gniazda, znalazłem je dopiero po paru miesiącach... pod klapą kieszeni mojego plecaka, tuż pod uchem... Spojrzałem na dół – dr Brzozowski liczył pozostałe kartofle, przykrywał kociołek i starannie obwiązywał go szmatką zamiast sznurkiem. Z kociołkiem nie rozstawał się nawet idąc do *bani*. Na dworze już świtało, nowy ranek rozpoczynany jak inne – *padjom!*...

## Klub artystyczny

Rosjanie lubią muzykę i śpiew. W monotonnym życiu obozu wyraźnie czegoś brakowało. Zwody wychodziły do pracy ze śpiewem: „*Ona biedna tam została, przepióreczka moja mała, a ja sam w obcej stronie, dniem i nocą tęsknię do niej*”... Nic tak nie odrywa od rzeczywistości jak śpiew.

Nie pamiętam od kogo to wyszło, żeby zbudować klub. Może od samego *Zamiestitel kamandira* kpt Andrejewa, a może od *polowych* kpt Bułhakowa, chociaż on widział w klu-

bie coś zupełnie innego – szkolenie polityczne! Wyjątkowo zakuty łeb! Może nasze rozmowy obły się o uszy szpicla Pajęczkowskiego...to nieważne, ważne natomiast, że powoli zaczęliśmy budowę klubu. Kopaliśmy czworobok szerszy i dłuższy niż ziemianki, z jego boków wyrastały słupy na podbelkowanie, a ściany wypełniały się dwoma rzędami belek z trocinami dla ocieplenia, a niedługo potem kładliśmy dach kryty tarcicą. Przybyła podłoga i scena ze schodkami i kurtyną. Migiem doprowadziliśmy światło elektryczne. Znalazł się stół przykryty czerwonym suknem, portret Lenina i portret Stalina. Ozdobienie wnętrza wzięliśmy na siebie. Dookoła był brzozowy las, pnie potężne, że objąć trudno. Kora biała z czarnymi cętkami, guzami, smugami, cóż może być bardziej dekoracyjnego? Rzuciłem projekt obicia ścian, kolumn i sufitu korą. Po tygodniu wnętrze rozjaśniło się wspaniale, stanęły ławki. Mieliśmy klub!!! Zbieraliśmy się w godzinach wolnych od pracy, by pośpiewać. Znalazł się dyrygent w IV rocznicę – Szmyt, podobno prowadził chór w wiejskiej szkole.

– *A na bajanie sumiejet kto igrat?*

– Ho, ho mamy takich!...

– *Nu, tak budiet i bajan...* Znalazł się nie tylko *bajan*, ale i gitara, i bałałajka, i skrzypce, bo znalazł się w III batalionie... Henio Czyż!<sup>20</sup> Mały, szczupły chłopczyzna z odstającymi uszami zabrał się z entuzjazmem do tworzenia orkiestry.

Przychodził codziennie do klubu i spędzał w nim większość dnia; udało się członków orkiestry zwolnić od pracy w lesie. Nie było nut i tu podziwiałem geniusz Henia. Wyśpiewywałem mu staccato dość wolno melodię *Białego Mazura* Wieniawskiego, a on z miejsca pisał nuty na drugi głos. Grał wspaniale na każdym instrumencie, wyławiał np. fałsz w gita-

---

<sup>20</sup> Henryk Czyż (1923-2003) dyrygent, kompozytor był członkiem AK, uczestniczył w akcji „Burza”. Po zdradzie sowieckiej w lipcu 1944 wywieziony do Miednik, Kaługi i obozu pracy k. Jęgorowska.

rze, brał ją do ręki i pokazywał, jak należy grać. Sam prowadził melodię na skrzypcach, sam grał na *bajanie*. Dyrygował ruchami całego ciała, a także brwiami, które uciesznie podskakiwały na czole. Panował nad całą orkiestrą.

Poszukiwaliśmy solistów – śpiewaków. Jeden już był – Babiński z III *zvodu*, przystojne, barczyste chłopisko, z czarną smugą wąsów i boleśnie ustawionymi brwiami.

*Naczalstwo* obiecało nam śpiewnik wydany przez Związek Patriotów w Moskwie; kiedy nadszedł rzuciliśmy się na niego niecierpliwie przerzucając kartki. I oto na stronie Rota: „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród!”...

Powoli zarysowywał się program I występu, brakowało tylko tańca. Postanowiłem temu zaradzić, nie tak dawno byłem przecież członkiem amatorskiego zespołu studentów w Wilnie, który po zajęciu Wilna przez Litwinów zamarzył sobie stworzenie własnego teatru. Kogóż u nas nie było! – Hanka Skarżanka<sup>21</sup>, Irena Maślińska, Igor Śmiałowski<sup>22</sup>, Marysia Mincerówna, siostry Wrońskie („Do Re Mi”), chór rewelersów. Kierownikiem literackim był Józef Maśliński<sup>23</sup>, a w zespole tancerzy wśród czterech par byłem także i ja. Marysia Mincerówna była „twórcą” układu zbójnickiego. Z prób wychodziliśmy na miękkich nogach po skokach i przysiadach powtarzanych bez miłosierdzia długo.

Postanowiłem zainscenizować ten taniec z bójką dwóch rywali o dziewczynę. Ale skąd wziąć dziewczynę? Znalazłem chłopca z buzią owalną i błękitnymi oczkami w ciemnej oprawie

<sup>21</sup> Hanna Skarżanka pseud. „Aktorka”, „Niura” (1917-1992) działała w Egzekutywie Kedywu Okręgu Wileńskiego AK.

<sup>22</sup> Igor Śmiałowski (1917-2006), syn Zbigniewa, aktor od 1940 podczas okupacji niemieckiej należał do AK.

<sup>23</sup> Józef Maśliński (1910-2002) krytyk literacki, poeta, reżyser, karykaturzysta. Podczas drugiej okupacji sowieckiej zamieszczał artykuły w wileńskiej prasie komunistycznej. W 1944 współpracował ze Związkiem Patriotów Polskich.

wie. Lenartowicz miał tyle wdzięku i stworzył taką kreację, że można się było zakochać!

Kostiumy zbójnickie były moim dziełem, nie spodziewałem się, że wypadną tak wspaniale. Czapy były wysokie z kory brzoźowej, na każdej trzy złote klamry wycięte z puszek po konserwach, na czerwonym tle sukna ze stołu, codziennie urywanego po kawałeczku... Koszule okazały się niepotrzebne, nagie torsy prezentowały się okazale. Białe zwyczajne gacie trzeba było zmienić na góralskie portki, znowu poratowało nas czerwone sukno ze stołu: z cieniutkich paseczków powstawały parzenice, a pasy ze zwiniętych koców (niewiadomego pochodzenia...) nabite wypukłymi guzami i spięte złotą klamrą z niezastąpionej *tuszonki*, dopełniały stroju.

A tymczasem życie obozowe toczyło się jak ciężkie, ciemne chmury, monotonne, szare i przytłaczające. Pracujący w lesie zdzierali ubrania, a nowych nie było, łatali je po powrocie. Ob-



*Kaługa – las II Batalion. Środkowy stół od lewej: Wacław Mackiewicz, Wacław Krupieńczyk, pierwszy po prawej Antoni Kapszewicz.*

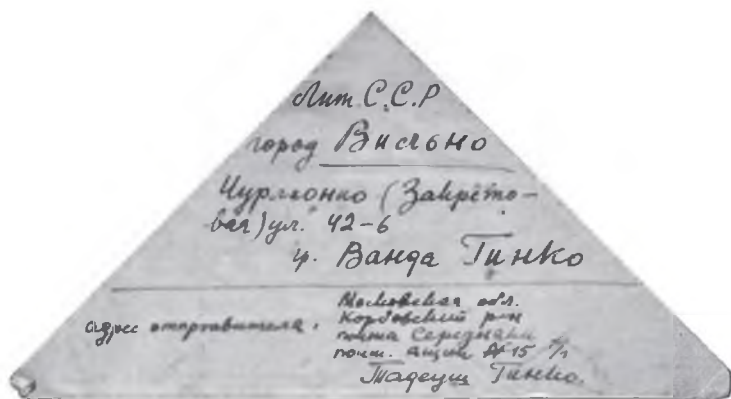
rotni w handlu i szczęśliwcy zdobywali *tielogrejki* – kamizelki pikowane watą, nieocenione w zimie. Nie wiadomo, skąd brały się na to pieniądze. Zaczęły docierać paczki żywnościowe z rodzinnych domów. Ja nie mogłem spodziewać się paczki, ale któregoś dnia *starszyna* Chain z radosnym błyskiem w pokrytych fałdami oczkach, otworzył torbę i wyjął z niej... list od Wandy! W kopercie odnalazłem fotografię Anisi (potem została Anielką), cóż to była za radość! Odczytywałem list wielokrotnie: i rano po obudzeniu się i idąc *linijką*, i wieczorem przed snem. Czasem umyślnie szedłem do lasu, by tam śmiać się ze szczęścia.



*Pierwsze zdjęcie Anielki. 24.XII.1944 r.*

Postanowiłem umieścić zdjęcie w godnym tego albumie. Zrobiłem go z kory brzozej, która na wiosnę pozwalała się złuszczać w płatach grubości jedwabiu. Misternie przeplotłem paskami kory okładkę i związałem sznureczkiem splecionym również z kory. Z czasem przybyło więcej zdjęć.

W miarę zdobywania przez chłopców pieniędzy zaczął w obozie kwitnąć handel. Postanowiłem i ja zarobić z myślą o przesłaniu rubli do Wilna; tego w historii łagrów zapewne jeszcze nie było.



Obozowy list-koperta wysłany do żony Wandy w styczniu 1945 r.

Rysowałem karykatury za kopiejki, wzbudzały sensację. Ale to nie wystarczało do zaspokojenia nieustannego głodu. Wpadłem na pomysł poświęcenia mojej płachty namiotowej, która przeszła zwycięsko nieskończoną ilość *prawierek*. Jakbym przeczuł, że i bez tego godziny jej życia byłyby policzone.

Pociąłem płachtę i zacząłem szyć z niej rękawice ochronne. Zbliżało się co prawda przedwiośnie, ale w mokrym śniegu ręce mocno marzły, więc amatorów było sporo. W ten sposób po paru miesiącach uciulałem całe stu rubli i nadałem je pocztą w Sieredniakach na adres Wandy. Pokwitowanie schowałem, nie przypuszczając nawet, że może mnie ono w przyszłości uratować...

Nadszedł dzień pierwszego występu naszego *ansambla chudożestwiennej samodiejatielnosti*, taką bowiem nazwę otrzymał nasz zespół. Do programu zostały włączone pieśni ze śpiewnika wydanego przez Związek Patriotów, ale głównie składały się na niego utwory muzyczne, występ solowy Babińskiego (nieśmiertelne arie ze *Straszego Dworu Moniuszki*) oraz inscenizacja góralskiego tańca.

Katuga 12 XII 44

Waudubio kochana

Chciałem Ci przesłać więcej wierszy i rysunków  
i karykatur stworzys - miłośny rękopis -  
Rzeknij mi proszę - urodziłaś się przyjemnie,  
których chęć Ci sprawił od solidności cierni.

Do świąt świąt, i dojdę nie zdążył i wstąpił.  
Tak bym chciał, by choć czerstwiecia miła, którą  
wiośnie w rysunku była przy Tobie w chwili  
ludcy bledni nie miałabyś drugiej orzechówko-  
we.

Złotca nie nowy rok. Rok 1945. Rozpocyna-  
my go - inaczej niż dotąd. Zapoliliśmy się  
wazę rodzinę z wyjątkiem rodziców, bo  
nie cierpię, są skryte satyry lub droszone  
troski o los najbliższych. Świadomości ta  
winną nam dotawia ducha, bo tawie  
w niej traktuje, tożysa wielkowie!

W dniu nowego roku żuła tej rodzi się  
świadomości - Ostatni to precji rok wojny!  
Rok, w którym zapewne nie spotkamy, za-  
pewno rozpoczęciu "dalej" -

To nasze pryncipie życie wyobrażam sobie  
prepisując. W każdym dniu odtrząsać no-  
wą radość, ciężyć się z twój, przerywanej  
razem dźwięki... Nauczyliśmy się żyć waudubio  
w okresie ostatnich paru lat. Zuzupełnio pre-  
alducy wprostie produkcji... Niepłynięcy, te  
ostatnie! Musimy przepić! Ostatnie to dzień  
ostatnie tygodnie ostatnia ziarna... To przesławed-  
zenie - podtrzymać nas wzdno na duchu  
polepszenie wnie w Ostatnie - staj się po-  
wzmo widzieć nowego optymizmu.

Wspaniałe dziś święta. Jedynkowy był  
świąt, a noc tak kwadranta jak w lipcu  
Nawet kwadraty spadły, ludcy nowa staję

List z Katugi do żony Wandy.





W dniu wolnym od pracy (takie były, choć nie dla wszystkich) wiara tłumem zebrała się w klubie. Pierwszą ławkę zajęło *naczelstwo*; byli także goście z sąsiedniego obozu „Metrastraju” w osobach studentek i pielęgniarek z Moskwy, które w przeszłości miały także spełnić swoją rolę w naszym obozowym życiu.

Kurtyna się podniosła i przed ustawionym za nią chórem stanął Szmyt i uniósł ręce do góry.

Zapanowała absolutna cisza i wtedy buchnęła pieśń „*Nie rzucim ziemi skąd nasz ród*”... Wszyscy chłopcy poderwali się jak jeden mąż z miejsc i pochwycili słowa... Cała sala drżała, twarze płonęły, oczy się szklily... Przerażony kpt. Bułhakow zbladł i wodził wzrokiem po przejętych twarzach. Chciał przerwać, zrobił ręką gest... ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Odśpiewano pełne trzy zwrotki i nie dając kapitanowi czasu na opamiętanie się i wymianę zdań, maleńka postać Henia Czyża pojawiła się przed orkiestrą – *Biały Mazur* zadźwięczał pełnym głosem instrumentów, Henio ze skrzypcami obrócił się do widowni i aż się zwinął na smyczku!

Zmieszanie na twarzy *naczelstwa* ustąpiło miejsca zdumieniu. Znowu chór, tym razem wystąpił z rosyjską pieśnią wojskową o artylerzystach... uciął ja twardo *agoń, agoń!*, co zabrzmiało jak armatni wystrzał.

Układ taki, jak się okazało, był słuszny. Na twarzach *naczelstwa* już można było wyczytać zadowolenie; jeden tylko Bułhakow miał jeszcze niespokojne błyski w czerwonych oczach.

Występ Babińskiego wypadł bardzo dobrze, nie stłumiły go ściany „białego wystroju” na sali. Po nim jeszcze kilka utworów na orkiestrę i wreszcie... nasz zbójnicki! Kiedy wyskoczyliśmy we czwórkę na scenę w takt melodii *W murowanej piwnicy* trzaskając piętami i uderzając o podłogę ciupagami, wrażenie było piorunujące. Zdumienie *naczelstwa* osiągnęło szczyt: *Ad kuda ani wzięli kościumy?!...*

... *Eto bierioza, nu smatri...*

Okrążyliśmy kilka razy scenę, skrzyżowaliśmy ciupagi, skoki i przysiady z wyrzucaniem nóg, znowu koło, znowu zbójnicki marsz... i wreszcie melodia się złamała ze skocznej na tęskną *za górami, za lasami, za dolinami. Pobili się dwaj górale ciupagami...* Zjawiała się góralka z buzią umalowaną różowym papierem, cała w uśmiechach i płasach, z powabnym biustem, autentyczność postaci nieprawdopodobny!

„Dziewczyna” powłóczyłym spojrzeniem objęła kometanta obozu, błysnęła zębami do chłopców na widowni, potem wszystkie swe wdzięki obróciła ku nam dwóm. Stałem oparty o pień z ciupagą w dłoni obserwując ze ściągniętymi brwiami rywala i zgrzytając złowrogo zębami. Wreszcie razem z orkiestrą zerwałem się jak burza do ataku. Dziewczęcy Lenartowicz<sup>24</sup> usunął się pod ścianę, a górale zwarli się w bitwie.

Ha, cóż to był za bój! Ciupagi furczały przerzucane z ręki do ręki, w dzikich skokach wzbijaliśmy się pod sufit aż się chwiała żarówka, nasze torsy pokryły się potem.

Bitwa mogła skończyć się fatalnie, gdyby nie góralka, która nagle podbiegła, objęła w pół obu rywali doprowadzając do zgody.

Podnieśliśmy naszą góralkę do góry i okrążyliśmy z nią kilka razy scenę i kurtyna odcięła nas od burzy braw, które zagrzały jak lawina. Długo jeszcze trwałyby wiwaty i wołania o bis, gdyby nie wyszedł przed kurtynę Henio i podziękował widowni za przybycie oraz za zorganizowanie klubu zapowiadając dalsze występy.

Kierownictwo zespołu w osobach Czyża i Szmyta (chowałem się za plecami kolegów) zostało wezwane przez kpt Bułhakowa na *wygawor*. Zabronił on śpiewać *Nie rzucim ziemi...*, chociaż pieśń była umieszczona na I stronie śpiewnika Związ-

---

<sup>24</sup> Józef Lenartowicz pseud. „Majski” lekarz punktu sanitarnego AK przy dzielnicy „D” na terenie klasztoru Benedyktynek.

ku Patriotów Polskich; nie o śpiewnik chodziło, ale o tę ziemię, na której mieliśmy czelność się urodzić...

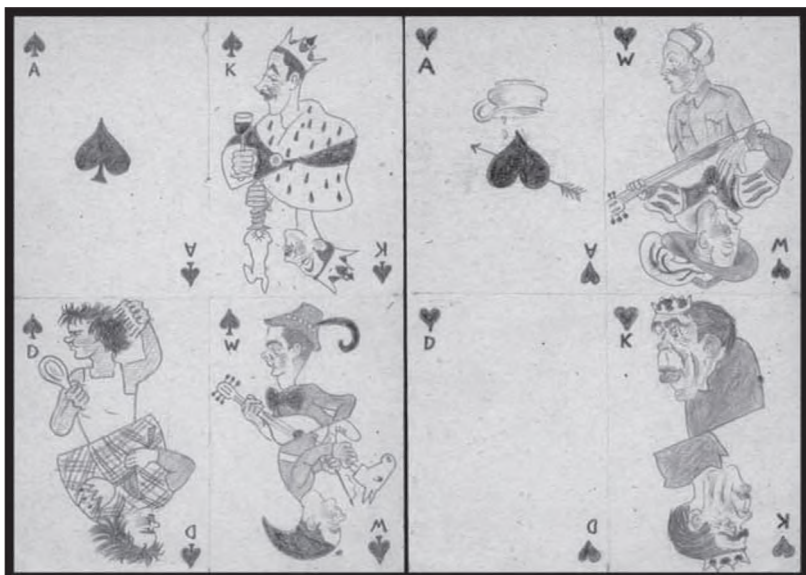
## W Średniakowie: areszt, prace artystyczne

W IV batalionie, w domku *naczelstwa* zepsuł się radio-wy odbiornik. Wśród chłopców znalazł się specjalista, który naprawił go w taki sposób, żeby awarie powtarzały się raz po raz i by jego pomoc była często potrzebna; dzięki temu podczas majsterkowania słuchał stacji zagranicznych i miał stamtąd ostatnie wiadomości.

Dr Mietek Pimpicki zaopatrzony w skrzynkę z kleszczami do wyrywania zębów wędrował od batalionu do batalionu i przekazywał wieści z frontów i ze świata; czasami zdarzało się, że wiedzieliśmy o ważnych wydarzeniach wcześniej niż nasi nadzorcy.

W marcu wybuchła epidemia krwawej biegunki i dzieciątkowała roty. Poza drutami obozu wybudowano baraki, by odizolować chorych. Trafiłem tam jako pacjent, ale ponieważ przechodziłem chorobę lekko, pełniłem obowiązki lekarza i sanitariusza rozdając sprowadzony z Moskwy bakteriofag, prowadząc karty chorobowe, w których najważniejszą pozycją była ilość stolców każdego pacjenta. W barakach były lepsze warunki, dawano więcej zupy i chleba, toteż chłopcy szybko wracali do zdrowia.

Wieczorami paliły się pod drzewami ogniska, przy których rekonwalescenci odpoczywali wspominając akcje partyzanckie i ustalając plany ucieczki z obozu. Wiedziałem o nich, celowo więc zawyżałem ilości notowanych wypróżnień, by wzmocnili się i mogli zaoszczędzić na drogę więcej chleba. Odczuwałem od jakiegoś czasu silny niepokój, ponieważ byłem częściej kontrolowany przez Bułhakowa, a ton, jakim się do mnie zwracał i spojrzenia jego przekrwionych oczu, nie wróżyły nic dobrego.



*Karty do gry rysowane na rosyjskich kartkach pocztowych.*

Pewnej nocy obóz opuściły dwie grupy uciekinierów, zostałem natychmiast odwołany z lazaretu do obozu. Tego samego dnia wieczorem Starszyna Tatar rozglądając się na boki szepnął mi do ucha:

– *Słuszaj Ginko, tibia siewodnia nocziu prijdut arestaować, jeśli imiejesz szto nie budź, tak spriataj...*

Krew uderzyła mi do głowy – więc to już... Miałem jedną cenną rzecz – notes z krótkimi zapiskami w formie pamiętnika, przekazałem go Strzałkowskiemu (jaka szkoda, że zaginął!...) szczyryk również oddałem. Przez całą noc nie zmrużyłem oka, czekałem ...

O północy weszło trzech z lejtnantem NKWD:

– *Ginko, zabieraj swoje wieszczki, pajdiom.*

Szedłem bez słowa przez puste zaśnieżone ścieżki w kierunku domku pułkownika, leżącego w odległym kącie obozu.

Wprowadzono mnie do izby, gdzie w obłokach dymu papierosowego siedziało trzech mężczyzn: pułkownik NKWD z Moskwy, Bulhakow i nieznany mi oficer. Zaczęło się jak zwykle od personaliów, które dokładnie spisano.

– *Nuka, pokaży swai wieszci...*

Wytrząsnąłem na stół zawartość plecaka i kieszeni. W plecaku sporo jeszcze było lekarstw z apteki szpitalnej zgrupowania. Wszystko wysypano sprawdzając zawartość każdej tubki. W jednej z nich znaleziono zwinięty dokument.

– *A eto czto?*

– Dokument osobisty.

Parę cierpkich uwag, potem chwila milczenia i głos zabrał pułkownik. Wyjaśnił, czemu mnie zatrzymano.

Ciążyły na mnie trzy zarzuty. Organizowanie ucieczek z obozu. Przekazywanie na Zachód wiadomości o naszych losach. Bezczeszczenie Armii Czerwonej w karykaturach.

Wszystkie zarzuty dotyczyły paragrafu mówiącego o działaniach kontrrewolucyjnych (50?). Odpowiadałem na każdy zarzut kolejno. O ucieczkach dowiadywałem się, jak inni, po fakcie. Nie brałem udziału w ich organizowaniu, nie mają na to dowodów. Nie wysyłałem na zachód żadnych wiadomości.

– *A eto czto?*

Pokazali mi kartki znalezione u jednego obywatela jadącego z obozu do Wilna. Czy na nich nie ma drutów, czy z tego nie wynika, że siedzicie za drutami? Poznaję karykaturę.

Narysowałem kiedyś *zwod* lekarzy z okresu pobytu w koszarach w Kałudze; ofiarowałem te karykaturę Mietkowi. Przedstawiała ognisko, kocioł ze smołą, Witka stojącego przy kociołku na ognisku, dr Brzozowskiego wyjadającego resztki kartofli z menażki, kogoś przy płocie z kolczastego drutu. Siebie umieściłem w środku z wypchanym brzuchem; chowałem



Więźniowie Kaługi. U góry od lewej: M. Pimpicki, J. Rymian.

Z listu dr Pimpickiego do Wandy Ginko – 13.II.1989 r.

„... prawa góra, ten z warząchwią, to kucharz z batalionu umieszczonego w lesie na 32 km, nazwisko Ingielewicz... Z kolei ten w dole – środku – to por. „Topór” Budrewicz, z-ca dowódcy 23. Brygady braclawskiej, następnym to por. Kazimierz Krauze – pseudo „Wawrzecki”, dowódca 24. Brygady braclawskiej...”

pod gimnaściorką głowę kapusty ukradzioną z pola w czasie porannej gimnastyki.

– Patrzaj, jacy wszyscy są chudzi i siedzą za drutami, my to złapali w drodze zagranicę, to wasza robota...

Tak, to ja rysowałem, ale to są karykatury. Mówicie, że wszyscy są chudzi, a ten? – pokazuję na wypchany brzuch – razwie etot chudoj? Smatritie kakoj u jewo żywot. Oddałem

obrazek koledze, a co on z nim zrobił – nie wiedziałem. U nas w Polsce wolno było rysować karykatury nawet państwowych osobistości, jak np. Marszałka Piłsudskiego i umieszczano je w gazetach. Żołnierze sami mnie prosili o karykatury na pamiętkę, a że na furazerkach są gwiazdki? – samiście je kazali przyczepiać. A to zresztą robiłem za pieniądze, chciałem zarobić. Patrzcie, mam pokwitowanie z poczty, sto rubli wysłałem żonie do Wilna. Gdyby mi było źle, nie mógłbym wysłać pieniędzy.

Argument był nie do zbicia. Naradzali się szeptem i wreszcie odezwał się Bulhakow:

– Jedno jeszcze ciebie może uratować. Jeśli będziesz z nami współpracować i pokazywać nam zwolenników Mikołajczyka...

Tu mnie podniosło!...

– Jeśli mnie uważacie za winnego, proszę, zamknijcie mnie w więzieniu, ja moich kolegów nie będę wydawać...

– *Ach, da, nu tak my uznali uże kakoj ty. Wziac jewo!*

Dwaj żołnierze wyprowadzili mnie pod karabinami na dwór. Szliśmy w kierunku aresztu, który znajdował się niedaleko pomieszczeń nadzoru i domków zajętych przez *naczelstwo*.

Zostałem sprowadzony schodkami w dół w całkowitych ciemnościach do pomieszczenia w rodzaju piwnicy. Jeden z żołnierzy zapalił zapalniczkę, w błysku światelka zauważyłem kilka postaci na przychyłku w izdebce na wprost wyjścia. Dla mnie otwarto drzwi na prawo, wepchnięto do osobnego pomieszczenia i zamknięto na skobel.

Żołnierze wyszli, zapanowała cisza. Wyciągnąłem przed siebie ręce i tuż, tuż przed sobą wymacałem ścianę. Cela, w której mnie zamknięto, miała wymiary metr na metr, metr kwadratowy podłogi, wysokość wystarczająca by w niej stanąć.

Kłęcząc westchnąłem do Boga. Niepokój uleciał, przypomniałem sobie słowa Mietka – „jeszcze nigdy nie było tak, żeby jakoś nie było”. Na podłodze znalazłem drewniany klocek. Uło-



żyłem się na ubitej ziemi, z nogami zgiętymi w kolanach wypełniłem sobą kwadrat powierzchni, z klockiem pod głową nie było tak źle. Kołnierz *buszłatu* chronił ucho od ucisku. Która to mogła być godzina?... Chyba trzecia, zaraz może świtać. Z myślami krążącymi dookoła domu nie mogłem się doczekać snu, przyszedł nad ranem.

Obudziły mnie głosy towarzyszy niedoli, otworzyli skobel.  
– Wychodź, chodź do nas.

Było ich trzech. Jednego złapano w czasie ucieczki, wydali go kołchoźnicy, do których zaszedł prosząc o jedzenie.

Odszedł od obozu zaledwie 80 km. Dwaj pozostali prosić żołnierze sprzeciwiali się pracy ponad normę. Jeden z nich poturbował sierżanta z nadzoru. Pierwszego uciekiniera czekał sąd. Drugi się zaciął, postanowił nadal odmawiać pracy, choćby go mieli sądzić, bo zmuszanie do niewolniczej pracy było bezprawne. Opowiedziałem im o moich tarapatach.

Słyszac kroki zbliżającego się strażnika stanąłem szybko w izolatce. Przyniósł nędzną polewkę bez chleba. Nie chciałem jeść. Po jego odejściu wszedłem na schody i przyłożyłem oko do szpary w drzwiach. Już było jasno, koło IV roty kręciło się kilku żołnierzy. Do drutów ogrodzenia aresztu podszedł jeden z chłopców i przywołał strażnika.

Poznałem Kozakiewicza, studenta medycyny, mego ucznia z okresu, gdy pracowałem jako asystent w Zakładzie Histologii u prof. Hillera. Wręczył *bajcowi* małą paczuszkę i coś mu wetknął w dłoń. Strażnik skierował kroki do aresztu, otworzył drzwi.

– *Eto dla tibia...*

Wręczył mi mały pakiecik zawinięty w papier.

Zajrzałem z ciekawością do środka – był to kawałeczek słoniny, kosteczka wielkości 5x10 cm już nieco pożółkła, ale pachnąca smakowicie wędzonką. Wzruszyłem się... Z Kozakiewiczem nie utrzymywałem żadnego kontaktu, wiedziałem tylko, że był w jednej z rot mieszczących się w odległej ziemlance.

Myślałem sobie, jak różnymi drogami chodzi ludzka przyjaźń i życzliwość. Ofiarowany mi skarb był na wagę złota. Porcje żywnościowe były tak skromne, że ciężko pracujący ludzie tracili siły. Jedną ziemiankę przeznaczono dla dystrofików. Cała rota! Siedzieli na pryzkach z opuchniętymi nogami, chudzi jak szczapy, z rozerwanych rękawów wystawały piszczele rąk, zapuchnięte twarze, apatia. Idąc nie odrywali od ziemi pięt, pozostawiono im bowiem najgorsze, podarte obuwie. A tu znalazł się ktoś, dla kogo przedstawiałem jakąś wartość, w miejscu, gdzie oduczano nas poczucia własnej wartości. Starannie owinałem kasek słoniny w zatłuszczony papier pozostawiając ją na „czarną godzinę”.

Trzeciego dnia wyprowadzono do pracy moich towarzyszy; mieli pomagać przy budowie baraku. Dołączono mnie do nich. Dźwiganie belek i układanie z nich ściany domu było niemal przyjemnością.

Dostrzegł mnie Bułhakow z okna swego domku i polecił strażnikowi wyłączyć mnie z grupy. No cóż, trudno, będę siedział pod ziemią, jeśli nie wolno mi być na ziemi.

Piątego dnia zostałem wezwany przed oblicze *naczelstwa*. Tym razem mówił do mnie kapitan P. (nie pamiętam dokładnie jego nazwiska), dowódca obozu.

– No cóż, my wiemy, że z ciebie porządny *pareń* i ty nikomu nic złego nie zrobiłeś, ale nam chodzi o to, żebyś się starał nam pomóc. Praca jest ciężka, ludzie upadają na duchu, trzeba ich jakoś podtrzymać i nam w ten sposób pomóc. Ty jesteś zdolny i wykształcony, wy tu u nas na pewno długo nie będziecie, wróćcie *na rodzinu*. *Pomyśli* jakby to można coś usprawnić. A może wyjechać z koncertami do chłopców do *lesu*?

Na to powiedziałem:

– Zbliża się lato, w klubie będzie gorąco i ciasno. Przed „majsterką” jest plac. Można by tam ustawić letnią scenę, coś jak koncertową muszlę. Cały batalion mógłby po pracy słuchać koncertów.

– No widzisz, idź, jesteś wolny. A przyjdź kiedyś do mnie to mi portret narysujesz.

Nie lubię być dłużny. Po kilku dniach przyszedłem, narysowałem mu miniaturowy portrecik. Lubilem kapitana, był zawsze na miejscu, nigdy nie mówił do nas rozkazującym tonem. Miał smutne, niebieskie oczy, a wyraz twarzy taki, jakby go życie skrzywdziło.

Odtąd rysowałem już nie karykatury, ale portrety: Strzałkowskiego, Lenartowicza, Tadzika Bujwida. Przydała mi się dobra szkoła rysunkowa mistrzów: Kwiatkowskiego<sup>25</sup>, Jarockiego<sup>26</sup>, Maliszewskiego. Przed wojną humanistyczne gimnazja zatrudniały dobrych wykładowców. W klasie maturalnej rysowaliśmy żywe modele, twarze kolegów, a czasem żebraków z ulicy. Używaliśmy różnej techniki, posługiwaliśmy się białą temperą na czarnym tle lub pastelami. Udawało mi się wtedy wydobyć podobieństwo rysów twarzy, wyłapując plamy światła jak na kliszy. Mieliśmy też prof. Stubiedę rozkochanego w pieśniach powstańczych i legionowych, których nas nauczył, żyła leśna brać i nucimy je dotąd.

Zima zbliżała się ku końcowi, siadałem w *rozwałki* i zawoziłem chłopcom do lasu zupę. Podczas gdy jedli, piłowałem, chociaż o te parę klocków mieli mniej. Dr Jan Brzozowski wpadł w schizofrenię, w obawie o jego życie wymogliśmy skierowanie go do szpitala w Jegoriewsku. Został stamtąd zwolniony do domu.

Kontrola ustaliła pod deskami przycz w jednej z ziemlanek zapas kartofli. Nocami chłopcy ruszali za druty na pola okolicznych kołchozów i wygrzebywali spod śniegu pozostawione w ziemi kartofle, przysypane śniegiem. Jednej nocy obudziły nas strzały, strażnik postrzelił chłopca powracającego z wyprawy.

---

<sup>25</sup> Kazimierz Kwiatkowski (1893-1964) malarz, konserwator uczył w l. 1922-1930 rysunku w gimnazjach wileńskich.

<sup>26</sup> Stanisław Jarocki (1879-1944) malarz, pedagog, organizator Gniazda Sokółów w Wilnie, nauczyciel rysunku w gimnazjach wileńskich.

Praca nad estradą koncertową na świeżym powietrzu ruszyła w szybkim tempie. Niebawem już była gotowa, kryta, z osłoniętymi bokami i wieloma szeregami wkopanych w ziemię ławek. Można było przystępować do nowych koncertów i imprez artystycznych.

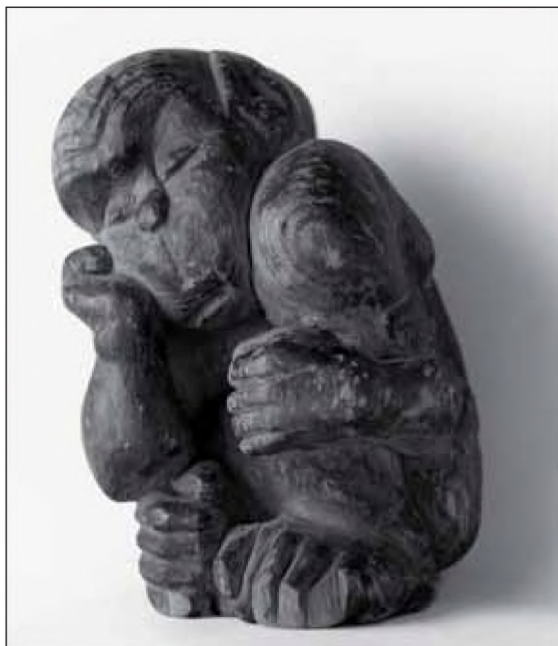
Od czasu zwolnienia mnie z aresztu czułem nieustannie, że jestem inwigilowany. Oblesny uśmiech Pajęczkowskiego towarzyszył każdemu naszemu spotkaniu w klubie. Wyczuwałem jego obecność nawet wtedy, gdy byłem sam. Nie obarczano mnie zajęciami, sam wypełniałem sobie czas.

Z brzozowego klocka wyciąłem scyzorykiem małpkę. Mały małpiszon opierał głowę na ręce, siedział na zwiniętym własnym ogonie. W smętnej zadumie przymknął oczy przyciągając kolano do brzuszka. Uosobienie beznadziejności bytu. Nazwałem go „Nasze życie”. Postanowiłem ofiarować go córeczce po powrocie do kraju.

Ta robota mnie zapaliła. Ze znalezionej na polu kawałka kości wyrzeźbiłem krzyżyk z zarysowaną postacią Chrystusa, a na jego cokole umieściłem skrzyżowane ze sobą siekierę z piłą. Z brzozy wyciąłem miniaturowy sąg drzewa. Oto symbol zniewolonego człowieczeństwa... Od iluzi dziesiątek, a może setek lat, więźniowie i zesłańcy w twórczości szukali wypowiedzi przelewając w nią całą swoją tęsknotę do Piękna, Dobra i Prawdy i cały ból odosobnienia.

Z brzozowych deseczek zrobiłem okładkę małego albumu-sztambucha. Grzbiet wyciąłem w rynnę, połączyłem z okładką fikuśnym zawiąsem przy pomocy sznurka splecionego z nici powyciąganych z paska od spodni (potrzeba uczy sztuk...). Na okładce wyrzeźbiłem panoramę Wilna, herb miasta i scenę z pracy w lesie. Rozwiązywałem z przyjemnością trudność ujęcia w perspektywie pracujących przy drzewie żołnierzy. Rzeźbienie sprawiało mi coraz większą przyjemność. Zrobiłem ryngraf z Ostrobramską, a na odwrocie umieściłem napis, którego nie powstydziliby się zesłańcy z 1863 roku: „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć”. Czy my, Polacy wyzbę-

**Rzeźby wykonane w Kałudze  
dla córeczki Anielki**



*„Malpizson” albo „Nasze życie”.*



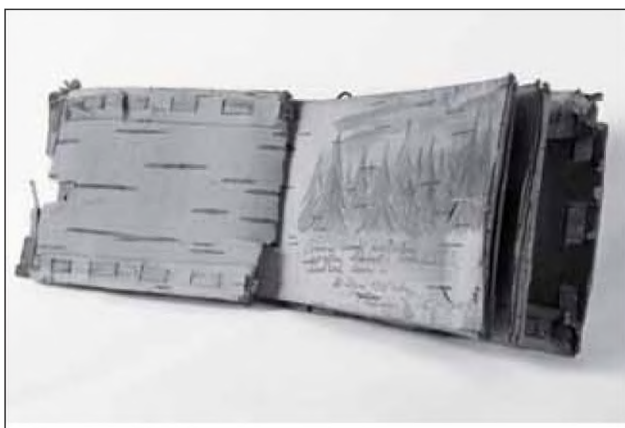
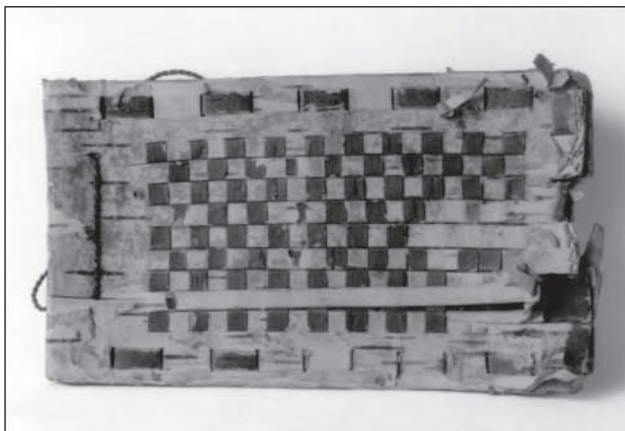
*Okladka albumika – awers: Panorama Wilna.*



*Okladka albumika – rewers: Praca w lesie.*



*Albumik – wewnętrzne strony okładki.*



*Albumik z kory brzozonej wykonany w Kałudze.*



## Wykonane w Kałudze dla żony



*Puderniczka w całości wykonana z drzewa.*



*Kościany krzyżyk na sęgu drzewa.*

## Ryngrafy



Ryngraf drewniany wykonany w Sieredniakach. Na rewersie napis „Z trudu naszego i znoju Polska powstanie by żyć”.



Ryngraf metalowy wykonany w Kirowie 31.XII.1945 r.

dziemy się kiedyś romantyzmu?... Prezent dla żony – maleńkie pudrko z brzoźowego drzewa z wymyślnie wykombinowanymi zawiaskami; jedną z płytek ozdabiał monogram, drugą wejście do ziemianki i oparte o nią narzędzia pracy, wewnątrz brakowało tylko lusterka.

Wybuchła wiosna! Młodszy lejtnant – instruktor sanitarny Sonia, z zadartym noskiem i skośnymi oczami kładła się na ławce, opierała głowę o kolana lejtnanta *politiczasti* Wasyla i pieszczotliwym głosem prosiła:

– *Paiszczi, Wasia, paiszczi...*

Pewien młodszy lejtnant ze srebrnymi pagonami służby zdrowia, chociaż z tą służbą nie miał nic do czynienia, zamykał się w izdebce starszyny i przykładał ucho do szpary w ścianie. Niczego nieświadomi szewcy naprawiając obuwie rozpuszczali jęzory zdradzając nieraz szczegóły życia w partyzantce lub w obozie, które okazywały się potem być bardzo pomocne i przydatne naszym wrogom.

Bogdan znalazł sobie Bogdankę – Zoję z Metrostroju. Rzadko się z nami kontaktował, przy lada okazji wyrwał do sąsiedniego obozu. Zaczął pisać wiersze w języku rosyjskim.

Zgłosił się do mnie jeden z żołnierzy prosząc o żyłkę, zamierzał uciec z obozu i dostać się na pociąg. Widocznie chciał się przedtem ogolić, by wyglądać kulturalnie. Ujął mnie swoim zaufaniem.

Inny żołnierz przyszedł do mnie z sąsiedniego batalionu późnym wieczorem prosząc o poradę. Jego kolega w czasie próby ucieczki został zastrzelony przez Mukina, wślawionego swoim okrucieństwem. Polecił on chłopcom, by wykopali dół i pochowali zabitego jak psa. Poradziłem wystąpić z tą sprawą do *naczalstwa*, wystosować raport i skargę na Mukina, tym bardziej, że grób dwukrotnie przez chłopców usypywany i krzyż na nim ustawiony były w nocy niszczone przez *bajców*. Radziłem również, by do następnego grobu włożyć butelkę, a w niej umieścić kartkę z nazwiskiem zabitego, grób możliwie starannie usytuować i zaznaczyć.

Mukin po krótkim czasie został przeniesiony do innego obozu, batalion odetchnął z ulgą.

Przygotowaliśmy nowy program, postanawiając pokazać go również innym batalionom. Zawierał on pieśni chóralne, pieśni solowe w moim wykonaniu oraz recytację wierszy, a także utwory na orkiestrę.

Miłą, niefrasobliwą piosenką były *Cztery krasnoludki*, nie znając wszystkich strofek, jedną sam dorobiłem: „Hej uciekały cztery łakomczuszki, aż im się trzęsły okrągłutkie brzuszki, i przeskakując przez krzaczki i pieńki wszyscy zgubili czerwone spodenki!”

Na generalną próbę przyszedł starszy lejtnant Bułhakow, słuchał uważnie, poczym zapytał:

– *Skażycie, a zaczem ani potierali krasnyje sztanszki? Zaczem krasnyje, etawo nie lzia...*

Zmieniłem więc kolor czerwony na niebieski, a wiadomość o cenzurze piosenki szybko obiegła obóz. Na koncercie w „podejrzanej” zwrotce zrobiłem znaczącą przerwę – „wszyscy zgubili...niebieskie spodenki”, co sala skwitowała gromkim śmiechem.

Wieczorem 9 maja przyszedł do naszego batalionu nasz *zubadzior* – Mietek przynosząc oczekiwaną już od kilku tygodni wiadomość – koniec wojny!! Nowy duch wstąpił w chłopaków, nawet praca szła różnie. *Naczelstwo* podtrzymywało nadzieję szybkiego powrotu do kraju, nie zapomniano jednak o twardym wyciskaniu normy. Przez zimę narosło tyle sągów spiłowanego drzewa, że należało przyspieszyć transport. Pociągi towarowe przyjeżdżały każdej nocy, przestała obowiązywać kolejność rot wyznaczonych do ładowania. Po odrobieniu dziennej normy mieliśmy tylko kilka godzin odpoczynku i znowu *padjom!* do ładowania wagonów. Sypały się przekleństwa, żołnierze nie wytrzymywali pracy ponad siły. *Ziemiańska* dysfroticznych znowu się zaczęła wypełniać.

Ucieczki z obozu stawały się coraz częstsze. Wykorzystywano pociągi towarowe. Podczas ładowania pulmanów po-

zostawiano studnie, do których zakradał się uciekinier przed zamknięciem i zaplombowaniem wagonu. Jeden z nich przesłał po pewnym czasie wiadomości, które jako wskazówki posłużyły następnym przy organizowaniu ucieczki.

Wagony rozładowywano w Moskwie; do tej pracy używano podobnych do nas żołnierzy z brygad roboczych lub więźniów, którzy, gdy odnajdowali uciekiniera, solidarnie udzielali mu pomocy. Bywało i tak, że włączali go do własnego oddziału, pracowali razem przez kilka dni albo tygodni, co pozwalało mu rozeznaczyć możliwości. Ruszał potem, zaopatrzony w bilet, na zachód. Z ubraniem nie było kłopotu, *papacha ze zwiozdeczką* była wystarczającym dokumentem. Niedaleko granicy trzeba było wyskoczyć z wagonu, by uniknąć kontroli NKWD i granicę przejść już pieszo. To była najtrudniejsza część przeprawy.

Zdarzało się, że po powrocie do Wilna uciekinier bywał powtórnie aresztowany we własnym mieszkaniu i znowu zostawał wywożony tysiące kilometrów do Workuty lub do Kazachstanu.

Napięte normy ładowania, brak odpoczynku, coraz gorsza kondycja fizyczna zmuszały chłopców do różnego rodzaju samoobrony w postaci różnych sztuczek.

Przy pierwszych wagonach za lokomotywą wszczynano bójkę. Przekleństwa i krzyki kierowały nadzór w tamtą stronę, a wtedy w ostatnich wagonach kładziono szybko dwumetrowe belki jedna na drugiej zamykając nimi otwarte drzwi. Wewnątrz pozostawał jeden sprytny żołnierz. Przeciwległe drzwi otwierały się od strony wewnętrznej.

Po powrocie nadzoru meldowano, że wagon już jest pełny. Sprawdzanie polegało na naciskaniu belki, ukryty żołnierz przytrzymał je w odpowiedni sposób. Nadzór zatrząskiwał drzwi i zakręcał je drutem, po czym szedł do następnego wagonu. Przed odejściem pociągu schowany w pustym wagonie żołnierz, na dany przez nas znak, wyskakiwał przez przeciwległe drzwi.

Na stacji rozładunkowej w Moskwie orientowano się szybko w korzyściach, jakie dawał pusty wagon, rozładunek trwał

krócej i bez zmęczenia, trzeba było tylko ukrywać to przed nadzorem.

Ilość drzewa magazynowanego na placu była oczywiście mniejsza, niż to wynikało z danych dołączanych do każdego transportu. Kontrole przeprowadzane okresowo ujawniały niedobory, za które odpowiedzialność spadała na naczelnika jednostki, ale ten wiedział doskonale jak sobie poradzić.

Żołnierze, zmuszani do pracy niewolniczej i wyczerpującej ich już mocno nadwerężone siły, załamywali się. Dla przykładu przeprowadzono pokazową rozprawę sądową nad chłopcem, który zaciął się i notorycznie odmawiał wykonywania podwójnej normy.

W sali klubu zasiadł za stołem areopag: komendant obozu, *zamiestitiel po polit-czasti* i sierżant NKWD. Delikwenta wprowadzono pod strażą. Odczytano oskarżenie i zaproponowano mu zmianę nieprzejednanego stanowiska. Odpowiedź była jednoznaczna:

– *Sażajtie w tiurmu, ja dla takich swołoczy kak wy rabotać nie budu.*

Wyrok zapadł – 10 lat więzienia.

Wobec braku siły roboczej i spiętrzenia pociągów transportowych brałem udział w nocnym ładowaniu. To była bardzo ciężka praca. Nosilem „metrówki”, a olbrzym Strzałkowski pracował za trzech przy dwumetrówkach, dźwigał je jak zapalki. Byłem ogromnie ujęty jego opiekuńczością, zabierał mi wprost z ramion cięższe belki i wrzucał do pulmana. Są tacy ludzie...

Pewnego dnia przyszedł do mnie Mietek Szczerski bardzo podniecony; był na przepytaniu, wykryli w nim oficera, wiedzą, że jest z oddziału Okręgu Nowogródzkiego, spodziewał się aresztowania. Przekazał mi swoją książeczkę do nabożeństwa. Po kilku dniach zabrano go. Jak widać, mimo końca wojny, mimo rocznego już pobytu w Związku Radzieckim, inwigilacje nie ustawały, stale byliśmy obserwowani i podsłuchiwani. Wywiad radziecki na terenie naszego zgrupowania, które sięgało Braśławszczyzny, był ułatwiony, oddziały składały się z miej-

scowej, wiejskiej młodzieży, do nich kierowano swoje „wtyczki”. W Brygadzie Brasławskiej jeden z sanitariuszy – szczupły, ruchliwy partyzant o rudych włosach – zjawiał się w Kałudze w mundurze... czerwonoarmisty, z jedną belką na epoletach; otrzymał ją najwidoczniej za specjalne usługi. W obozie ujawnił się też szpicel najpodlejszego gatunku – Pajączkowski, który nie krył się nawet z tym, że donosi. Do twarzy miał zawsze przylepiony uśmiech służalczy, obleśny, przymilny. W ostatnich miesiącach naszego pobytu w Sieredniakach zniknął z batalionu, nie mogliśmy się z nim rozliczyć.

Nasz zespół artystyczny rozwijał się, byłem w nim teraz nie tylko w roli jednego z organizatorów, ale także solisty, wróciłem bowiem do mojej dawnej namiętności – do śpiewu. Znałem ogromnie dużo pieśni polskich, rosyjskich, partyzantskich, włóczęgowskich. W lojalnej rywalizacji wyeliminowałem Babińskiego i zająłem jego miejsce. Do dziś pamiętam wieczory, gdy stałem na scenie obozowej estrady, przy przepelnionej widowni. Nad nami było rozgwieżdżone, sierpniowe niebo, dookoła ciemne zarysy sosen otaczających obóz. Ponad ich wierzchołki niosły się słowa „*tobie śpiewam tę pieśń, słysz najmiłsza to ja*”... Po nabraniu tchu długo ciągnąłem ostatnie słowa, odbijane przez dźwięczne echo, po czym to samo echo huczało grzmotem oklasków. To były wspaniałe chwile, tak bardzo potrzebne nam wszystkim.

Nadszedł czas kiedy i ja zostałem zdetronizowany. W kuchni młody, może siedemnastoletni chłopak pracował jako pomocnik kucharza. Ilekroć przechodziłem obok, *linijką*, słyszałem, jak wyśpiewywał arie Moniuszki. Głos jego miał niepowtarzalną, aksamitną, miękką barwę. Postanowiliśmy wciągnąć go do zespołu. Chłopcem tym był Bernard Ładysz<sup>27</sup>.

---

<sup>27</sup> Bernard Ładysz ur. 1922 w Wilnie, żołnierz AK, uczestnik Powstania Wileńskiego, po zdradzie sowieckiej w lipcu 1944 wywieziony do Miednik, Kaługi. Śpiewak (bas).

Szmyt, Henio Czyż, Babiński i ja byliśmy zafascynowani odkrytym talentem. On to właśnie zrzucił mnie z tronu, ale zanim to nastąpiło, przeżyliśmy jako zespół niebywały sukces.

Związek Radziecki jest krajem paradoksów, krajem kontrastów i niesamowitości. Siła masy i bezsiła jednostek, nowoczesność i rozmach nowego budownictwa w miastach, a zacofanie i nędza wsi, podstępność i podłość kadr wpływowych obok szlachetności i człowieczeństwa prostych ludzi, piękno obok brzydoty. Przykładów można by mnożyć bez końca. Wspominałem już o powitaniu nas orkiestrą na dworcu w Kałudze, gdyśmy dojechali tam po rozbrojeniu i ciężkiej, długiej podróży, brudni, głodni, spragnieni – to był jeden z tych niezrozumiałych dla nas paradoksów.

Pewnego dnia spadła na nas, jak grom z jasnego nieba wiadomość, że możemy się spodziewać przyjazdu grupy artystów z Moskwy, z Teatru Stanislawskiego. Rzeczywiście, niedługo potem przyjechały dwa samochody ciężarowe i stanęły obok siebie tworząc scenę. Zarządzono przerwę w pracy i rozpoczęły się występy. Były więc solowe śpiewy, popisowa gra na akordeonie, taniec ludowy w pięknych strojach (podziwiam zawsze płynność ruchów i wdzięk tancerek), kwartet smyczkowy oraz nieodstępne w imprezach estradowych, popisy gimnastyczno-akrobatyczne.

Zgotowaliśmy im gorącą, serdeczną owację. Po zakończeniu Henio Czyż zwrócił się do kierownika zespołu z nieśmiałą propozycją, żebyśmy skorzystali ze sceny i pokazali im, jako naszym gościom, kilka naszych „numerów”, wymieniliśmy śpiew solowy, orkiestrę obozową oraz grę na akordeonie żalując jednocześnie, że nie możemy się popisać naszym zbójnickim.

Wypożyczenie akordeonu natrafiło na trudności, ale kiedy Henio zawiesił go sobie na szyi i przebrał palcami po klawiaturze, z twarzy artystów zniknął niepokój. Przy jego akompaniamencie odśpiewałem *jamszczyka*, tego samego, który był w repertuarze ich solisty. Nie obawiałem się porównania,



miałem silniejszy głos i inną interpretację. Śpiew wypadł dobrze i miałem głęboką satysfakcję.

Po mnie wyszedł na scenę Henio Czyż, tu zdumienie nasze osiągnęło szczyty. W zespole grał na bajanie, akordeonu nie miał w rękach przez wiele, wiele miesięcy i po tak długiej przerwie wydobyl z instrumentu tyle ekspresji, tyle mistrzowskiego kunsztu, że gościom zaświeciły się oczy.

*Da, etoż artist!... Kawo wy zdies priwiezli?...*

Potem zobaczyli jeszcze Henia w roli dyrygenta. Wyskakiwał powyżej burt samochodu, orkiestra wychodziła ze skóry grając wiązanek polskich pieśni. Brawa trwały bardzo, bardzo długo. Pokazaliśmy, co potrafią Polacy, zepchnięci do poziomu niewolników, co potrafią żołnierze-zesłańcy...

Nawet nasze ubrania sprawiały nam w tym wypadku satysfakcję, mieliśmy zdarte gimnaściorki, zatłuszczone i połatane kolana w spodniach, rozklapane zniszczone buty... Chłopcy wracali do pracy z wysoko podniesionymi głowami, krokiem sprężystym, z uśmiechem na twarzach. Staliśmy się bohaterami dnia, a największym z nas wszystkich bohaterem był mały, niepozorny Henio Czyż.

Występ nasz przeszedł do wspomnień, gdy nagle Bogdan Buchowski zjawił się przed budynkiem *San-czasti* w nowiutkim mundurze radzieckiego żołnierza, z sanitarnym emblematem na epoletach, z błyszczącą czerwoną gwiazdą na nowej furazerce, zawadiacko przesuniętej na czoło. Nową torbę oficerską miał przewieszoną przez ramię. Zdumiony przystanęłem.

– Wiesz, Tadeusz, jadę do Moskwy po lekarstwa... – zasałutował całą dłonią. Zastanawialiśmy się w gronie najbardziej zaufanych, co to miało oznaczać, po co jechał do Moskwy. Takie polecenie musiało już być zaakceptowane lub nawet zainspirowane przez NKWD, znał dobrze stosunki w Wilnie i na Wileńszczyźnie, należał do Związku Młodzieży Socjalistycznej, orientował się w organizacji i ruchach grupowania.

Okres, w którym wyjeżdżał, zbiegał się z procesem Okulickiego<sup>28</sup> i innych aresztowanych po rozwiązaniu AK. Bogdan był zbyt małym pionkiem, by miał brać udział w tej sprawie, ale dobrze znał język polski i rosyjski, mógł więc być potrzebny.

Wrócił po kilku dniach. Przypadkiem spotkałem go późnym wieczorem na *linijce* przed kuchnią. Akurat przez bramę wjechał mały samochód pułkownika NKWD i skierował się prosto przed jego domek.

– Popatrz Bogdan, lekarstwa przyjechały z Moskwy...

Nie odpowiedział, w zmroku nie widziałem wyrazu jego twarzy, zawróciłem w milczeniu do swojej ziemiarki, on także.

Wracając kiedyś z *piłówki* od chłopców skręciłem w las, wkrótce znalazłem się obok baraków jakiegoś obozu. Poza drutami ogrodzenia paliło się ognisko. Przysiadło przy nim na zgiętych nogach kilka postaci i wpatrywało się w kociołek zawieszony nad ogniem na drucie. Co za twarze!... Wystające kości policzkowe, spływające na szyję, wąskie, czarne wąsy, spiczaste, sterzące do przodu rzadkie brody, na głowach ogromne *papachy-baranichy*, płaskie, nieludzko kosmate, kożuchy odwrócone włosom do góry, porwane, futrzane kamizelki, walonki w strzępach.

Ale najstraszniejsze były oczy ginące w wąskich szparkach, skośne i zapuchnięte. Błyszczały straszonym, dzikim blaskiem. Oczy nasze na chwilę się spotkały. Odwróciłem się na pięcie i szybko odszedłem. Byli to Uzbegy skazani na dożywocie, ciężkie roboty, wykonywali tę samą robotę, co my.

Czas wydłużał się niepomiarowo, nie sprawdzały się obietnice. Nadeszła jesienna szaruga, deszcze, wichury. Nie spotkałem w Polsce takich wiatrów, jakie tam wiały, porywały po drodze gałęzie. Rozpędzone po pustych, rozległych, stepowych polach

---

<sup>28</sup> Leopold Okulicki pseud. „Kobra”, „Niedźwiadek” (1898-1946) generał, k-dt Sił Zbrojnych w Kraju AK. Wydał rozkaz 19.I.1945 rozwiązania Armii Krajowej. Podstępnie aresztowany przez NKWD w procesie 16-u w Moskwie skazany na 10 lat więzienia, zginął w więzieniu.

odbijały się o ścianę lasu, łamały drzewa przyginając je do ziemi. Las kipiał dzikim szumem, słychać było trzask łamanych konarów. Szedłem torem i ledwo mogłem utrzymać się na nogach.

Chłopcy wracali przemoczeni i zmęczeni, suszyli *buszłaty* i spodnie, smród onuc znowu wypełniał *ziemlanki*. Rota dystrofików ponownie się wypełniła. Zabierano od nich całe ubrania, bo byli niezdolni do pracy, pozostawiali w koszulach i kalesonach ze sterzczącymi przez dziury piszczelami, siedzieli na pryzkach tępo patrząc przed siebie. Załamał się Rawicz – młody chłopak nienawykły do fizycznej pracy. Skierowaliśmy go do szpitala w Jegoriewsku. Udała się rozpacзлиwa ucieczka Umiastowskiego.

Wyjechaliśmy z koncertem do III batalionu. Program był jak zwykle cenzurowany. Nagle na estradzie pojawił się chłopak nie objęty programem, a gdy na widowni zapanowała cisza, zapowiedział własny wiersz. Kiedy mówił: *Warszawa jest pod gruzami, Warszawa czeka na ciebie, Warszawa wie, że wrócisz, wrócisz jak Bóg na niebie...* na sali panowała pełna napięcia cisza, a on miał rozpaloną twarz, błyszczące oczy, wiadać było, że słowa wydobywa z głębi serca i śle Warszawie pieśń przepelnioną tęsknotą i goryczą...

Kończył ostatnią zwrotkę: *Warszawa dotrzyma, a ty dotrzymasz? Na Boga- dotrzymaj!*, a sala dalej trwała w milczeniu, wszystkich ogarnęło wzruszenie, w wielu oczach błyszczały łzy...Dobrze, że to powiedział, potrzebny był wiersz podtrzymujący nadzieję powrotu. Gdy było bardzo ciężko, powtarzałem sobie: *na Boga – wytrzymaj!*...

Nawet Mietek się zbuntował, on, który zawsze tryskał optymizmem, teraz zaciął się, pokłócił się o coś z lejtnantem i za karę poszedł na *piłówkę* do lasu, ale to go nie złamało.

– A co, nie potrafię? Może nie umiem piłować? Umiem...

Gdy spadły śniegi i rozpoczęły się zawieje, słabszych zaczęły opuszczać siły. Wykonanie normy przeciągało się, silniejsi pomagali słabszym, by prędzej skończyć, lecz były rotety, które wracały z lasu o północy. Ludzie szli po torach jeden za drugim,

a śnieg sypał. Najślabszy z nich pozostał, włókł się za kolegami, wreszcie upadł na tory i śnieg go przysypał. Znalazła go ostatnia wychodząca z lasu rota, przyniesli nieprzytomnego do obozu, położyli na opatrunkowym stole w *san-czasti*; byłem przy nim, był nieprzytomny. Usiłowaliśmy przywrócić mu życie, na półkach z lekami znaleźliśmy tylko jedną ampułkę kofeiny. Nic więcej. Nie pomogły starania lekarzy bez rąk... nie odzyskał



Zawadzki z roty dystrofików.

przytomności, zmarł z wyczerpania. Widzę jeszcze dotąd jego szerokie, czarne źrenice na przeraźliwie wychudłej twarzy.

Po *linijce* szedł Zawadzki z roty dystrofików. Strzępy ubrania wisiały na nim, przypominał stracha na wróble. Sam urwał jedną połę szynela, wysunął onuce z butów, rozwiązał sznurówadła, przez dziurę w furazerce wystawił kępkę zwichrzonej czupryny, przypiął do niej dużą gwiazdę z blachy... Spotkał lejtnanta i już pięć kroków przed nim z szerokim salutem przywitał go defiladowym krokiem. Niezapięty szynel furkotał na wietrze, onuce ciągnęły się po błocie...

Lejtnant ze złością zatrzymał go, lecz zanim otworzył usta, Zawadzki krzyknął mu nad uchem:

– *Nu cóż, razwie wy nie widzieli sowietskawo soldata?*

Aresztu nie dostał, dopiero co wyszedł z niego. Wrócił do ziemianki śpiewając: *Szedł sobie piesek szeroką drogą, jakiś go facet przetrącił nogą...*

Jeśli tak, to sabotaż! Chłopcy wiedzieli, że spuszczenie drzewa dolicza się do czasu potrzebnego na wykonanie normy. Należało więc przedłużać samo spuszczenie. Już wiedzieli, jak należy piłować, by drzewo spadając oparło się o drugie. Trzecie można także skierować w ten sposób, by oparło się o pozostałe. Niebezpieczna sytuacja, a było wiadomo, że za bezpieczeństwo odpowiada nadzór. Przychodziło kilku sierżantów i trwała dyskusja, jak rozłączyć zaklinowane gałęzie. Zakładało się liny na szczyt drzewa i heej-hop! W ten sposób zyskiwaliśmy kilka godzin czasu, wreszcie koło południa drzewa leżały osobno i można było rozpocząć odrąbywanie gałęzi i piłowanie. Sierżant wyznaczał mniejszą normę.

Na innym odcinku inny sposób „przyśpieszania” pracy. Sierżantowi proponowało się *zakurkę* i to nie zwykłe *karaszki*, ale *Bielamor kanał* – to tytoń! Podczas gdy sobie kurzył i z lubością grzał ręce przy ognisku, wynajdywało się poza zasięgiem jego wzroku stare sągi zasypane śniegiem. Należało kloce oczyścić, przepiłować na dwie części odwracając tak, by świeże końce były z zewnętrznej strony i ułożyć na dawnym

miejscu. Zamiast ciąć dwa razy, przecinało się w ten sposób tylko raz. Robotą szła sprawnie na kilka pól. Miejsca połączenia kłoców maskowało się świeżym śniegiem. Sierżant sprawdzał sągi ze świeżymi przekrojami i zaliczał normę. Życie uczyło życia.

## Powrót do Polski

Wreszcie nadszedł dzień tak bardzo oczekiwany, tak wyęskniony, nadszedł bez zapowiedzi, bez zwiastunów. Przyjechał pociąg, wagony pulmanowskie, tym razem nie przeznaczone na drzewo.

*– Nuka, sobirajtie swoi wieszcziszki, pojeditie na rodinu...*

Gdzieś zawieruszyło się naczalstwo, jeden kapitan i sierżanty. Pozostał tylko starszerek Tatar. Przymrużył filuternie skośne oczka i z niekłamną radością potrzasał mi rękę.



*Stanisław Jasiukiewicz i Michał Górniewicz.*

– *Praszczajcie, doktor, wy tożе starszyna, choroszyj z was czelawiek, praszczajcie!...*

Ustawiliśmy się czwórkami i przechodząc przez bramę śpiewaliśmy innym głosem, niż dotąd, *Marsz, marsz Polonia, marsz dzielny narodzie. Odpoczniemy po swej pracy w ojczy-szej zagrodzie...*

Już część pociągu zapelniła się żołnierzami I batalionu, pozostałych mieliśmy zabierać po drodze. Czy aby starczy wagonów? Chyba starczy, więcej nas przedtem było...

Zanim padła komenda zarezerwowaliśmy jeden wagon dla chorych i sanitariatu. *Komandir eszałonu* przystał na to. Padła wreszcie tak oczekiwana tym razem komenda: *pa wagonam!...*

Znowu miarowy stukot kół odmierzał kilometry; w jakże innym byliśmy nastroju, niż wtedy, gdy rozbrojeni, zdradzeni i oszukani przemierzaliśmy szlak znany polskim zesłańcom! Jeden Bogdan czuł się nie-swojo, chociaż wybrał, jak nam się zdawało, drogę najbardziej właściwą, czekała na niego w kraju żona z dzieckiem.

W wagonie sanitarnym było znacznie luźniej; poza lekarzami i sanitariuszami było kilkunastu dystrofików. Żal było patrzeć na kości ob-ciągnięte skórą, zapadnięte policzki i wystające zębra. Nadzieja powrotu do domu rozjaśniała ich twarze.

Jechaliśmy przez całą noc. Rano pociąg zatrzy-mał się na rozgałęzionych torach, na skraju Moskwy. Władek Bodak pykając swo-



Władysław Bodak „dziadek”.

ją nieodłączną fajkę dał mi do zrozumienia, że miasto to nie jest mu obce, uśmiechnął się przy tym tajemniczo. Wyjawiał mi ukrywaną dotąd przygodę. Wymknął się kiedyś z obozu i dotarł do Moskwy. Idąc ulicą w mundurze radzieckiego żołnierza, z gwiazdką na furażerze, spotkał niespodziewanie oficera w mundurze polskiego pilota. Gdy oczy ich się spotkały, padli sobie w ramiona. Jego znajomy prędzej spodziewałby się spotkać diabła na ulicy, niż Władka – korporanta, stronnika młodzieży endeckiej w... mundurze *bajca!*...

Władek opowiedział mu krótko swoją historię. Oficer kursował na linii Warszawa-Moskwa przewożąc między innymi pocztę dyplomatyczną, zaproponował przysługę – wrzucenie listu do rodziny, podał mu adres polskiej ambasady w Moskwie oraz drogę dojścia do niej. Nagle przyszło nam na myśl, że moglibyśmy teraz powtórzyć taką eskapadę. Postanowiliśmy zrobić we dwóch wyskok do miasta, w całkowitej tajemnicy nawet przed najbliższymi przyjacielami.

Jakże to może być, żeby polska ambasada nie wiedziała, żeśmy już przyjechali i znajdujemy się tuż koło jej wrót? W naszym przekonaniu jej właśnie zawdzięczaliśmy nasze uwolnienie i zgodę na powrót do kraju. Wypadało podziękować ambasadorowi, jak na kulturalne wojsko przystało.

Przekradając się pod wagonami szeroko ustawionych pociągów transportowych dostaliśmy się na szosę. Nikogo nie zdziwili dwaj *bajcy*; takich jak my, było tu wielu. Zatrzymaliśmy autobus i niedługo byliśmy na Dworcu Białoruskim. Stąd do *piereułka* Gorkiego było już tylko kilkanaście minut drogi.

Przed wejściem do ambasady stał żołnierz w polskim mundurze. Przezornie ominęliśmy drzwi frontowe i weszliśmy od strony podwórza. Tam straży nie było. W holu zgłosiliśmy przybycie delegacji Armii Krajowej wracającej do Polski, prosząc o audiencję u prof. Raabego.

Z wyraźnym zdumieniem i konsternacją poproszono nas o pozostawienie wierzchnich okryć w szatni. Bez czapek i *buszlatów* wyglądaliśmy godni pożałowania, nasze *gimnastior-*



ki, a szczególnie moja, były tak zatłuszczone od szyi aż po pas od chowanych pod nie zdobycznych śledzi, że nie mogły, nawet przy dobrej woli, być uznane za strój wizytowy...nawet w okresie frontowym, a *walonki* Władka w ciepłe lokalu ambasady natychmiast zaczęły płynąć wydając ostrą, obozową woń.

Obciążaliśmy *gimnasciorki*, wypięliśmy piersi i weszli we wskazane drzwi, a tu nasze zdumienie zamieniło nas w dwa nieruchome słupy: ogromna, jak nam się wydawało, sala miała ściany obite czerwonym suknem, wysokie, ogromne lustra wyolbrzymiały jej rozmiary, pod ścianami stały stoły, a na nich, o nieba! cała uczta. Czego tam nie było! Półmiski pełne wspianiałego jedzenia, południowe owoce, flaszki mieniające się kolorami tęczy, rzeźsíce świecące kandelabry. Stoły uginały się podobnie do naszych kolan...bo widok był zaskakujący!

Nie było czasu na dalsze kontynuowanie wrażeń, bo drzwi się otworzyły i do sali wlała się masa wygalowanych oficerów polskich i radzieckich – akselbanty, orderzy, gwar, wesole podniecenie, jakie towarzyszą wielkim uroczystościom. Ktoś nas poinformował, że właśnie odbywa się odznaczanie wyższych oficerów radzieckich za zasługi położone w oswobodzeniu naszego kraju.

Zdumienie obu stron połączone ze zmieszaniem. Dwie postacie *bajców* w wyszarganych *gimnasciorkach* stanowczo nie pasowały do pogodnego nastroju i uroczystych ubiorów całego towarzystwa.

Sprawę rozstrzygnął ambasador. Zjawił się w otwartych drzwiach z prawej strony, przeprosił zebranych, że przed uroczystością musi jeszcze załatwić jedną „delegację” i zaprosił tę delegację szerokim ruchem ręki do swego gabinetu.

Weszliśmy pozostawiając wilgotne plamy na parkiecie. Wyjaśniłem cel przybycia – podziękowanie za zainteresowanie się losem żołnierzy Armii Krajowej internowanych w Związku Radzieckim i za zwolnienie ich do ojczyzny.

Utonęliśmy w przepastnych fotelach przed biurkiem ambasadora, zaciągnęliśmy się dymem papierosa.

Nie wiem, jak to się stało, że już po chwili zjawił się gospodarz magazynu z meldunkiem, ile puszek z konserwami mięsnymi znajduje się w piwnicach ambasady... Wszystkie zostały załadowane na samochód ciężarowy. Doszło do tego kilkaset puszek ze skondensowanym mlekiem dla chorych.

Na moją prośbę szef prasowy ambasady – p. Zofia Lissa poleciła zaopatrzyć nas w pisma i książki na drogę. Poinformowaliśmy o miejscu postoju transportu i nie minęło pół godziny, jak dwa samochody, jeden z prowiantem, a drugi z delegacją ambasady w osobie oficera Wojska Polskiego i przedstawiciela Związku Patriotów Polskich ruszyły ulicami Moskwy.

Zrezygnowaliśmy przeźornie z propozycji wspólnego wejścia na perony. Nie przyjęliśmy też propozycji zaopatrzenia nas w pismo ambasady zapewniające nam nietykalność osobistą. Wyskoczyliśmy z samochodu przed *wagzałem* i pod wagonami, jak poprzednio, dotarliśmy do naszego pociągu.

Gdy mocno zdyszani wyskoczyliśmy przed wagony, w tej samej chwili, jak na komendę wyszła z jednej strony ekipa ambasady, a z drugiej komendant pociągu. Podskoczyłem do niego i zameldowałem służbowo o tym, że zjawiała się delegacja Polskiej Ambasady, która przywiozła chłopcom prezenty, oraz że pragnie je przekazać dowództwu. Skrzyknąłem chłopców, którzy widząc oficera w polskim mundurze, tłumnie wylegli z wagonów. Huknęły okrzyki: „Niech żyje Polskie Wojsko”. Delegacja przywitała się z komendantem wyraźnie zaskoczonym niespodziewaną wizytą.

Był moment, kiedy wydawało się, że przywiezione konserwy znikną w wagonie żywnościowego magazynu. Zanim złapano oddech, zaproponowałem złożenie transportu w wagonie sanitarnym w obawie, że znikoma część produktów dotrze do chłopców po zaspokojeniu apetytów konwoju. Chłopcy żwawo podchwycili propozycję i migiem rozładowali ciężarowy samochód. Jeszcze wymiana zdań i uśmiechów, jeszcze życzenia szczęśliwej drogi, jeszcze okrzyk na cześć Polskiego Wojska i... peron opustoszał.

Kiedy zniknęliśmy w wagonach rozpoczął się ruch w kolumnie: poszukiwano sprawców doniesienia do ambasady wiadomości o naszym transporcie, wystawiono posterunki, które zatrzymały kilku, jak my, żądnych przygód żołnierzy. Jednak nie odkryto prawdy. Milczeliśmy z Władkiem jak grób, nawet we własnym wagonie... Konserwy rozdzielono sprawiedliwie, konwój patrzył na nie błyszczącym okiem.

Nocą pociąg ruszył w dalszą drogę na zachód. Mróz był coraz cięższy, pola zasypane śniegiem, znowu jak okiem sięgnąć równina bez śladu ludzi.

Stanęliśmy w Kirowie. Potrzeba było całego miesiąca, żeby zetrzeć z wynędzniałych twarzy ślady niedożywienia. Aż dziw, jak szybko wracały siły. Bez fizycznej pracy, przy znacznie lepszym odżywianiu chłopcy zaczęli wyraźnie się poprawiać.



*W drodze powrotnej – w mundurach angielskich. Od prawej: w górnym rzędzie – M. Pimpicki, w dolnym – T. Ginko, J. Rymian.*

Dostaliśmy angielskie mundury – battledressy, spodnie, płaszcze wojskowe, buty. Co za buty! Dobierane według rozmiaru podłużnego i poprzecznego, superwygodne! Moje buty oczywiście sprzedałem na czarnym rynku; pieniądze były bardzo potrzebne na dalszą drogę. Czapki niestety były radzieckie – nowe *uszatki*. Zaraz przyszyliśmy do nich z boku biało-czerwone naszywki, tym razem bez sprzeciwu *naczalstwa*.

Tak ubrani wyszliśmy pewnego dnia z Witkiem i Mietkiem w stronę pobliskiego lasu. Pogoda była słoneczna bez odrobiny wiatru, mróz 40° – największy, jaki przeżyłem. Słońce było otoczone poświatą, powietrze drgało od srebrnych iskierek, dym z ośnieżonych kominów pobliskiej wsi strzelał prosto w niebo.

W lesie słychać było jakby wystrzały, to pękały konary i gałęzie. Ślina zamarzała natychmiast w grudkę lodu. Drogą, w kierunku, wsi szły kobiety ubrane w fantastycznie skrojone kozuchy z ...torniurą. Wyglądały jak kopy siana. Nawet dzieci nosiły podobnie uwypuklone z tyłu kozuszeki. Widać okolica była bogatsza... Powietrze było tak ostre, że trudno było oddychać. W obawie o odmrożenie nosów, wróciliśmy ze spaceru do pomieszczeń, które trudno było nazwać koszarami. Drewniane domki robiły wrażenie prywatnych, ze schodkami na piętro, każdy miał 4-6 izb, łóżka piętrowe z siennikami, przykryte kocami w w pokrowcach z kocem zapasowym. Jednym słowem – sanatorium.

W takich warunkach trzymano nas przez 4 tygodnie. Nie sprawdziły się przewidywania, że Boże Narodzenie spędzimy z najbliższymi. Wigilię obchodziliśmy w Kirowie, ale co to były za święta! Były pieniądze, można było przygotować prawdziwe wigilijne dania. Stasiak Pietkiel dokazywał cudów, a kucharz z Mietka batalionu, mając do dyspozycji jaja i mąkę, upiekł ciasto; było doskonałe, jak przedwojenne!

Nie było co prawda kontroli przyboru na wadze, ale władze miały już doświadczenie i wiedziały, że przy odpowiednim odżywianiu miesięczny okres wystarczy do zatarcia śladów dystrofii.

Tym razem jechaliśmy w wagonach mniej przeładowanych, do granicy było już niedaleko, kierowaliśmy się, jak widać, na Brześć. Witac nas będą w Białej Podlaskiej.

W wagonie sanitarnym sztab obozowej „inteligencji”, wśród której szukaliśmy mówcy; ktoś przecież powinien odpowiedzieć na powitanie i przemówienia przedstawicieli władz, które przybędą z orkiestrą. Drogą głosowania wybrano mnie. Zgodziłem się i obmyślałem sobie, co powiem. Najważniejsze to upomnieć się o tych, którzy zostali, o naszych oficerów, którzy przebywali prawdopodobnie w Riazaniu, a także o tych odłączonych od nas w Kałudze i Sieredniakach.

Przed przekroczeniem granicy zapytano nas, czy chcemy wracać do Wilna, czy do Polski. Nie miałem wątpliwości, moja rodzina już była w kraju. Spora gromadka zdecydowała się jednak wracać do Wilna. Popełnili błąd. Uznano ich za obywateli Związku Radzieckiego i podobno wcielono do Czerwonej Armii.

W Brześciu zatrzymaliśmy się na dworcu, pod wiaduktem. Wysypaliśmy się z wagonów. Mieszkańcy miasta przechodzący nad torami z zainteresowaniem nam się przyglądali, ich gromadka powiększała się. Czuliśmy potrzebę powiadomienia ich, kim jesteśmy. Buchnęły piosenki: *Morze nasze morze, Góralu czy ci nie żal...* Jakiś staruszek przechodził kilka razy po moście, tam i z powrotem, stawał przy balustradzie, ocierał oczy... Na wiadukcie już zebrał się tłum... Szybko doczepiono lokomotywę i wstecznym biegiem przesunięto pociąg daleko od miasta.

Zapał zmrok, nadeszła noc. Wagony zamknięto i drzwi obwiązano drutem, jak drogocenną paczkę. Przy każdym wagonie ustawiono uzbrojonego *bajca*. Pociąg targnął, ruszyliśmy. Wyglądałem przez okno, wtem, co to? Od wagonów odskakują jakieś cienie, jeden, drugi, trzeci... pozostają, jak ciemne plamy na śniegu. To *bajcy*, to strażnicy konwoju pozostają na prawym brzegu Bugu, a my wjeżdżamy na most. Dudnienie kół, sapanie lokomotywy, krótki gwizd...dworzec w Białej Podlaskiej oświetlony skąpo tylko jedna żarówką... Cisza.

Nie było przedstawicieli władz, ani orkiestry, nie mogliśmy wyjść przez drzwi przymocowane drutem. Cóż mieliśmy robić?.. Z każdego wagonu płynęła inna melodia i rozbrzmiewać zaczęły inne piosenki. *Z młodej piersi się wyrwało* i nieśmiertelna, *Marsz, marsz Polonia*.

Od ściany dworca oderwało się kilka małych postaci.

– Chłopcy, to przecież nasi!...

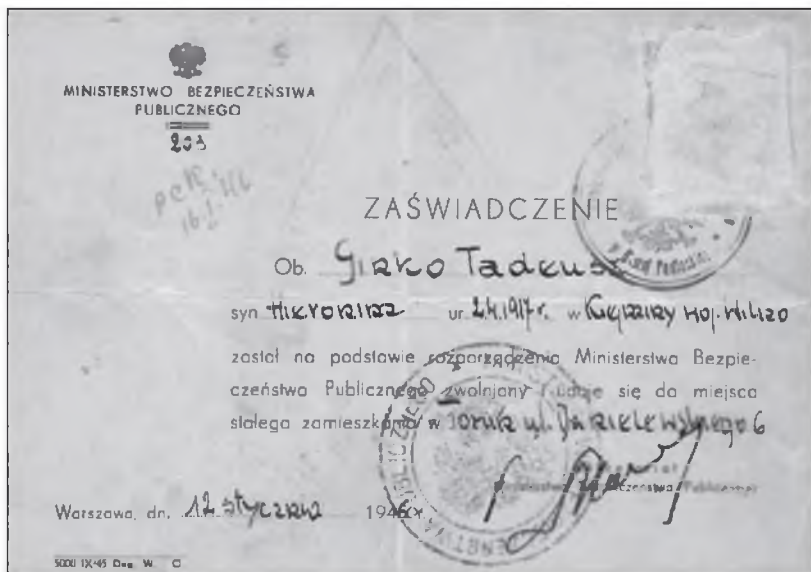
Podbiegli do wagonów i rozkręcali druty. Chwila niepowtarzalna, jedyna, znów staliśmy na polskiej ziemi! Widziałem żołnierza, który ukląkł na śniegu i całował ziemię, inny przeżegnał się szerokim znakiem krzyża... Padaliśmy sobie w objęcia, podrzucaliśmy do góry malców, którzy nas uwolnili. Gwar, krzyki, ruch...

Wreszcie zjawił się jakiś przedstawiciel władzy w wojskowym mundurze, polecił nam ustawić się w kolumnę, powiadomił o noclegu w koszarach. Nazajutrz otrzymamy dokumenty i będziemy mogli wracać do domu.

Kiedy ustawiliśmy się, widziałem kilka postaci, które pozostały na dworcu, miał niedługo przejeżdżać expres Moskwa-Warszawa.

Noc spędziliśmy w ludzkich warunkach, rano polecono nam zgłosić się do fotografa. Zastanawiał nas sposób, w jaki dokonywano zdjęć – en face i z profilu. Jeszcze większe było nasze zdumienie, gdy wydano nam dokumenty. Na każdym zdjęciu widniał duży numer ewidencyjny, jakbyśmy wracali z koncentracyjnego obozu. Zaświadczano, że NN urodzony tam i tam został zwolniony i wraca do miejsca zamieszkania. Został zwolniony?... skąd?...

Jasno zrozumieliśmy, że zostaliśmy zewidencjonowani, że od owego dnia będziemy mieć własne kartoteki w ściśle określonym biurze, i że w ten sposób w naszym życiorysie, w obecnej rzeczywistości pozostanie plama, której, jak się okazało po wielu, wielu latach, niczym nie można było zmyć, a która zaważyła na losach wielu z nas, a także i na moich... Mimo więc ra-



Zaświadczenie o zwolnieniu.

dości z powrotu do ojczyzny, odczuwaliśmy niepokój i głęboką gorycz jakiejś przegranej.

Młodzieńczy idealizm został skonfrontowany z życiem, w którym rządzi prawo silniejszego, jak w przyrodzie, z jedną tylko różnicą, że w przyrodzie nie ma zakłamania i nie wystarcza świadomość, że wojna się skończyła, że się jest wśród swoich, że oczekuje człowieka dom. Rano dotarła do nas wiadomość, że przy torach znaleziono zwłoki dwóch naszych kolegów: zostali wyrzuceni z ekspresu Moskwa-Warszawa, zapewne nie mieli nie tylko dokumentów, ale i biletów.

Głęboko wzruszającym przeżyciem była pierwsza Msza Św. wysłuchana po półtorarocznej nieobecności w kraju. Szliśmy do kościoła czwórkami sprężystym, mocnym krokiem, a tu na moście zastąpił nam drogę *bajec* z bronią i *nie lzia*. Jak to *nie lzia*? Dlaczego *nie lzia*? Jesteśmy przecież u siebie, kto nam

zabroni, kto nas zatrzyma?... To *nie lzia* obudziło w nas cały tłumiony dotąd bunt, cały hamowany dotąd gniew, chłopcy złapali za *bajca* i zrzucili go z mostu do rzeki. Nikt już nie zakłócił nam spokoju.

Kościół grzmiał śpiewem: *O, Boże, Któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń!*... Niejeden spośród nas wydobył z trudem głos przez zaciśnięte gardło. Ludzie, którzy na nasz widok weszli także do świątyni, głośno szlochali...

Dziękowaliśmy za powrót, polecaliśmy Bogu tych, co jeszcze tam zostali, na koniec buchnęło potężne, gorące: *Boże, coś Polskę!*... Byliśmy naprawdę w domu.

Kartka, wysłana przez Władka do Polski, dzięki uprzejmości jego kolegi – pilota, dotarła po kilku dniach do kraju, spodziewano się nas lada dzień, nie mogliśmy powiadomić bliskich o skierowaniu nas do Kirowa, toteż przeżywali cały miesiąc niepokoju. Najgorsze przypuszczenia mogły być prawdziwe, że skierowano nas i przewieziono do innego obozu na niewiadomy nikomu okres czasu. Matki i żony repatriowane do Torunia zmówiły za nas nabożeństwo, dużo transportów z Wileńszczyzny kierowano na Pomorze i Mazury, tam nas oczekiwano.

W drodze powrotnej postanowiłem z kilkoma kolegami zatrzymać się w Lublinie, by od razu zdobyć informacje w sprawie nostryfikacji kowieńskiego dyplomu. Wpadliśmy w ramiona dawnych kolegów z Kowna, którzy tu kończyli swoje studia. W dziekanacie oblano mnie zimną wodą, nostryfikacja dyplomu wymagała zdania wszystkich egzaminów!

Pojechaliśmy więc dalej. Zatrzymaliśmy się w PUR-ze w Warszawie. Zrujnowana stolica, straszliwie okaleczona, wstrząsnęła nami!

W Uniwersytecie Warszawskim stosunek do „tych zza Buga” był przychylniejszy, wymagano zdania trzech podstawowych egzaminów. Ponieważ droga wiodła przez Poznań, postanowiliśmy jeszcze tam zasięgnąć rady. Dziekanem Wydz. Lekarskiego w Poznaniu był profesor Kurkiewicz – histolog. Powołałem się na pracę w Zakładzie Histologii u prof. Hillera



w Wilnie, dowiedziałem się przy tej okazji, że osiadł w Gdańsku. Dziekan okazał się być nie tylko urzędnikiem, ale także człowiekiem, obiecywał sprawę nostryfikacji dyplomu załatwić na najbliższej Radzie Wydziału.

Z lżejszym sercem ruszyłem do Torunia. Tramwajem przejechałem przez most przerzucony przez Wisłę, podziwiając piękną panoramę nieznanego mi dotąd miasta. Bydgoskie Przedmieście. Spytałem o ulicę Danielewskiego.

To niedaleko koło parku.

Szedłem zaśnieżonym chodnikiem, a serce mi łomotało. Wreszcie nr 6 – to tu! Powoli otworzyłem furtkę, zmierzyłem ubitą ścieżkę do najbliższych drzwi. Na drzwiach wizytowa kartka: „Prof. Władysław Dziewulski” (ojciec żony, astronom).

Na I piętrze w oknie zauważyłem jakiś ruch, drzwi otworzyły się same, na prawo zobaczyłem schody, u ich szczytu stała Wanda z małą Anielką na rękach.

– Anielko, popatrz, kto to przyszedł?

Mała przyjrzała mi się uważnie:

– „Paj” (pan).



*T. Ginko z córeczką po powrocie z Kaługi.*



Wiersz wspomniany na str 185 – autor nieznan

*Warszawa się nie zmieniła.  
Tysiąc domów zwalonych, skwery – jedna mogiła  
Tylu nas poginęło. Warszawa się nie zmieniła.  
Nie znajdziesz już gdzie twoja sień, okno, schody, brama,  
Warszawa się nie zmieniła, Warszawa jest wciąż ta sama.  
Warszawa jest pod gruzami, Warszawa czeka na ciebie,  
Warszawa wie, że wrócisz, wrócisz jak Bóg na niebie.  
Warszawa przyjmie cię w kwiatach, słońcem, zielenią, rosą,  
Jak nie starczy drewnianej podeszwy, to nic, to boso,  
To nie szkodzi że w łachmanach, o głodzie, o samym chlebie,  
Warszawa się nie zmieniła, Warszawa czeka na ciebie.  
Przyjmie cię solą, chlebem, błyszczącymi oczyma, majem, wiosną,  
Niebem, bo Warszawa dotrzyma.  
**A TY DOTRZYMASZ? NA BOGA! DOTRZYMAJ!***

Tadeusz Ginko

## **PRZEŁOM „SOLIDARNOŚCIOWY” W ŚLĄSKIEJ AKADEMII MEDYCZNEJ<sup>1</sup>**

Często wracam wspomnieniami do okresu przełomowego w naszej Uczelni, kiedy został zrzucony ze stanowiska rektora Śl. Akademii Medycznej Prof. Jan Józef Jonek<sup>2</sup> – satrapa rządzący nią od trzech kadencji.

Kiedy po pobycie w klinice prof. Gibińskiego<sup>3</sup> wróciłem z sanatorium w Żegiestowie, gdzie przeszedłem okres leczenia stresowego wrzodu żołądka i zapalenia wątroby, istniała już w Uczelni „Solidarność”. Zaraz następnego dnia zgłosiłem się na jej członka, porwała już ona, jak lawina, olbrzymią większość pracowników Akademii od salowych i pielęgniarek po samodzielnych pracowników naukowych. Powiało tchnienie prawdziwej demokracji.

Wywalczone przez gdańskich robotników przywileje i prawa wniosły nowy nastrój w nasze życie. Pojawiła się grupa „młodych-gniewnych”, o wyraźnym obliczu politycznym, żądających przywrócenia wyższym uczelniom autonomii, demokratyzacji życia i praw rządzących szkołą.

Siła nowego ruchu była tak wielka, że pod jej naciskiem stanowisko Partii uległo wyraźnej zmianie. Usunięto Gier-

---

<sup>1</sup> W przypisach podano tytuły i stanowiska aktualne w roku 1980.

<sup>2</sup> Prof. dr hab. n. med. J. Jan Jonek, Rektor Śląskiej Akademii Medycznej, Kierownik Zakładu Histologii i Mikromorfologii w Katowicach.

<sup>3</sup> Prof. dr hab. n. med. Kornel Gibiński, Kierownik Kliniki Gastroenterologii i Instytutu Chorób Wewnętrznych w Katowicach.

ka<sup>4</sup>, a na jego miejsce wybrano pierwszego sekretarza Kanię<sup>5</sup>. W ślad za grupą najwyższych władz partyjnych runęła opoka Komitetu Wojewódzkiego wojew. katowickiego w osobie Grudnia<sup>6</sup>. Hasło odnowy dotarło na Śląsk.

Szybko zorientowałem się w sytuacji będąc pewnym, że nie może mnie zabraknąć w nowym nurcie przemian. Trafiłem w dziesiątkę nawiązując kontakt z Władkiem Nasiłowskim<sup>7</sup> – prof. Zakładu Medycyny Sądowej. Zostałem zaproszony na zebranie „grupy konspiracyjnej”, w której spotkałem prof. Jerzego Zielińskiego<sup>8</sup> – urologa, doc. Stanisława Nowaka<sup>9</sup> – kier. Zakładu Izotopów, doc. Górkę<sup>10</sup> i prof. Tadeusza Paliwodę<sup>11</sup> – chirurgów. Ze wszystkimi byłem od wielu lat zaprzyjaźniony. Z inicjatywy prof. Paliwody oraz doc. Anny Dyaczyńskiej<sup>12</sup> – kier. Zakładu Anestezjologii i Reanimacji zostało zredagowane pismo do rektora Jonka z żądaniem zwołania nadzwyczajnego

---

<sup>4</sup> Edward Gierek we wrześniu 1980 usunięty ze stanowiska I Sekretarza KC PZPR.

<sup>5</sup> Stanisław Kania we wrześniu 1980 zastąpił E. Gierka na stanowisku I Sekretarza PZPR.

<sup>6</sup> Zdzisław Grudzień, 1971-1980 I Sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Katowicach.

<sup>7</sup> Prof. dr hab. n. med. Władysław Nasiłowski, Kierownik Katedry i Zakładu Medycyny Sądowej w Zabrze.

<sup>8</sup> Prof. dr hab. Jerzy Zieliński, Kierownik Kliniki Urologii w Katowicach.

<sup>9</sup> Doc. dr hab. n. med. Stanisław Nowak, Kierownik Zakładu Diagnostyki Izotopowej w Katowicach.

<sup>10</sup> Doc. dr hab. n. med. Zygmunt Górka, Kierownik Kliniki Chirurgii Przewodu Pokarmowego w Katowicach.

<sup>11</sup> Prof. dr hab. n. med. Tadeusz Paliwoda, Kierownik Kliniki Kardiologii w Zabrze.

<sup>12</sup> Doc. dr hab. n. med. Anna Dyaczyńska-Herman, Prodziekan Wydziału Pielęgniarskiego w Katowicach, Kierownik Międzyinstytutowego Zakładu Anestezjologii i Reanimacji w Katowicach.

zebrania Rady Wydziału całej Uczelni w celu określenia przez nią stanowiska wobec zachodzących przemian.

Rektor, czując zagrożenie swego stanowiska, zwlekał z decyzją, uznał, że liczba ponad dwudziestu podpisów pod petycją jest zbyt mała. Jednak pod naciskiem opinii zarządził zwołanie Rady Wydziału, ale tylko jednej – katowickiej, wypełniając ją programem tak szczerze, by na sprawy zasadnicze nie starczyło już miejsca.

W ślad za pierwszym pismem zdecydowaliśmy, już grupowo, wystąpić z drugim, już z większą ilością podpisów. Rozdzielone zostały czynności, wybitną energią odznaczył się prof. Paliwoda, który zbierał podpisy nawet u zwolenników obecnego rektora, członków aktualnego Senatu.

Podpisów zebrano ponad 70, to już była siła. Postanowiliśmy włączyć do „grupy konspiratorów” przedstawicieli wszystkich wydziałów. Spotkania odbywały się teraz codziennie, oprócz wymienionych uczestniczyli w niektórych prof. Szyszko<sup>13</sup>, doc. Feluś<sup>14</sup> i Wieczorek<sup>15</sup> z Wydziału Farmacji, trzon jednak pozostał ten sam.

O istniejącym „sprzysiężeniu” wiedział dziekan, prof. Zbigniew Herman<sup>16</sup>, powiadamiany przez swoją żonę doc. Dyaczyńską. Przy jego współudziale został opracowany program nadzwyczajnego posiedzenia czterech Rad Wydziału, którego termin wyznaczył na dzień 23-go października.

Postanowiliśmy działać przez zaskoczenie. Organizacja „zamachu stanu” mogła liczyć jedynie na swoją sprawność oraz

---

<sup>13</sup> Prof. dr hab. n. med. Stanisław Szyszko, Kierownik II Kliniki Chirurgii Ogólnej w Bytomiu.

<sup>14</sup> Doc. dr hab. n. med. Edward Feluś, Kierownik Zakładu Mikrobiologii Farmaceutycznej.

<sup>15</sup> Doc. dr hab. Mirosław Wieczorek, Kierownik Zakładu Bioanalizy i Badań Środowiska.

<sup>16</sup> Prof. dr hab. n. med. Zbigniew Stanisław Herman, Dziekan Wydziału Lekarskiego w Katowicach, Kierownik Zakładu Farmakologii w Zabrze.

siłę argumentów. Zebraniu miał przewodniczyć prof. Herman, najbardziej odpowiedni ze wszystkich czterech dziekanów. Został wybrany, zgodnie z przewidywaniami, głosowaniem dziekanów. Została ustalona kolejność przemówień, skład komisji mandatowej i skrutacyjnej, i cała procedura formalna, choć nie formalno-prawna, bo zamierzone działania odbywały się poza prawem. Zdecydowaliśmy zrzucić Jonka, obrać nowego rektora, usunąć też Senat, będący pretorianami satrapy, a chcąc zachować jak najbardziej lojalny charakter akcji, mieliśmy pewność poparcia sprawy przez Ministra Zdrowia, któremu Jonek mocno dał się we znaki przez 10 lat swego panowania.

Kiedy o godz. 7 rano przyszedłem w dniu Rady Wydziału na ostatnie „spotkanie konspiracyjne” przed bitwą, ze zdumieniem ujrzałem wśród obecnych prof. Sroczyńskiego<sup>17</sup>, pierwszego sekretarza organizacji partyjnej Uczelni. Partia, a raczej on, jako pierwszy sekretarz, i kilku jego towarzyszy – zwolenników odnowy – wyczuli niebezpieczeństwo przejęcia inicjatywy zamachu stanu przez grupę bezpartyjnych i postanowili działać wspólnie. Zgodziliśmy się, aby wystąpił jako pierwszy na posiedzeniu Rady Wydziału, w połączeniu obozów widząc zwiększenie siły uderzeniowej, a więc i pewności wygranej.

Prof. Sroczyński powiadomił nas o posiedzeniu egzekutywy Partii, na którym Rektor pod naciskiem miał się podobno zrzec funkcji rektora, ale tego samego dnia zwołał posiedzenie Senatu, na którym pretorianie przywrócili mu votum zaufania. Zjawił się więc na posiedzeniu Rady Wydziału, zajmując miejsce w pierwszym rzędzie krzeseł.

Napięcie na sali było ogromne, przybyło 153 pracowników naukowych ze wszystkich wydziałów, za stołem prezydialnym zasiadło czterech dziekanów.

---

<sup>17</sup> Prof. dr hab. n. med. Jan Sroczyński, Kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych i Zawodowych w Zabrze, I Sekretarz KU PZPR w Śląskiej Akademii Medycznej.

Prof. Herman, świetny orator i psycholog, otworzył posiedzenie witając obecnych na pierwszym po wakacjach zebraniu. Wyraził zadowolenie z licznego uczestnictwa wypoczętych, a więc trzeźwo myślących członków Wysokiej Rady i zapowiedział cel nadzwyczajnego zebrania. Wśród panującej ciszy wydawało nam się słyszeć szum „wiatru od morza”.

Udzielił głosu pierwszemu sekretarzowi. Unosząc w górę brwi i zacinając usta pomiędzy zdaniem, prof. Sroczyński wygłosił jedno ze swoich „życiowych” przemówień, piętnując w sposób rzeczowy autokratyzm panujący w Uczelni, niesprawiedliwość podejmowanych decyzji, popieranie miernoty oraz atmosferę zastraszania i chamstwo cechujące stosunek satrapy do współpracowników. Wyjaśnił sytuację, w której Jonek nie uznał decyzji egzekutywy i zmienił swoją decyzję pozostania na stanowisku, mając świadomość stawianych mu zarzutów: obniżenia poziomu nauki, stronniczości w przydzielaniu dewiz, feudalizmu i klikowości.

Szyja siedzącego w pierwszym rządzie rektora zaróżowiła się, ręce zacisnęły na poręczach fotela.

Jako drugi przemówił prof. Nasiłowski. Określił prawne aspekty sprawy, przyrównał zamierzone zmiany do rewolucji, w której głos ludu wyprzedza ustawy. Działanie dla dobra Uczelni, w duchu odnowy, w sposób prawdziwie demokratyczny, a więc wolą większości, usprawiedliwia całkowicie i uzasadnia mające zapaść decyzje.

Jako trzeci wystąpił, zgodnie z programem, prof. Szyszko. Ujawnił on popełniane przez Rektora krzywdy, wyliczając tych, którym decyzja rektora zabrała warsztat pracy usuwając ich poza nawias Uczelni, a także tych, którym zabrała zdrowie, a nawet życie, kilku bowiem odeszło z tego świata po wstrząsach wywołujących zawał serca.

Kiedy stanąłem za mównicą byłem mocno przejęty. Podkreśliłem konieczność odwagi cywilnej, w wypowiedziach trzeba bowiem pozbyć się strachu mówienia prawdy o prawdzie. Przedstawiłem wizję Rad Wydziału, które będą, bo takie powin-

ny być, możliwością wypowiedzenia własnego zdania w sposób jawny, otwarty, a będąc ciałem ustawodawczym i kontrolnym będą gromadziły nie tylko samodzielnych pracowników naukowych, ale także reprezentantów asystentów i studentów, by oni także uczestniczyli czynnie w życiu Uczelni.

Dr Gliński<sup>18</sup> odczytał deklarację pomocniczych pracowników naukowych. W mocnych słowach potępił autokratyzm, karierowiczostwo, tłumienie każdej krytyki oraz klimat panujący w Uczelni, który toleruje bezprawie i istnienie klik. Wyraził silną wiarę, że we władzach Uczelni znajdują się ci, którzy cieszą się głębokim zaufaniem i szacunkiem większości, wynikającymi z uznania ich dorobku naukowego oraz godnej postawy.

Znalazły się głosy próbujące storpedować wysiłki „frontu wyzwolenia”. Prof. M. wystąpiła z zastrzeżeniami dotyczącymi prawnej strony posiedzenia. Wysunęła propozycję wstrzymania się aż do uchwalenia Ustawy o Szkolnictwie Wyższym. W lewym kącie sali skupiła się garstka „twardogłowych” zwolenników panującego dotąd reżimu – docenci kontraktowi i nowo mianowani przez władze kierownicy katedr, którzy drogą konkursu nigdy nie mogliby liczyć na stanowiska kierownicze.

Aż wreszcie przyszedł cios ostateczny. Za stołem stanął doc. Zygmunt Górka. Jego głos zahuczał w mikrofonie jak głos wzywający na sąd ostateczny. Skandował słowo po słowie... Zwrócił się bezpośrednio do satrapy: „Apeluję do pana o ustąpienie ze stanowiska w trybie natychmiastowym. Wobec pańskiej odmowy stawiam wnioski o przeprowadzenie głosowania, w którym zdecyduje wola większości”.

Szyja Jonka stała się czerwona, nie powiedział ani słowa... blade oczy wpił z nienawiścią w mówiącego i milczał.

Głosowanie przeprowadzono w sposób prawdziwie demokratyczny, było tajne. Do komisji skrutacyjnej wybrano chętnych. Sprawnie rozdano i zebrano kartki.

---

<sup>18</sup> Dr n. med. Michał Gliński, chirurg.



Za wnioskiem o odwołanie Rektora ze stanowiska było 118 osób, przeciw 31 osób, 4 osoby wstrzymały się od głosu.

Na mój wniosek uchwalono również votum nieufności dla Senatu, stosunkiem głosów 114 do 18 przy 6 wstrzymujących się.

Na stanowisko rektora zostały wysunięte przez salę 3 kandydatury: prof. Szyszki, prof. Hermana i prof. Małeckiej<sup>19</sup>.

Obrano jeszcze delegację w osobach 4 profesorów, która miała zawieźć wyniki wyborów do Ministra, pozostawiając mu, zgodnie z niepisanym prawem, wybór jednego z trzech kandydatów.

Minister Zdrowia czekał już na wiadomość z Uczelni, nasz satrapa jemu także dał się we znaki. Stanowisko rektora Uczelni powierzył prof. Hermanowi, po naszej myśli.

Najbliższym aktem miał być wybór władz Uczelni – dziekanów oraz członków Senatu. Tego samego dnia zostali wybrani w tajnym demokratycznym głosowaniu nowi dziekani. Zostali nimi: prof. Nasiłowski dla Wydziału Lekarskiego w Katowicach, doc. Zb. Szczepański<sup>20</sup>, doc. M. Dróżdź<sup>21</sup> dla Wydziału Farmacji i doc. Aleksandrowicz<sup>22</sup> dla Wydziału Pielęgniarskiego.

Zgodnie z projektem nowej Ustawy o Szkolnictwie Wyższym wybór członków Senatu i prodziekanów ma nastąpić na wspólnym zebraniu elektorów wybranych przez Rady Wydziałów spośród samodzielnych pracowników naukowych, asystentów i studentów, ci w nowej strukturze organizacyjnej władz Uczelni mają uzyskać poważną liczbę mandatów, sięgającą 1/3 liczby członków Senatu.

---

<sup>19</sup> Prof. dr hab. n. med. Bożena Hager-Małecka, Prorektor ds. klinicznych, Dyrektor Instytutu Pediatrii w Zabrze.

<sup>20</sup> Doc. dr hab. n. med. Zbigniew Szczepański, Dziekan Wydziału Lekarskiego w Zabrze, Kierownik I Kliniki Pediatrii w Bytomiu.

<sup>21</sup> Doc. dr hab. n. med. Marian Dróżdź, Dyrektor Instytutu Bioanalizy i Badań Środowiska w Sosnowcu.

<sup>22</sup> Doc. dr hab. n. med. Ryszard Aleksandrowicz, Kierownik Zakładu Anatomii Prawidłowej w Katowicach.



# **SUPPLEMENT**



## TYLKO MIŁOŚCI WARTO ODDAĆ SWOJE ŻYCIE



*Wanda Dziewulska, zdjęcie maturalne – 1938 r.*

**W**anda Ginko z d. Dziewulska urodziła się 23 maja 1919 r. w Krakowie. Ojciec, Władysław Dziewulski, pochodzący ze starej, zasłużonej rodziny warszawskiej, był astronomem, związanym pracą naukową z Uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie, a od roku 1919 z Uniwersytetem Stefana Batorego w Wilnie. Matka, Jadwiga z d. Malinowska, pochodziła ze szlachty kresowej.

Dzieciństwo i młodość spędziła Wanda w Wilnie, w rodzinie ciepłej, kochającej, kultywującej tradycje patriotyczne, ale naznaczonej ciężką, pogłębiającą się z upływem czasu chorobą matki. Uczyła się w Gimnazjum SS. Nazaretanek, zdobywając, dzięki wspierającym nauczycielom, gruntowną wiedzę, głęboką wiarę i postawę patriotyczną. Gimnazjum to musiała opuścić z powodów finansowych, ale mimo iż maturę zdawała w Gimnazjum Państwowym im. E. Orzeszkowej, czuła się zawsze wychowaną SS. Nazaretanek.

W 1938 r. rozpoczęła wymarzone studia pedagogiczne w USB, ale zaliczyła jedynie I rok studiów. Spośród wielu organizacji studenckich wybrała Stowarzyszenie Katolickiej Młodzieży Akademickiej „Iuventus Christiana”. Przed wojną zdążyła wyjechać na obóz letni w lasach koło Spały, organizowany przez Stowarzyszenie, wspominała kontrast atmosfery i wydarzeń tego lata z powrotem do wojennego Wilna. Stowarzyszenie nie zaprzestało działalności, w zmienianych stale lokalach odbywały się nie tylko spotkania o charakterze religijnym, ale także poświęcone poezji, historii sztuki. Wanda odnotowała w krótkich wspomnieniach z tego okresu również szopkę bożonarodzeniową, którą w 1939 roku zorganizował Tadeusz Ginko. Był autorem tekturowych kukielek przedstawiających „Iuventusiaków” i tekstów, w których nie oszczędzał „ani kolegów i koleżanek, nie darując im żadnej słabości ani śmieszności, ani „Chrzążcza”. A „Chrzążcz” to okupacyjny pseudonim, nadany przez studentów ks. prof. Antoniemu Pawłowskiemu,

jednemu z duchowych przewodników młodzieży.

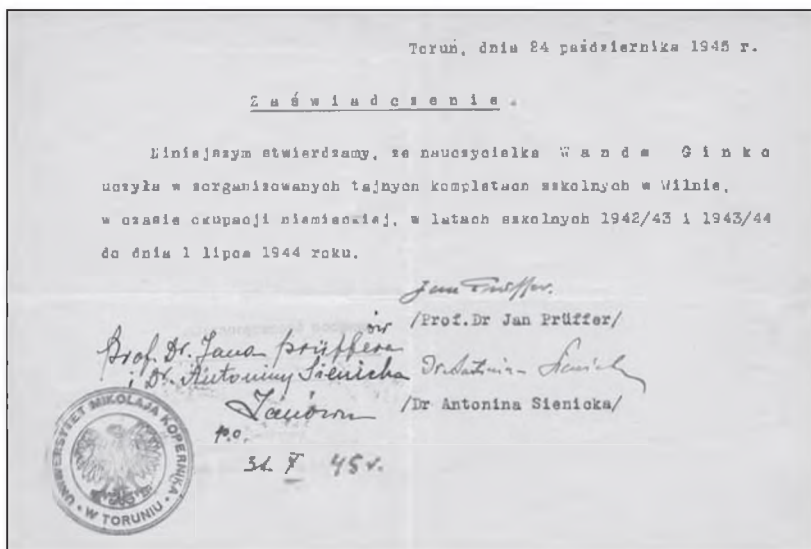
Błogosławił małżeństwa „Iuventusiaków”, także Wandy i Tadeusza Ginko, 15 lutego 1942 roku. A potem kolejno chrzczył ich dzieci, najmłodszego syna już będąc biskupem włocławskim. Mieszkańcy niewielkiej Rokitnicy k/Zabrza uważali chrzest udzielany przez biskupa za niezrozumiałą fanaberię lekarza i jego rodziny. Tak było w roku 1955, a dużo wcześniej Wanda zanotowała: „Po zakończeniu wojny nasza wileńska Iu-



*Ks. prof. Antoni Pawłowski duszpasterz SKMA „Iuventus Christiana”. Po wojnie biskup włocławski.*

*ventusowa gromadka spotkała się we Włocławku w Pałacu Biskupim, spoglądającym z wysokiego brzegu na dostojnie płynącą Wisłę. Któż mógł z nas przypuścić, że Gospodarzem będzie nasz drogi, niezastąpiony „Chrzyszcz”?”*

Ale wojna dopiero się zaczęła. Uniwersytet zamknięto, ojciec Wandy, prof. Władysław Dziewulski stracił pracę, a rodzina musiała opuścić uniwersyteckie mieszkanie. Podobnie, jak rodzeństwo, dwie starsze siostry i młodszy brat, Wanda zaczęła szukać pracy. Znalazła ją na Żmudzi, w majątku Kumpiki koło Telsz, u polsko-litewskiej, ziemiańskiej rodziny Krzyżewiczów. Pomagała w gospodarstwie, uczyła dzieci w tym i sąsiednim majątku. Potem pracowała na wsi bliżej Wilna, a wreszcie w Wilnie, gdzie razem z siostrą Anielą włączyła się w tajne nauczanie, którego jednym z organizatorów był ich ojciec. Uczyła, z przerwami, aż do 1944 roku.



*Poświadczenie udziału Wandy Ginko w tajnym nauczaniu.*

W 1940 roku zaręczyła się z Tadeuszem Ginko, wówczas studentem medycyny. Wyrazem głębokich, dojrzałych uczuć i głębokiej wiary była ułożona wspólnie modlitwa, którą Oboje pamiętali i wspominali ze wzruszeniem przez całe życie:

– *Pozwól, Panie, byśmy zawsze razem do Ciebie zdążyli, Który jesteś Dobrem, Pięknem, Prawdą i Miłością Najwyższą.*

– *Pozwól, Panie, byśmy siebie kochając – Ciebie w nas czcili.*

– *Pozwól, Panie, by nigdy nie opuszczała nas świadomość, że nie dla siebie żyjemy.*

– *Pozwól nam, Panie, pozostać zawsze młodymi i nigdy nie prosić Cię o łatwe życie.*

– *Pozwól nam, Panie, ukochać nade wszystko pracę i nią wypełniać nasze dni.*

– *Pozwól nam, Panie, byśmy wszystko, co boli spotkane na naszej drodze z ufnością w Twoją Opatrzność przyjęli.*

– *Daj nam, Panie, radości tyle, byśmy nią wszystkie smutne oczy dokoła rozpromieniać mogli.*

– *Daj nam, Panie, sił tyle, byśmy mogli poświęcić wiele, najwięcej przez miłość do Ciebie i do Ojczyzny.*

– *Daj, Panie, by drogi nasze się nie rozeszły.*

*Wilno 1940 r.*

W zimie 1942 r., już jako małżonkowie, Wanda i Tadeusz wyjechali na wieś pod Wilno. Ten pierwszy okres wspólnego życia Tadeusz opisał szczegółowo we wspomnieniach. On podjął pracę jako lekarz, Ona mu towarzyszyła, wspierała, pomagała. I tak już było przez całe wspólne życie.



Zachowała się maleńka waga, na której Wanda odmierzala porcje leków, pomagając przyjmować i opatrywać chorych, rysunek ukazujący ich skromne gospodarstwo w rozpadającym się domku i opowieści o trudach życia na biednej, wojennej wsi. Wcześniejsze życie, a także brak własnej, absorbującej pracy zawodowej sprawiły, że Wandzie dużo trudniej przychodziło znosić niewygodę prymitywnego gospodarstwa i poczucie osamotnienia, gdy Tadeusz wzywany był jako lekarz do odległych wsi lub do rannych partyzantów. Wypełniała czas nie tylko pełnym lękiem czekaniem. Już wówczas, jak przez całe życie, szukała możliwości niesienia pomocy nie tylko najbliższemu, ale wszystkim potrzebującym – głodującym wilnianom i księżom wileńskim wywiezionym do obozu pracy.



*Waga lekarska (wys. 15 cm, szer. ramion 10 cm), na której Wanda odmierzala w Świrze porcje leków.*

Zapisała w swoich notatkach: *Dzięki ukrytym aparatom radiowym wiedzieliśmy, co się dzieje na frontach, przesyłaliśmy te wiadomości do leśnych oddziałów w postaci pisemka „Partyzant”, drukowanego w piwnicy plebanii za zgodą księdza proboszcza.*

Kiedy zbliżył się kolejny front, dookoła coraz częściej pacyfikowane były wsie, a w dodatku w niedługiej perspektywie rodzina miała się powiększyć, w lipcu 1944 r. Wanda wróciła do Wilna. Mieszkanie zastała zdewastowane i rozkradzione przez niemieckich żołnierzy. A swoje kolejne przeżycia, tuż przed porodem, tak opisała: *Prowadzona przez siostrę szłam ulicą Sierakowskiego po zgrzytliwym, rozbitym szkłe, koło żołnierskich trupów, osiadłych przez muchy, obok rozbitych dział.*

*Mijałyśmy klasztor SS. Nazaretanek. Serce mi zamarło, gdy zobaczyłam opalone, sterczące mury tego, co było ukochaną szkołą, domem Sióstr i kaplicą. Myślę, że wtedy nastąpiło ostateczne pożegnanie z młodością..*

*Urodziła się córeczka – Anielka. Wanda zapisała: Bombardowanie trwało nadal. Położnice, przeważnie wiejskie kobiety, powłaziły pod moje łóżko, uważając to miejsce za najbezpieczniejsze, zapewne dlatego, że byłam spokojna i odmawiałam głośno Pod Twoją obronę. Następnej nocy zażądałyśmy, by każdej położono jej dziecko na łóżku. Szpital był tak pokiereszowany, że każdy wstrząs mógł spowodować jego rozsypanie się. Jeżeli miałyśmy zginąć, to razem z dziećmi...*

*W kilka dni później, w szpitalu na krótką chwilę pojawił się Tadeusz i rozwiały się nadzieje, że zostaną razem. Zapytała: Nie wrócisz już do obozu, uciekniesz? I usłyszała: Muszę wrócić, na 7 tysięcy naszych chłopców jest tylko 5 lekarzy, nie mogę ich pozostawić.... Rozstaniemy się na dłużej, cokolwiek się zdarzy, nie trać nadziei, bądź dzielna. Wanda dopisała: ..pożegnał się ze mną i od drzwi zasalutował. Nie byłam dzielna, płakałam. Stary lekarz-Karaim usiadł przy mnie i gładził moje ręce.*

*A potem wielokrotnie: ...łomotanie w nocy w drzwi, „prawierka dokumentów”. Wpadali i świecili latarkami pod łóżkami, za szafą, w kuchni. Pytali gdzie mąż, mówiłam że z wojny nie wrócił. Którejś nocy pozostawiłam na stole list-trójkącik nadesłany przez Tadeusza z Kaługi. Posłyszałam wrzask i z groźnej lawiny słów wyłowiałam tylko dwa „polskij bandit!”. Po tym już zawsze chowałam listy.*

*Wkrótce do opieki nad córeczką i rodzicami dołączyła się konieczność opieki nad uwięzioną przez sowietów siostrą – Anielą. Wanda wyczekiwała z paczkami pod więzieniem, a któregoś dnia próbowała, zgodnie z zapowiedzią zawartą w grypsie, zobaczyć siostrę w okienku nad ziemią, spacerując z półroczną córeczką pod gmachem NKGB. Zanotowała: ...strażnik zaczął na nas pokrzykiwać, dając mi znaki, bym odeszła... strąciłam*



*Rysowane w Kałudze – tak sobie T. Ginko wyobrażał rodzinę w Wilnie. Od lewej – siedzi Jadwiga Dziewulska (matka Wandy), stoją: Władysław Dziewulski (ojciec Wandy), Waclaw Dziewulski (brat Wandy), małą Anielkę kąpie Anieli Dziewulska (siostra Wandy), Wanda.*

*kocyc z wózka udając, że nie mogę go ułożyć... przez cały czas obracając małą w stronę okienka. Kątem oka dojrzałam niewyraźną, bladą twarz Anieli. Po chwili musiałam odejść pełna rozpacz i smutku.*

W lipcu 1945 r., nie czekając na powrót męża z Kaługi, Wanda zdecydowała się na wyjazd do Polski, wraz z rodzicami i młodszym bratem. Jechali tzw. transportem uniwersyteckim, z wieloma rodzinami pracowników USB. Dzieci, podróżujące 2 tygodnie bydlęcymi wagonami, uratowała ... krowa zabrana przez jedną z asystentek, pracujących podczas wojny na wsi.

19226/10007  
111

1935  
2119

**Karta ewakuacyjna**  
**Evakuacijos lapas**

Wydane obywatelowi \_\_\_\_\_  
Duočas piliieciui \_\_\_\_\_

miestkaĩcovi \_\_\_\_\_  
gyventojui \_\_\_\_\_

powiatu (ulicy) \_\_\_\_\_  
apskritis (kaĩvės) \_\_\_\_\_

gminy (miesta)  
valsties (miesto) \_\_\_\_\_

Wraz z tym ewakuacje bie nastepujace czlonkowie  
Sa jao karto ewakuojasi sie jo seimos nariai:

Nazwisko, imię, imię ojca Pavardė, vardas ir tėvo vardas	do g. m. / do g. m. / do g. m. / do g. m. / do g. m. /	Miesiac i rok uodzenia Gimimo metai i menas	U w a g a P a s t a b a
Ginko Wanda e. Tadeusza	czka	20-7-1944	

Obywatel \_\_\_\_\_  
Piliieis \_\_\_\_\_

su šeimais \_\_\_\_\_  
gėvėms \_\_\_\_\_  
gėvėms \_\_\_\_\_  
maki i t. t. \_\_\_\_\_  
mili i t. \_\_\_\_\_

produktų gyvenamųjų  
maisto produktų  
vėgėms \_\_\_\_\_  
namų apyvokos daiktų

rejonu \_\_\_\_\_  
rejonu \_\_\_\_\_  
rejonu \_\_\_\_\_

Rejonowy Peimocennik dia e  
skvacij Rejoninis igaliotinis evakuacij

Rejonowy Przedstawiciel  
Rejoninis Atstovas

Karta ewakuacyjna Wandy Ginko.

Transport wyładowano w Toruniu, jadący nim profesorowie rozpoczęli starania o utworzenie uniwersytetu. W mieście Kopernika powstał Zakład Astronomii, a pod miastem, w Piwnicach – obserwatorium astronomiczne, zbudowane wiernie na wzór straconego, wileńskiego. Najstarsze dzieci Wandy i Tadeusza tam spędzały wakacje, słuchając opowieści Dziadka o konstelacjach gwiazd i oglądając przez lunetę księżyc. Zawsze przy tej okazji słyszały o niebie nad Syberią, gdzie przez 12 lat przebywała siostra Wandy – Aniela, i o niebie nad Argentyną, gdzie losy wojenne rzuciły najstarszą siostrę – Jadwigę. Rodzeństwo spotkało się dopiero na pogrzebie Matki w 1959 roku.

Wanda ukończyła przyspieszony kurs pedagogiczny, otrzymała skierowanie do pracy na Ziemiach Odzyskanych, i na kilka dni przed wyjazdem, a był rok 1946, powitała męża, który szczęśliwie wrócił z Rosji. Wyjechali już razem. W kolejnych latach towarzyszyła mężowi w jego wędrówkach po Polsce i poszukiwaniach pracy, o jakiej marzył. W Płońsku k/Warszawy w 1947 r. urodziło się drugie dziecko, a pierwszy syn – Wojciech. W drodze na Śląsk było jeszcze szkolenie wojskowe w Toruniu. Pensja wojskowego sprawiła, że w małym mieszkaniu trzeba było jeszcze zmieścić lokatora. Dzieci miały nie lada atrakcję, bo był nim aktor teatru kukielkowego. W domu pojawiły się kukielki, a czasem i wejściówki na przedstawienia.

W 1950 r. rodzina przeniosła się na Śląsk. W Rokitnicy, dzielnicy Zabrze, na terenie dawnego niemieckiego szpitala górniczego powstawała Śląska Akademia Medyczna. Okres pobytu w Rokitnicy nie był łatwy, bo niełatwo było utrzymać troje, a potem czworo dzieci (w 1952 r. urodził się Tomasz, w 1955 r. Tadeusz) z asystenckiej pensji męża. Wanda przejęła wszystkie obowiązki domowe, w ciasnym mieszkaniu udało jej się stworzyć odpowiednie warunki dla pracy naukowej męża. Wiedziało w rodzinie i wśród przyjaciół, że o sobie myślała zawsze na końcu. Na pierwszym miejscu była praca, spokój i odpoczynek Tadeusza, na drugim potrzeby dzieci, które dzięki Niej rosły

w tradycyjnym, ciepłym, bezpiecznym domu. Następnie przyjaciół i licznych podopiecznych. Dla siebie brakowało już czasu.

Akademia Medyczna znajdowała się na zamkniętym terenie dawnego szpitala. Obciążona obowiązkami domowymi Wanda, nie mogąc podjąć pracy zawodowej, odkryła w sobie wspaniałe uzdolnienia artystyczne. Pisała „sztuki” teatralne dla akademickiego przedszkola, organizowała okazjonalne zabawy dla mieszkańców, a także, jak wspomina Irena Zacharewiczowa, wspierała i otaczała opieką kolejnych zatrudnianych w Akademii pracowników, w większości repatriantów z terenów wschodnich. Mieszkanie Wandy i Tadeusza było miejscem licznych spotkań o charakterze literackim, kabaretowym – integrującym tworzące się dopiero środowisko naukowe.

W roku 1961 Śląska Akademia Medyczna przeniosła swoją siedzibę do Katowic i tam trafiło małżeństwo Ginków. Tadeusz organizował od nowa Klinikę Chirurgii, Wanda rozpoczęła nietatową współpracę z czasopismem „Zdrowie”, odpowiadając na listy czytelników. Kontynuowała także działalność literacką, pisząc teksty piosenek dla zespołu big-beatowego założonego przez syna i teksty dla teatrów szkolnych i akademickich.

Poszerzał się nieustannie krąg znajomych i przyjaciół, poszerzał się również krąg podopiecznych Wandy. Znajdowała ich wszędzie. W swoim własnym bloku-galeriowcu stale kogoś odwiedzała, zanosila ulubione potrawy, czytała, pomagała wyjść na spacer. W jednym z domów opieki społecznej przez wiele lat odwiedzała sparaliżowaną kobietę, na drugim krańcu Polski znalazła wielodzietną rodzinę potrzebującą pomocy, odpowiedziała natychmiast na apel radiowy, kiedy trzeba było wspomóc ubogą rodzinę w Rybniku. Bardzo wiele osób zachowuje ją do dziś we wdzięcznej pamięci.

Od połowy 1984 r. opiekowała się w domu ciężko chorym mężem, który odszedł 28 października, w dniu swoich imienin. Szczęśliwe małżeństwo trwało 42 lata. Przez kilka lat, zawsze w okolicach rocznicy śmierci Tadeusza, ciężko chorowała, przechodziła poważne zabiegi operacyjne. Głęboko wierzyła, że to

On wstawia się za nią u Opatrzności. Zabiegała o zorganizowanie pośmiertnej wystawy Jego rzeźb i karykatur, wydanie drukiem Jego wspomnień, jak dawniej gromadziła u siebie rodzinę z okazji świąt i uroczystości.

Jeszcze prawie dwadzieścia lat po śmierci męża trwała Jej samotna, katowicka służba innym. Mając 80 lat zapowiadała: *muszę pójść odwiedzić moje staruszki*. Wszystkie młodsze od Niej. Starła się zachować dobre zdrowie, by dla nikogo nie być ciężarem. O swoim przeżywaniu starości pięknie napisała w „liście” do Papieża, opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” w 1997 roku. Zakończyła słowami: *...będąc blisko Boga potrafimy odpowiadać Mu bezgranicznym zaufaniem i cichą, wewnętrzną radością, które stanowią przywilej młodego wieku. Nie przeszkodzą nam w tym ani siwe włosy, ani pochylone plecy czy laska inwalidy. Ojciec św., prosimy razem Chrystusa: Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił*.

Od roku 2002 mieszkała z synem Wojciechem i jego rodziną w Zbrosławicach, a później w Chróstach. Mieszkając tam



*Wanda Ginko w swoim mieszkaniu pełnym rzeźb. Katowice. Lata 90.*

na terenie stadniny koni, wracała często myślami do Piwnick/Torunia, gdzie Jej dzieci chodziły z Dziadkiem-astronomem oglądać i karmić hodowane tam żrebaki.

Zmarła 21 maja 2008 roku. W liście-testamencie duchowym, jaki dzieci odnalazły po Jej śmierci napisała: *Czego mi żal? Że nie zdążyłam dać z siebie tyle, ile pragnęłam, ani potwierdzić uczynkami tego, co we mnie płonęło, ani odjąć innym tyle cierpienia, ile byłam gotowa. Więc jeśli pozostawia się dzieciom testament, to proszę: – dopełnijcie to, czego u mnie nie stało! Bo tylko Miłości warto oddać swoje życie.*

Kraków, luty 2009 r.

Aniela Kaczanowska z d. Ginko



# **WSPOMNIENIA O TADEUSZU GINCE**



Jan Karyszkowski

## SŁOWO O „DOBRYM DOKTORZE”

**K**aługa... Tym licznym wileńskim Akowcom, chłopcom i dziewczętom, których zły „czerwony los” zagnał w tamte strony, (a było ich blisko 7 tysięcy) to miasto i tamte dzieje wryły się w pamięć na stałe. Ma to głęboki wyraz również w licznych wspomnieniach, ukazujących się czy to w postaci obszernych artykułów w „kresowej prasie” – głównie wydawanej przez Bydgoskie Towarzystwo Przyjaciół Wilna i Ziemi Wileńskiej – czy też książek o podobnej treści, ukazujących się również nakładem tego wydawnictwa. Warto podkreślić tu olbrzymi wkład pracy i zaangażowanie głównego redaktora – Pana Leszka Malinowskiego. Jego to staraniem ukazała się ostatnio najnowsza książka tej edycji pt. „Babska Rota” o mało znanych partyzanckich i „kałużańskich” losach naszych wileńskich dziewcząt. One też nie uniknęły „krasnoarmiejskich kamaszy”.

Bo do obozu internowania w Miednikach nasi „Czerwonogwiezdni Sojusznicy” zgarniali wszystkich, których udało im się dopaść, zarówno członków Armii Krajowej, jak i tych, których podejrzewali o Akowskie sympatie. Zapełnili więc szybko ogrodzony potężnymi zamkowymi murami obóz żołnierze nieszczęsnej, oszukanej armii – młodzi chłopcy i nie mniej dzielne od swych rówieśników dziewczęta. Ruska kłamliwa rzeczywistość i obłuda znane nam były od wieków!

Miedniki a później i Kaługa nie ominęły sporej grupy lekarzy, którzy w bojach o Wilno wykazali się także bohaterским poświęceniem i odwagą. Było wśród nich kilku dawnych słuchaczy mego Ojca, który jako wojskowy lekarz-bakteriolog prowadził wykłady na Wydziale Medycznym Uniwersytetu im.

Stefana Batorego. Pamiętając powszechnie lubianego wykładowcę odnosili się do mnie bardzo przyjaźnie. Nie wszystkim udało się ukończyć w pełni studia medyczne, gdyż władze litewskie w niedługim czasie po przejęciu z rąk sowieckich rozgrabionego przez nich miasta Uniwersytet im. Stefana Batorego zamknęły (15 grudnia 1939 r.). Tylko nielicznym udało się ukończyć studia na litewskim uniwersytecie w Kownie, większość została zmuszona do oczekiwania na „lepsze czasy”. Jednak w tych wojennych warunkach i oni zdobyli dużą praktykę medyczną, a w oddziałach partyzanckich byli cenieni bardzo wysoko.

Wśród nielicznych, którym udało się zakończyć studia w Kownie, znaleźli się między innymi: Danuta Sadkowska – instruktor szkolący w usługach medycznych połową służbę sanitarną i pełen energii, powszechnie lubiany Tadeusz Ginko.

Zaraz po przywiezieniu nas do Kaługi zetknąłem się z doktorem Tymińskim. Pochodził ze znanej w Wilnie rodziny lekarskiej, a był też dawnym słuchaczem wykładów mojego Ojca. Potraktował mnie wręcz po koleżeńsku, podarował mi nawet jedwabną koszulkę tłumacząc, że w takiej bieliźnie nie gnieżdżą się wszy, wierne towarzyszki żołnierza. W koszulkę zaraz się ubrałem, ale długo się nią nie nacieszyłem. W czasie najbliższego porannego apelu sierżant – Tatar – zauważył nietypową odzież pod służbową bluzą „gimnastiorką”, kazał mi ją natychmiast zdjąć i podarł na drobne strzępki.

Z wileńskimi lekarzami zetknąłem się znów po powrocie naszej dwudziestokilkuosobowej grupy z miejscowości Zaborie pod Moskwą, dokąd wysłano nas do pracy po tym, jak nasz pułk odmówił złożenia „krasnoarmiejskiej” przysięgi wojskowej.

Zaborie – był to ośrodek wypoczynkowy „Wojenkomatu”, w pobliżu którego przebiegała niegdyś sowiecka linia obrony, gdy Niemcy byli pod Moskwą. Wykonywaliśmy więc remonty szeregu podniszczonych willowych domków i prace porządkowe na rozległym terenie, pociętym siecią ziemianek i urządzeń obronnych.

Gdy wróciliśmy do Kaługi, był już grudzień i zima w pełni, a ostry mróz mocno dawał się nam we znaki. Zakwaterowano nas

w tzw. „Czerwonych Koszarach”, wraz z niezbyt liczną grupą kolegów, którzy dotąd jeszcze przebywali w Kałudze i zatrudniani byli przy pracach w najbliższej okolicy. Większość żołnierzy 361. pułku piłowała już las daleko od Kaługi. Wśród pozostałych była też grupka lekarzy, a między nimi: dr Brzozowski – starszy już pan z małą bródką, uśmiechnięty i życzliwy dla wszystkich, dr Pimpiciki – nieco rubaszny, potężnie zbudowany (był później – już w lesie – specjalistą od wrywania zębów, jedynego „stomatologicznego zabiegu”, który wówczas stosowano) i dr Ginko – przystojny młody człowiek, z niedużym wąsikiem, schludny i zadbany, w dopasowanym i zawsze czystym ruskim mundurze. Dr Ginko był powszechnie lubiany i szanowany ze względu na wysokie umiejętności lekarskie, pogodne usposobienie i przyjazny stosunek do innych. Był to też człowiek wszechstronnie uzdolniony: świetny rysownik i rzeźbiarz (chętnie rysował kolegom niezwykle udane portreciki, karykatury i obrazki rodzajowe), odznaczał się jednocześnie nieprzeciętnymi zdolnościami wokalnymi (śpiewał pięknym, lirycznym tenorem). A ponadto – rozsądny i bardzo dobry organizator. Doktor od razu wziął mnie pod swoją kuratelę, której życzliwość odczuwałem przez cały czas naszego pobytu w tamtych stronach. Na początku zbeształ mnie surowo, bo po przywiezieniu nas do Rosji, tak byłem wytrącony z normalnego trybu życia, że ani razu nie odezwałem się do moich Bliskich w Wilnie, choć był już grudzień (przywieziono nas tu na początku sierpnia). Mieliśmy bowiem prawo do korespondencji, a nawet do korzystania z wojskowej poczty polowej. W listach, które Doktor otrzymywał od rodziny, do której pisał systematycznie, wspomniano, że moja Matka i Siostra bardzo niepokoją się o mnie. No i dostałem solidną burę, na skutek której nadrabiałem moje karygodne zaniedbanie, pisząc listy przez kilka kolejnych dni.

W drugiej połowie grudnia wszyscy, którzy jeszcze przebywali w Kałudze, znowu zostali załadowani do wagonów towarowych, ale przystosowanych do przewozu ludzi, tzw. „ciepluszek”. Po niezbyt długiej podróży dotarliśmy w dniu Wigilii Bożego Narodzenia do lesistej okolicy w rejonie Jegorowska za Moskwą. Od

wczesnej jesieni wszystkie bataliony 361. pułku właśnie tu rąbały las. Ja zostałem skierowany do mego dawnego, 3-go batalionu, który stacjonował w miejscowości Sieriednikowo. Na moje szczęście dr Ginko też tu się znalazł jako lekarz batalionowego lazaretu, tzw. „*San-Czasti*”. Warto wspomnieć, że rosyjskie dowództwo szanowało i doceniało naszych lekarzy; była wojna i brakowało im tej klasy specjalistów. Dostawali też trochę mniej zniszczone mundury (choć również 3-ciej kategorii) i mogli zachować normalne włosy, podczas gdy wszyscy byli regularnie strzyżeni „na pałę”.

Doktor Ginko, prawdziwy lekarz z powołania, troszczył się o wszystkich i starał się każdemu pomóc. Ja stale odczuwałem Jego życzliwą opiekę. Gdy po kilku dniach całodziennej pracy w lesie w przemoczonych, lichych walonkach, przy siarczystym mrozie, tak odmroziłem sobie nogi, że wytworzyły mi się na nich ciekące rany, On tę dolegliwość zakwalifikował jako zwykłe wrzody i załatwił mi na kilka dni zwolnienie od pracy. Oddał mi tym wielką przysługę, bo w Kraju Rad odmrożenia, do których nie wolno było dopuścić, traktowane jako sabotaż i chęć „wymigania się od pracy” – podlegały surowej karze. Robota w lesie trwała zazwyczaj bardzo długo. Nie mieliśmy jeszcze wprawy w pracy „*lesoruba*” – drwała, a że normę wyrębu (8m<sup>3</sup>) należało wykonać bezwarunkowo, bo niewykonanie groziło konsekwencjami, wyszedłszy do roboty zaraz po mizernym śniadaniu, do naszych ziemianek wracaliśmy o godz. 20-tej i później! Obiad i kolację zupełnie już zimne jedliśmy dopiero po powrocie. Wkrótce jednak stwierdzając, że taki tryb odżywiania wpływa nie tyle źle na zdrowie, ale i co najistotniejsze niekorzystnie na wyniki pracy, zaczęto nam dostarczać obiady do miejsca zatrudnienia. Posiłek ten zazwyczaj w postaci chudej zupki „*szczy*” (kapuśniaku), lub „*łapszanki*” (zacierki), paru łyżek słabo okraszonej kaszy i kawałka gliniastego chleba, samochodem lub zaprzężonymi w konika sankami przywoził nam najczęściej dr Ginko. Sprawiedliwie rozdzielał ten skromny posiłek i służył też pomocą medyczną, gdyż w tej pracy o skaleczenia nie było trudno. A poza tym miał dla każdego dobre słowo.

Ja do mojej rodziny w Wilnie pisałem już regularnie, ale kiedyś któryś z tych listów zaginął. Doktor, dowiedziawszy się ze swojej korespondencji, że moi Bliscy znów się niepokoją o mnie, wysłał do mojej Matki miły list, w którym zapewniał Ją, że nie ma co się martwić o mnie, a ja dostałem burę, zanim zdążyłem się wytłumaczyć.

13 m. 45

Szanowna Pani

Brat Pański zdrowo jest i uważała pra-  
wicy w tymże samych rozmowach  
co i ja. Oczekuję u siebie Pański  
listy otrzymane dziś wieczorem i na-  
tętułem tuż w sulkery. Obiecał na-  
pisać - to też nie rozumiem dlaczego  
dotąd nie otrzymała Pański listu od siebie.  
Przez pewien czas uciatem u siebie  
opracowałem się bratem Pański bezpodredu-  
dym był w mojej ruce. do względu na  
stały chorób przyruchy i wzięte były nie  
przeobraził się u siebie przyruchy.  
Pańskie serciami to rzadka rzecz, to  
też bratem Pański wygląda u siebie.  
dotąd jest - potrzebna u siebie  
niezła charakter. Obawiam się, że pora-  
wiony dotąd widmy otoczenia wyju-  
ryci się u siebie i tak w sobie drżać.  
Wierzę, że u siebie solidnych kolegów.  
Pamięć u siebie do niego pisać -  
Kiedy list u siebie Pański u siebie  
przyruchy jest do was. Przydałyby się  
zrobić - u siebie przyruchy i u siebie  
był sulkery.  
Pomógł u was u siebie. Dziś pisać podobne  
do innych. Zobrazić u siebie u siebie  
u siebie u siebie i u siebie u siebie.  
Przez u siebie podobne u siebie u siebie  
i u siebie u siebie u siebie u siebie

Paweł Jankowski

List T. Ginki do matki J. Karyszkowskiego.

Ciężko znosiłem tę pierwszą, mroźną zimę w zamoskiewskim lesie... Niezwykle wyczerpująca praca, prymitywne warunki życia, niedożywienie i ostry klimat spowodowały, że tak wychudłem i opadłem z sił, że z trudem się poruszałem. A że takich „zdechlaków” jak ja było wtedy wielu i byli mało wydajni w pracy, dowództwo utworzyło dla nich specjalny pododdział rehabilitacyjny tzw. „UP-Rotę” (UP – *upadok pitani*). Okresowo przydzielani tu żołnierze zatrudniani byli przy robotach mniej uciążliwych; pełnili też stałe dyżury w kuchni, dzięki czemu mogli mieć wyżywienie nieco obfitsze. Po poprawie stanu fizycznego powracali do swoich dawnych pododdziałów i dawnej pracy w lesie.

I właśnie dzięki Doktorowi, który był ważnym członkiem komisji przydzielającej do UP-rotety, ja się tam dostałem, nawet na dwa „turnusy”. A że w czasie dyżurów w kuchni pełniłem „ważną funkcję” pomocnika kucharza – „*kotłomoja*” – moja kondycja uległa znacznej poprawie. Po powrocie do mego dawnego plutonu mogłem już pracować w lesie nie gorzej od innych.

Późną wiosną nasz batalion – podobnie jak i pozostałe – dotknęła epidemia dyzenterii, zwanej tu czerwonką, na którą u nas przechorowało kilkaset osób, a wśród nich i ja. Mimo mocno skromnych środków leczniczych (amerykański „Sulfidin” i roztwór nadmanganianu potasu – „*Mangancowka*”) i prymitywnej diety, szczęśliwie ta groźna choroba nie była zbyt dramatyczna w skutkach. A było to też w niebagatelnej mierze zasługą doktora Ginki, który był głównym lekarzem i opiekunem chorych. Ja i tu zetknąłem się z Jego życzliwością. Gdy wraz z innymi „ozdrowieńcami” przebywałem w tzw. „izolatorze”, który stanowiło parę szałasów skleconych z gałęzi w lesie poza granicami obozu, zostałem dość długo przetrzymany na surowej diecie. Czując się tym pokrzywdzony, bo nie dostawałem jeszcze śledzia, tak jak inni (a był to „smakołyk”), zgłosiłem „reklamację” do Doktora. On wziął mnie na bok i wytłumaczył: „słuchaj głuptasie, dzięki temu będziesz miał dłuższy okres re-



konwalescencji i bardziej się wzmocnisz”. Zrozumiałem i podziękowałem. A tak jak mnie – pomagał wielu.

Doktor Ginko był nie tylko świetnym lekarzem i rzadko spotykanych wartości człowiekiem; posiadał – jak wspomniałem – nieprzeciętne zdolności artystyczne. Gdy wiosną 1945 roku w batalionach powstawały amatorskie zespoły artystyczne, których zadaniem było organizowanie rozrywki w dniach wolnych od pracy (ruskie dowództwo dostarczało nawet instrumenty muzyczne) On w 3-cim batalionie był głównym organizatorem zespołu, reżyserem i twórcą programów, a także wraz z Bernardem Ładyszem – jego czołowym solistą. Szczególnie pięknie brzmiały w ich wykonaniu tęskne pieśni rosyjskie. Po powrocie do kraju, w styczniu 1945 r. w czasie przejściowego pobytu w Białej Podlaskiej (UB wciągało nas tu na swoje listy), której mieszkańcy przyjęli nas niezwykle serdecznie i gościnnie, w podziękowaniu zespół, który przyjął nazwę „KAŁUGA”, dał kilka występów cieszących się niezwykle powodzeniem i uznaniem.

Występował później i w Warszawie, ale nie długo, bo ówczesnym władzom bardzo nie odpowiadała nazwa naszego zespołu!



Michał Bałasz

## OKRUCHY ZDARZEŃ I PAMIĘCI O „DOKTORZE JANIE” TADEUSZU GINKO

**P**ierwszy kontakt z doktorem Ginko to Jego obecność w sztabie II Zgrupowania „Węgielnego” – Mieczysława Potockiego: Worniany, Michaliszki.

Bezpośredni kontakt miałem w czasie potyczki spotkaniowej z oddziałem niemieckim przy przekraczaniu szosy Podbrodzie-Wilno. Zostaliśmy ostrzelani z moździerza i zbombardowani z samolotu osłaniającego przemarsz wojska niemieckiego. Od pocisku z moździerza zginęło pięciu naszych żołnierzy. Jeden ranny w uda był operowany przez dr. Ginko w chacie, w lesie – niestety, bez powodzenia.

Żołnierz operowany i zabici zostali tamże pochowani. W pogrzebie nie brałem udziału.

Następny raz miałem kontakt z Doktorem przy przemarszu pod Wilno, kiedy podczas ostrzału z messerschmittów naszych taborów i maszerujących oddziałów została ranna siostra Czerwonego Krzyża, trafiona – według słów doktora Ginko – w krocze, a nasz taborowy bułanek wielokrotnie w grzbiet. Padł martwy.

Z poszanowaniem godności bułanka zasilil bardzo ubogą kuchnię polową.

Pseudonimu i imienia siostry, niestety, nie pamiętam.

Po internowaniu w Miednikach był już stały kontakt wzrokowy i faktyczny, gdyż Doktor był bardzo czynny w zakresie służby lekarskiej, jak i działalności kulturalno-społecznej. Miały tam miejsce występy, pogadanki, modlitwa i życie obozowe.

Zapamiętałem Doktora jako bardzo ruchliwego, pełnego pogody i życia, młodzieńca podtrzymującego żołnierskiego ducha.

Szczupły, średnio wysoki, o gęstej wijącej się czuprynie blond, „jajogłowy”. Wysokie, szerokie czoło, twarz pociągła. Piękne pełne uzębienie. Piękny głos tenora, prawie operowego: „Halka” i inne arie Stanisława Moniuszki.

Następny, ale tylko głosowy, kontakt z „Dr. Janem” miał miejsce podczas transportu AKowców w głąb Rosji. Na stacji w Orszy usłyszeliśmy serię z pepeszy i krzyki. Konwojent wpakował serię w pośladki żołnierza, którego zgon nastąpił prawie na oczach Doktora. Żołnierza pochowano między torami w Wiaźmie.

Potem już przypadkowo natknąłem się na zawody narcziarskie. Żołnierze 36.1 pułku (ZSP) kontra *bajcy* 115. *polka* lekkiej artylerii przeciwpancernej. Wiem, że grupa polska zajęła w nich II miejsce. Na pewno inspiratorem tych zawodów był również dr Ginko.

Dalsze już częstsze spotkania miały miejsce w lasach lemańskich, gdzie w grudzie zmrożonej wykuto ziemianki jenieckie. Obozowe ziemianki III batalionu były ułożone prostopadle do „promenady obozowej”, a ta równolegle do rzeczki Marycha w pobliżu tartaku (*lesopiłki*). Moja ziemianka położona była naprzeciw „Klubu kultury”, w którym, między innymi, śpiewał „Doktor Jan” – Tadeusz Ginko. Do roty *rozpradzielnoj* Ginko wstępował często, gdyż przyjaźnił się z inż. Jerzym Prüfferem i spotykał się z doktorem Brzozowskim, który miał w swojej pieczy kompanię roboczą w lesie. Dyskutował często i czasem ostro z Jerzym Orłowskim, synem prof. Orłowskiego, z Ehrenkreuzem, synem rektora USB, nauczycielami Łyczkowskim, Bechem oraz dwoma innymi, których nazwisk nie pamiętam. W dyskusjach uczestniczyli również późniejsi aktorzy, Kęstowicz i Stanisław Lenartowicz, także reżyser i aktor w Sieredniakach (grał uroczy Gerlée z biustonozem z puszek amerykańskiej *swinnoj tuszonki*).

Lekarze *sanczasti* jak mogli zapobiegali skorbutowi (słabe wyżywienie, brak witamin, długa zima). Gotowali szpilki sosnowe i zalecali pić wywar. Osobiście żulem szpiki i chyba to było skuteczniejsze. Jednak ta kuracja niewielu podobało się.

Na świerzb stosowano smołę pędzoną z kory brzoźowej z dodatkiem siarki. Chorzy wyglądali jak z piekła rodem. Czarni, ale lek był z skuteczny z jednoczesnym użyciem mydła i kąpieli.

Wszelkie rany, bóle zębów i inne zewnętrzne dolegliwości leczono „margancówką”. Prontoził był trudno dostępny, ale okazał się skutecznym środkiem na dolegliwości płciowe, wynikłe z bardzo sporadycznych kontaktów z „dziewuszkami”.

Dr Obuchowski, obecnie profesor psychiatra i psycholog w Poznaniu, był zdeklarowanym lewicowcem i może dlatego zaufanym, wobec czego uzyskał możliwość wyjazdu do Wilna, gdzie pozyskał, chyba sporo, leków dla coraz bardziej zapadających na zdrowiu łagierników. Trzeba zaznaczyć, iż polscy lekarze byli bardzo zaangażowani i odpowiedzialni za to, co robili przy pomocy najwyraźniej przychylnych lekarzy sowieckich, często niedoświadczonych, gdyż dyplomy wojenne zdobywali po dziesięciolatce i 3 latach studiów medycznych tj. w wieku 20-21 lat. dlatego odnosili się z wielką powagą i uznaniem dla naszych przedstawicieli medycyny.

Staraniem lekarzy i chyba regulaminu obowiązującego w armii znacznie podniesiono stan sanitarny w obozie przez codzienne kąpiele, odwszawianie, pranie bielizny oraz systematyczną dezynfekcję zapluskwionych ziemianek.

Życie kulturalne było „bardzo profilowane” w ramach *krużkasamodziejności*. Występował Tadeusz Ginko tenor, aktor, Henryk Czyż – dyrygent – skrzypek – akordeonista, Stanisław Jasiukiewicz aktor filmowy, teatralny, Stanisław Lenartowicz w Rosji aktor w Polsce reżyser, Bernard Ładysz – bas. Lekarka Rosjanka lejttenant z II batalionu, „aktorka” bardzo „nalatywała” na Tadeusza Ginko; tak dalece, że Tadzio wpadł do mojej ziemianki i prosił o dużą cebulę, aby uniknąć bardzo płomiennych pocałunków na scenie.

Obok talentu wokalnego Tadeusz Ginko „Doktor Jan” posiadał zdolności rysunkowe, portrecisty i karykaturzysty. Spozstrzegał cechy osoby i wydobywał je ołówkiem, kredkami kolorowymi. Miał notesik 10x10 z dobrego papieru, jak na sowieckie realia, na których tworzył. Dostarczał tą drogą nieco humoru, rozrywał szarą codzienność, wlewał nieco otuchy, przemycając zasłyszane nadzieje na powrót.

Z powodu karykatur miał problemy łącznie z *Gubwach-tą*, gdyż rysował, niestety, mocno nieeleganckie zużyte stroje, *bajców* i sierżantów i tym narażał sowiecką armię i ustrój na niedopuszczalną krytykę. Musiał, niestety, część rysunków wykasować.

Celne karykatury ukazywały bezsens naszego zniewolenia. Wszak wśród nas bez prawa samokształcenia, doskonalenia umiejętności marnowali się wykształceni ludzie, lekarze i inżynierowie, filozof Żaba, księża i późniejsi rektorzy, architekci, niedokończona młodzież gimnazjalna, aktorzy Kęstowicz, Babiński, Lenartowicz, Jasiukiewicz, Ładysz, Czyż, Karewicz i wielu innych, na przykład literaci.

Odnosnie „stroju” Tadeusza Ginki „Doktora Jana” zapamiętałem jako eleganckiego, wysportowanego, nieco dumnego, stwarzającego dystans, w błyszczących butach z cholewami, w bryczesach, marynarce wojskowej, białej albo barwnej koszuli z rękawami. Na głowie polówka wojskowa lub bardzo bujna czupryna blond. Nieduży wąsik.

W łagrze w Rosji jako lekarz zachował buty z cholewami z tym, iż resztę umundurowania musiał włożyć jako sowiecki *bajec*. Po odmowie przysięgi tylko lekarze zachowali nowe dreluchy. Reszta musiała przemundurować się w stare.

W obozie III batalionu czuło się stałą obecność „Doktora Jana” w ziemiankach, kuchni, łaźni, *sanczasti*, a i na *lesorubce* oraz przy przeglądach sanitarnych, zdrowotnych i eliminowaniu niedożywionych i słabych osób dla poprawienia kondycji fizycznej łącznie ze stanem duchowym.

Tadeusz Ginko i Jerzy Prüffer umiejętnie podpowiadali możliwe do zrealizowania i pożyteczne zajęcia. Jerzy Witek, obecny architekt, uczył się angielskiego, choć do dyspozycji miał tylko niewielki słowniczek. Inni na spacerach, w pamięci i na piasku rozwiązywali zadania matematyczne. Będąc w sąsiednich miastach, czasem nawet w Moskwie, filateliści kupowali znaczki pocztowe, tworząc zbiory. Ja osobiście po przyjeździe do Poznania spieniężyłem serię znaczków „*20 lat bez Lenina*”, co umożliwiło mi start do Liceum w Wolsztynie.

I ja, i bardzo wielu kolegów wspominamy „Dr. Jana” jako wspaniałego, godnego wielkiej pamięci lekarza i współlagiernika.

Zbieg okoliczności dopowiedział ciąg dalszy. Bratanek z Krakowa Andrzej (to samo nazwisko) studiował w Rokitnicy w Akademii Medycznej, gdzie prof. Ginko był wykładowcą z zagadnień związanych z chirurgią. Studenci uwielbiali go.

Cześć Jego Pamięci!  
Porucznik Michał Bałasz  
Żołnierz AK Kompanii Sapersko-Minerskiej





Józef Surowiak

## WSPOMIENIA O PROF. DR HAB. TADEUSZU GINKO

Jesienią w roku 1943 wraz z dwoma kolegami wstąpiłem do 3. Wileńskiej Brygady Armii Krajowej, której dowódcą był „Szczerbiec” mjr Gracjan Fróg. Uczestniczyłem we wszystkich akcjach bojowych Brygady, a w jednej z nich, pod Mikuliszkami zostałem dwukrotnie ranny.

Po operacji „Ostra Brama” i niewpuszczeniu naszych oddziałów do Wilna, skoncentrowały się one w okolicach Turgiel, gdzie nastąpiła ich reorganizacja. Nasza Brygada miała zostać jednostką pancerną. Major Fróg był oficerem wojsk pancernych.

Po reorganizacji „Szczerbiec” dał mi przepustkę na kilka dni, bym mógł udać się do Wilna i zorientować się, co dzieje się z moją rodziną. Udaliśmy się w kilka osób samochodem ciężarowym, aby po drodze pozbierać poniemiecką, pozostawioną broń.

W drodze powrotnej na wysokości lotniska w Porubanku zatrzymał nas patrol radziecki i kazał złożyć broń. Dowódca patrolu na widok przepustki radzieckiego Komendanta Miasta Wilna oświadczył, że od dzisiaj jest ona nieważna.

Oddaliśmy broń i pasy oraz zaprowadzono nas do pobliskiej stodoły, w której spotkaliśmy już innych partyzantów. Od nich dowiedzieliśmy się, że już wczoraj dowództwo radzieckie wezwało na spotkanie dowództwo AK (komendantów skoncentrowanych brygad), na którym ich aresztowano. W tym samym czasie wojska radzieckie otoczyły skoncentrowane nasze oddziały i zaczęły je rozbrajać. Niektórym udało się uciec do Puszczy Rudnickiej, gdzie część z nich zakopała broń i rozeszła się

do domów, inni postanowili przedzierać się na zachód w głąb Polski.

Ostatecznie wszyscy rozbrojeni partyzanci AK zostali skoncentrowani przez władze radzieckie w Miednikach, poniemieckim obozie przejściowym. Z Miednik po pewnym czasie przewieziono nas do Kaługi, w której chciano nas włączyć do armii radzieckiej, ale po odmówieniu przez nas złożenia wojskowej przysięgi, przebrano nas w stare wojskowe ubranie i wywieziono do Sierednik (*Maskowskaja obłość, Korubowskij Rejon*). Wyładowano nas z wagonów i poprowadzono na niewielką polanę w tajdze. Tutaj nasz *Komandir* powiedział nam: „tutaj będziemy żyć i będziemy pracować” (*zdzies budiem żyć i budiem rabować*), Ja widząc, że na polanie nie ma żadnych „ziemianek” ani baraków tylko dokoła las, zapytałem:

– Rozumiem, że pracować tutaj będziemy, bo pełno jest drzew, ale gdzie będziemy mieszkać?

A on odpowiedział:

– Nic nie szkodzi, zbudujemy (*niczewo pastrojim*).

I tak się zaczęło. W dzień piłowaliśmy tajgę, a w nocy kopaliśmy i budowaliśmy ziemianki. Było coraz zimniej, zaczynały się mrozy, spaliśmy więc na ziemi otoczeni ogniskami.

Praca w tajdze była bardzo ciężka. Na dwie osoby, posiadające pilę i siekiere, należało wykonać dziennie 12 m<sup>3</sup> dwumetrówek lub 8 m<sup>3</sup> jednometrówek spiłowanego drewna. A wyżywienie było bardzo skąpe. Gdy las był gęsty a drzewa były stare, to tę normę można było jakoś wykonać. Ale gdy kończyła się działka i pozostawały tylko drzewa młode, to normy nie dało się wykonać. Pociągało to za sobą różne konsekwencje: zabieranie obiadów, wsadzanie na noc do karca (małej ziemianki z podłogą z cegieł, często mokrych, na której się spało, a rano bez śniadania szło się do pracy).

Często, zwłaszcza jesienią i na początku zimy, rano szło się piłować tajgę, a w nocy wypędzano nas do ładowania drewnem wagonów (opał dla Moskwy). Przemarznięci wracaliśmy do ziemianek, by po paru godzinach snu iść piłować las.

Ile można wytrzymać w głodzie i przy takiej pracy? Nic dziwnego, że wielu z nas załamywało się fizycznie i psychicznie i popełniało różne głupstwa.

Ja też się załamałem, Nie mogłem wykonać normy, bo brakowało mi drewna, a głód i nocowanie w karcu doprowadziły mnie do ostateczności. Chciałem coś z sobą zrobić, ale postanowiłem jeszcze udać chorego. Poszedłem do tak zwanej *sanczaści* (izby chorych) i spotkałem w niej doktora Tadeusza Ginko. Ponieważ zrobił na mnie bardzo dobre wrażenie, swoim uśmiechem i życzliwym wyrazem twarzy, postanowiłem mu powiedzieć całą prawdę.

– Panie doktorze, jestem wykończony, nie mam sił dalej pracować, głodować i siedzieć nocami w karcu. Co mam robić?

On posadził mnie na stołku, położył rękę na moim ramieniu, spojrział w oczy i powiedział:

– Nie załamuj się, wiem, że jest ci ciężko, ale jak wiesz wojna skończyła się i niedługo na pewno wrócimy do Polski. Na razie, byś nabrał sił i uspokoił się, zatrzymam cię w *sanczaści*, mamy właśnie wolne łóżko, a na co jesteś chory to już ja pomyślę.

Byłem w *sanczaści* chyba tydzień. Słowa doktora Tadeusza Ginko i spokojny pobyt oraz dobre jedzenie (może nie tyle dobre co dostatecznie obfite) zrobiły swoje. Wyszedłem stamtąd zregenerowany fizycznie i moralnie dzięki doktorowi Tadeuszowi Ginko. Przyszła jesień 1945 roku. Opuściliśmy obóz w Sieredniakach i po miesięcznej kwarantannie pod Katyniem, gdzie nas dokarmiano i przebrano w angielskie mundury wojskowe, i gdzie spędziliśmy ostatnie Boże Narodzenie, ale już radosne, przewieziono nas przez Brześć n/Bugiem do Polski, do Białej Podlaskiej. Tutaj dano nam zaświadczenia o powrocie do kraju i rozjechaliśmy się do domów. Dzięki mądrości i sercu doktora Tadeusza Ginko wróciłem do Ojczyzny, choć komunistycznej, ale jednak swojej.

Po wielu latach, w których moje życie było dość burzliwe: siedziałem 6 lat we Wronkach, ponieważ szukając swego przy-

jaciela z Wilna udzieliłem pomocy jego zwierzchnikowi, który był dowódcą oddziału walczącego z PRL na wschodnich ziemiach Polski. Po ukończeniu studiów pracowałem w Instytucie Zoologii UJ w Zakładzie Fizjologii Zwierząt, w którym uzyskałem doktorat, habilitację i profesurę. Pewnego razu w rozmowie z kolegą z Zakładu Antropologii, obecnie profesorem Krzysztofem Kaczanowskim, dowiedziałem się, że jego żona z domu nazywa się Aniela Ginko. W następnych rozmowach upewniłem się, że jest Ona córką tego samego doktora Tadeusza Ginko, któremu tyle zawdzięczam. Szkoda, że nie mogłem się z nim zobaczyć, bowiem profesor Tadeusz Ginko już nie żył.

## List, jaki przyszedł na adres Tadeusza Ginki w 3 lata po Jego śmierci:

Zgierz, 4 IV 87

Szanowny Panie Profesorze

Najpierw przedstawię się Panu kim jestem i skąd Pana znam. Otóż przeżyłem od 5 sierpnia do 15 września w Kałudze, a od 17 września przebywałem w Sieredniakach za Moskwą w III batalionie.

Był taki okres w naszym pobycie w Sieredniakach do grudnia 1945 roku, kiedy skierowano mnie jako chudzielca, wymagającego dożywienia (choć każdy właściwie powinien tam być dożywiony) do roty UP (*upotreblajuszczich pitania*), czyli do roty III, którą Pan Profesor wtedy jako lekarz opieki wał się.

Do dziś wiele pamiętam z mojego z Panem kontaktowania się, o czym napiszę niżej. Najpierw mam jednak obowiązek podziękować Panu za to, że raz zimą przy pracy oczyszczania dróg pod samochody z drewnem, idąc do pracy upadłem umyślnie w śnieg udając zemdlonego. Gdy przybyłem do naszej ziemlanki i starszyna Tatar pytał mnie, dlaczego nie jestem w pracy, odpowiedziałem mu, że zemdlałem. Polecił mi udać się do *sanczasti*, lecz po odejściu starszyny Pan doszedł do mnie i zapytał mnie o co chodzi. Poradził mi Pan nie iść do *sanczasti*, tylko ukryć się w ciemnym kącie na pryzach, by nikt mnie nie widział i do roboty nie zagonił. Ukrywać się miałem do czasu przyścia kolegów z pracy.

W następnym dniu rano, kiedy staliśmy w dwuszeregu, po sprawdzeniu obecności, wyczytał Pan z zeszytu nazwiska osób zwolnionych od pracy... przez *sanczaść*. Po wyczytaniu zwolnionych Pan powiedział: „Pujdak, wychodź”. Wtedy podoficer zapytał, czyżbym ja był zwolniony urzędowo. Wtedy Pan odpowiedział po rosyjsku: „Nie, ale on chory na padaczkę”. Od tego

czasu wykonywałem lekkie porządkowe prace w obrębie terenu ogrodzonego i na dyżurach w kuchni. Za tę ulgę w mojej doli jenieckiej dziś przesyłam Panu Profesorowi wyrazy głębokiej mojej wdzięczności, jaką żywię od wyżej wspomnianego uwolnienia mnie od ciężkich prac.

Pamiętam Pana jako wspaniale śpiewającego w zespole artystycznym – tenora. Ponadto pięknie Pan rzeźbił. Ryngraf M. Boskiej Ostrobramskiej na tle naszego orła z koroną. Okładka do albumu z kory brzozonej, okładka lipowa z panoramą Wilna, na tylnej okładce fragment prac naszych żołnierzy przy piłowce. Wyrzeźbiona małpka, zamyślona jak my byliśmy zamysłeni i stęsknieni za domem rodzinnym.

Jak obecnie Pan żyje?

Moje życie ułożyło się ciężko. Bezdomny, bez rodziny zacząłem po przyjeździe do Polski od pracy w PURze w Poznaniu.

Ukończyłem tylko średnią ogólnokształcącą szkołę. Chciałem studiować polonistykę, ale wymagano świadectwa moralności od władz, od których musiałem uciekać prześladowany za przeszłość akowską i ukrywać się. Obecnie jestem na emeryturze. Mam syna, córkę i troje wnucząt.

Napisałem 147 stron maszynopisu „W nierównej walce” dzieje w Lidzie i ziemi lidzkiej od 22 czerwca 1941 r. do lipca 1945 r.

Chciałbym jeszcze spotkać się z Panem Profesorem i wspominać tamte przeżycia. Czytałem książkę dr. Koraba-Żebryka „Operacja Wileńska AK”. Byłem w II bat. 77 pp AK Okr. Nowogródek u por. „Krysi”.

Mieczysław „Krak” Pujdak

Marek Kawecki

## EGZAMIN Z CHIRURGII U PROFESORA

**E**gzamin dyplomowy z chirurgii zdawałem u Profesora. Był wymagający i obiektywny. Nie dałem się na niczym złapać. Dostałem bdb. Już wtedy wiedziałem, że chcę być chirurgiem i że właśnie w tej Klinice chciałbym pracować. Podobno były wolne etaty asystenckie. Złożyłem podanie do JM Rektora, miałem niezłą średnią ocen z całości studiów, dyplom z wyróżnieniem...

Dnia 16.10.1977 r. złapałem Pana Boga za nogi, dostałem etat asystenta-stażysty w I Katedrze i Klinice Chirurgii Ogólnej Śląskiej Akademii Medycznej w Katowicach. Zastępcą Kierownika Kliniki był Profesor, prowadził także szkolenie lekarzy.

Zameldowałem się w pracy. Klinika liczyła 122 łóżka, cztery odcinkami kierowali adiunkci, jednym – docent, trzy sale operacyjne, na każdej 4 zabiegi dziennie, co trzeci dzień ostry dyżur chirurgiczny dla miasta. Pokój asystencki zwany halą maszyn znajdował się na pierwszym piętrze, w nim odbywały się odprawy o godz.7.00. Dostałem swoją szafę i prawo do korzystania z maszyny do pisania, było ich 10, nikt nie pytał, czy umiem na niej pisać – umiałem.

Zaraz po odprawie Profesor wezwał mnie do gabinetu. Koleżko, będzie pan pracował na odcinku adiunkta R, przed dopuszczeniem do asysty na bloku operacyjnym zda pan anatomię topograficzną u adiunkta G, przed dopuszczeniem do ćwiczeń ze studentami zda pan u mnie cały materiał z chirurgii, pierwsze kolokwium jutro – ostre zapalenie wyrostka robaczkowego.

Uczyłem się długo. Przez pierwszą godzinę Profesor pytał a ja odpowiadałem, potem pytał i sam odpowiadał omawia-

jąc sytuacje kliniczne, z jakimi spotkał się w życiu i ilustrował warianty techniki chirurgicznej rysunkami, omawiał powody swoich decyzji i ich wpływ na losy chorego... Za tydzień przyjdiesz do mnie z przepuklinami.

Następne kolokwium wyglądało tak samo. Ja przygotowywałem temat na podstawie podręczników. Profesor uczył mnie interpretacji objawów podawanych przez chorego, kwalifikowania do leczenia chirurgicznego i podejmowania decyzji podczas zabiegu.

Potem zdawałem anatomię brzucha u adiunkta G. Miał tępy dyżur. Zaczęliśmy ok. 15 tej, o 18-tej poczęstował mnie kawą i poszedł na wizytę, wrócił po godzinie i od nowa byliśmy w brzuchu. Wyszedłem z Kliniki około godziny 22.

Na mojej sali leżało 9 chorych, prowadziłem dokumentację leczenia. Profesor czytał historie chorób przed zabiegiem i przed wypisaniem chorego z Kliniki, bardzo denerwował się błędami i nieprecyzyjnymi określeniami sytuacji klinicznych. Wzywał wtedy asystenta i w sposób elegancki, ale surowy i jednoznaczny wskazywał na niedociągnięcia i bardzo przeżywał nasze zaniedbania; czuliśmy się wtedy tak, jakbyśmy sprawili Profesorowi osobistą przykrość. Często zostawałem w Klinice po dniu pracy lub wpadałem w dni wolne, by „podciągnąć historie chorób” swoich pacjentów, na pewno z poczucia obowiązku, ale także po to, by nie sprawić zawodu Profesorowi, bo czuliśmy wszyscy, że nam ufa.

Nareszcie zostałem rozpisany do zabiegu jako operator. Moja pierwsza operacja polegała na amputacji palca stopy chorego na miażdżycę. Do kilkunastu następnych zabiegów asystował mi zawsze Profesor. Najpierw podczas mycia pytał mnie z anatomii i rysował mydłem na lustrze poszczególne elementy techniki chirurgicznej. Potem wskazywał miejsce i długość cięcia skóry.

Po pierwszej operacji przepukliny pachwinowej byłem niezadowolony z siebie, miałem kłopoty z identyfikacją elementów anatomicznych i operowałem nieudolnie. Zauważył to Profesor



i powiedział mi: Koleżko, chirurgia uczy pokory, to była trudna przepuklina, musi pan jeszcze popracować nad techniką szycia. Wie pan, Koleżko, to trzeba pożyczyć długie imadło i pincetę od szefowej z bloku, no i niech pan zacznie od zeszywania dwóch plasterków sera szwajcarskiego w słoiku, szwem pojedynczym, węzełkowym i potem ciągłym. Rozpisuję pana na ostre dyżury jako młodszego asystenta, myślę, że za kilka lat będziesz w pełni wyszkolonym chirurgiem. Miód wlał się w moje serce.

Byłem już specjalistą pierwszego stopnia z chirurgii ogólnej, kiedy urodziło mi się pierwsze dziecko – córka, od kilku pokoleń w mojej rodzinie pierwszy potomek płci żeńskiej. Zgodnie ze zwyczajem panującym w Klinice rano zakomunikowałem o tym Profesorowi.

Koleżko, powiedział, to się świetnie składa, potem urodzą ci się synowie i jak znalazł córka pomoże ci ich wychować, jesteś przecież chirurgiem i nie na wszystko będziesz miał czas. Rzeczywiście, potem urodził mi się syn.

Często Profesor przychodził do dyżurki lekarskiej i rysował nasze karykatury. Był świetnym rysownikiem, także rzeźbił. Otrzymanie karykatury od Profesora było dla każdego z nas wielką nobilitacją i wyrazem akceptacji w zespole. Niektórzy mieli swoją karykaturę szybko, inni czekali kilka lat. Teraz w Klinice Chirurgii Ogólnej, Naczyń i Transplantacji, która jest spadkobiercą tradycji kierowanej przez Profesora Kliniki, w sali seminaryjnej i na korytarzu ściany zawieszono są ściśle karykaturami byłych pracowników, w znakomitej większości wychowanków Profesora.

Wiedzieliśmy, że Profesor zna dobrze język rosyjski, którego nauczył się podczas zesłania za przynależności do Armii Krajowej i udział w akcji „Burza” w okręgu wileńskim AK. Nie wiedzieliśmy jednak, że mógł uniknąć zesłania, ale dobrowolnie towarzyszył partyzantom, którymi opiekował się jako lekarz do końca wypełniając przysięgę. W grudniu 1981 roku przez kilkanaście dni nie opuszczaliśmy Kliniki, uważając, że cały zespół chirurgiczny może być nagle bardzo potrzebny, na szczęście nie

był. Profesor był cały czas z nami. Nikogo nie pytał, dlaczego pozostaje w pracy, pytał często o to, jak nasze rodziny dają sobie radę bez nas, wielu miało małe dzieci.

Po uzyskaniu stanowiska adiunkta przyszła kolej na odbycie pierwszego stażu naukowo-szkoleniowego za granicą. Zgodnie z radą Profesora złożyłem podanie o stypendium naukowe do Austrii. Formalności trwały ponad rok. Profesor czuł się wtedy źle – po operacji i pobycie w Klinice Chorób Wewnętrznych nie wrócił do pracy, kilka razy w tygodniu odwiedzaliśmy Go w domu i odbieraliśmy dyspozycje w tzw. sprawach klinicznych. Przygotowywaliśmy się do realizacji zadań dydaktycznych w nowym roku akademickim. Profesor polecił mi przynieść z szuflady w Jego gabinecie, w Klinice, teczkę z planami zajęć dla studentów. Gdy otworzyłem szufladę, zauważyłem obok teczki swoją opinię na okoliczność ubiegania się o stypendium naukowe za granicą. Opinia była wspaniała, wyjechałem na staż, który znacznie wpłynął na moje naukowe i zawodowe oblicze. Profesor już wtedy nie żył. Ten staż to była następna wielka sprawa w moim życiu osiągnięta dzięki Niemu.

Dopiero gdy odszedł, poznaliśmy w pełni jego zasługi, odznaczenia bojowe, odwagę i skromność. Każdy z nas, Jego uczniów nosi w sobie część charakteru, woli, wiedzy i umiejętności Profesora. Gdy nas uczył chirurgii i życia z zawodem chirurga, był naszym doradcą duchowym. Był wybitną osobowością, naszym ojcem i niezaprzeczalnym autorytetem. W moim gabinecie, w szpitalu, w którym pracuję, na wprost biurka zawiesiłem zdjęcie Profesora w rektorskiej todze, mojego Mistrza, który za rękę wprowadził mnie w świat chirurgii. Robił to na co dzień w sposób niezauważalny, dopiero po latach dostrzegłem, kim naprawdę był dla mnie.

Marek Kawecki  
Uczeń Profesora  
Tadeusza Ginko

**Wspomnienie o Tadeuszu Gince napisane przez byłą pacjentkę, która przez wiele lat po Jego śmierci korespondowała z Wandą Ginko (list w posiadaniu rodziny Tadeusza Ginki, dane personalne pominięto)**

Droga Pani Wando!

22.IV.1997 r.

Z wielką radością spełnię Pani prośbę dotyczącą wspomnień o Pani mężu. Pana Profesora poznałam na początku lipca 1984 r. Przebywałam wtedy w jednym z częstochowskich szpitali na oddziale urologii. Usunięto mi prawą nerkę. Po tej operacji pękła mi dwunastnica. Chirurg, który mnie operował, nie mógł wprost uwierzyć, że to się stało.

Tymczasem z boku, gdzie miałam wetknięty dren, zaczął płynąć pokarm. Wyglądało to tak, że gdy wypiałam wodę – płynęła woda, gdy mleko – w rurce pokazało się mleko, a gdy zaczęto mnie już dokładnie sprawdzać i dano mi kieliszek jakiegoś „atramentu” – popłynął atrament. Do tego zaczęła się czkawka. Czkałam przez ponad 20 godzin. Z każdą godziną stawałam się coraz słabsza. Ponieważ było mi bardzo duszno, moi bliscy wchodzili do mojego pokoju szpitalnego pojedynczo. Mąż, córka, mama, siostry – wszyscy mieli łzy w oczach. Ja widziałam to jak przez mgłę i w kółko myślałam: czemu oni tak płaczą, czemu oni tak płaczą....

Nawet przez myśl mi nie przeszło, że umieram. Oni już o tym wiedzieli po rozmowie z ordynatorem oddziału – ja nie zdawałam sobie sprawy. I wtedy na korytarzu pojawił się dr X – syn naszych przyjaciół, który zorientowawszy się w sytuacji powiedział do mojego męża: wujku, nie możemy się poddać, dopóki ciocia żyje jest zawsze jakaś szansa.

Jest człowiek, który może ciocię uratować. Jest to mój profesor, nazywa się Tadeusz Ginko. Mieszka w Katowicach. Problem jest w tym, czy zechce przyjechać do Cz-wy i to już, natychmiast, bo czas cioci w tej chwili jest krótki.

X i mój mąż samochodem X pojechali do Katowic. Zastali p. Profesora w domu, wrócił w tym dniu z W-wy. Był więc zmęczony, nie wiedzieli wtedy o tym, że był również chory. Krótco przedstawili mu stan, w jakim się znajdowałam. Pan Profesor nie zastanawiał się długo, on jeden zdawał sobie sprawę z tego, że liczy się każda minuta. Zdecydował, że pojedzie. Ruszyli.

Po około 2 godzinach weszli do mnie na salę. Przenikliwie na mnie spojrzeli. Spytał, ile mam lat (miałam wtedy 41), poprosił mojego ordynatora o gumowe rękawiczki, zbadał mnie. Gdy stwierdził, że w kiszce stolcowej nie ma krwi powiedział cicho: będzie żyła.

Potem wszystko potoczyło się szybko. Profesor zdecydował, że muszę się znaleźć u Niego w Klinice już jutro rano. Potrzeba mu jednak leków dla mnie, którymi Klinika nie dysponuje. Podyktował mojemu ordynatorowi, jakie to leki. Szpital w Cz-wie miał te lekarstwa z tzw. darów, ale nie wiadano jak z nich korzystać.

Na drugi dzień jechałam karetką a wraz ze mną cała torba medykamentów. Położono mnie na salę, która bezpośrednio podlegała dr Mansfeld. Zaczęło się leczenie. Niestety, nic bliższego na ten temat nie mogę napisać, bo po prostu nie znam się na tym i nie wiem co mi podawano. Pan Profesor z panią doktor to uzgadniali. Ja byłam całkowicie unieruchomiona. Wystający dren z mojego boku przebiegał pod łóżkiem i był doczepiony do jakiejś pompy ssącej. Do nosa miałam włożoną sondę a do szyi anestezjolog założył mi tzw. kąta. Moje żyły w rękach i nogach nie przyjmowały żadnej igły.

Pan Profesor od czasu do czasu przychodził na wizytę z pełną „świętą”. Był z nim zawsze tak dużo lekarzy, studentów, że ledwo się na sali mieścili. Kiedyś usłyszałam, jak powiedział: to niewiarygodne, ale jeszcze poczekamy.

Pewnego razu popołudniu przyszedł sam. Zdziwiłam się bardzo, bo to wcale nie był czas wizyt. Stał przy moim łóżku i spytał: jak się pani czuje? co panią boli? a może coś przeszkadza? co by mi pani chciała powiedzieć? Byłam ogromnie

zaskoczona, że sam „Wielki” Profesor interesuje się moim samopoczuciem. Widziałam bowiem, jak studenci stawali przed Nim na baczność.

Ja sama zbyt dużo przeszłam (4 operacje na nerki), aby nie wiedzieć, że lekarzom nie zawraca się głowy byle czym. A jednak Pan Profesor tak życzliwie patrzył, jego głos był serdeczny, że odważyłam się i powiedziałam: bardzo swędzi mnie bok, czyli ta rana, która pozostała po usunięciu nerki. A Profesor na to: no to zobaczymy co się tam dzieje. Zaczął odlepiać kolejne plastry, odrzucać przesiąknięte gaziki i nagle usłyszałam szept: Jezus Maria! To Pan Profesor zdziwił się, gdy zobaczył mój bok cały w pęcherzach koloru burakowego. Stało się tak dlatego, że byłam uczulona na jodynę a gdy wyjeżdżałam z Cz-wy zrobiono mi opatrunek solidnie jodynując ranę.

Sądziłam, że za chwilę przyjdzie siostra i zrobi mi nowy opatrunek na polecenie Pana Profesora. Nic z tych rzeczy. Profesor „przyjechał” sam wózkiem, na którym było wszystko co potrzebne. Gdy zaczął obmywać mi ranę eterem, gdy poczułam charakterystyczny chłodek – myślałam, że jestem w Raju. Co za ulga!

Po skończonym opatrunku zaczęliśmy rozmawiać. Ja uściśnęłam Jego rękę i powiedziałam: dziękuję Panie Profesorze. On, bardzo zaskoczony, spytał: za co? Za uratowanie życia – powiedziałam. To nie mnie należy dziękować, tylko tam niech pani podziękuje (pokazał ręką na Niebo). Ja oniemiałam. Nie mogłam pojąć, że tak wielki człowiek może być tak skromny!

A On kontynuował: pani powinna mieć u nas kilka operacji, mieliśmy robić pani przetokę. Na moje zdziwienie objaśnił mi, że miało to być coś takiego, jak miał Papież, gdy strzelano do Niego. Tymczasem wszystko wskazuje na to, że operacja nie będzie konieczna, dochodzi pani do zdrowia po podawaniu leków. Dlaczego? – nie wiem, to jest chyba Cud!!!

Na koniec spytał: a na co miałyby pani ochotę? A ja odpowiedziałam: na zsiadłe mleko. Gdy za chwilę zobaczyłam Profesora z kubkiem mleka zaczęłam płakać. Do dziś nie mogę

pojąć, jak taki Profesor, na którego skinienie zareagowałyby każdy z personelu medycznego na tym oddziale, mógł pochylić się nad moim umęczonym ciałem, nad pacjentką, której nie znał i od której nie otrzymał żadnej gratyfikacji pieniężnej. Mój mąż chciał Go „ozłocić”, a Pan Profesor grosza od niego nie przyjął.

Byłam jedną z wielu, której pomógł stanąć na nogi. Oprócz ogromnej wiedzy, miał również serce, które pacjenci wyczuwali. Sądzę, że nie traktował ludzi jako „przypadki” mniej lub bardziej ciekawe, ale w każdym z pacjentów widział cierpiącego CZŁOWIEKA. On wiedział o tym, że gdy dusza jest zdrowa to i ciało szybciej wyzdrowieje. Dlatego mówił do nas cicho, krótko, konkretnie, serdecznie, przynosił ulgę, gdzie tylko się pokazał. Był naturalny. Był CZŁOWIEKIEM.

Nie przyszedł już nigdy więcej na moją salę. Kiedyś poprosiłam siostrę, aby powtórzyła Profesorowi, że proszę o przyjęcie. Chciałam znów porozmawiać. Czułam się przy Nim pewnie i bezpiecznie. Siostra odpowiedziała, że Profesor już do mnie nie przyjdzie, chociaż jest w Klinice, tyle, że na innym piętrze – sam ciężko chory. Nie wiedziałam wtedy o tym, że jest to choroba śmiertelna. Zmarł po 3 miesiącach.

Zawsze w rocznicę Jego śmierci w mojej miejscowości odprawia się Msza św. w Jego intencji. Sądzę, wierzę w to gorąco, że Bóg Miłosierny okazał Mu już dawno swoje Miłosierdzie tak, jak On, Profesor, okazywał to miłosierdzie swoim pacjentom.

Serdecznie Panią pozdrawiam  
zawsze życzliwa A.B.

P.S. Proszę mi napisać, czy Pani otrzymała ten gruby list. Ja bardzo się cieszę, że mogłam „dać świadectwo prawdzie” o Panu Profesorze.

Zygmunt Winnicki

## PAMIĘCI NIEODŻAŁOWANEGO PRZYJACIELA PROFESORA TADEUSZA GINKO

**T**adeusz był człowiekiem o wszechstronnych zainteresowaniach i bogatym temperamencie twórczym. Mógł być, jestem o tym głęboko przekonany, znakomitym pisarzem, poetą, sędzią, śpiewakiem operowym, a i w sporcie osiągałby znakomite rezultaty. Wybrał zawód chirurga. Zawód nad wyraz humanitarny, zawód, który wymaga nie tylko talentu, wiedzy, odporności psychicznej, ale i żarliwego poświęcenia. Zawód, który najbliższe jest ludzkich spraw, ludzkiej niedoli, ich bólu i cierpień.

Wybrał ten zawód spośród wielu możliwych zapewne dlatego, że nade wszystko kochał ludzi. Jego wielka życzliwość, a nawet miłość do ludzi, wypływała z głębokiej mądrości i niezwykłej wprost dobroci.

Tadeusz był człowiekiem odważnym i mocnym. Człowiekiem czynu o pogodnym usposobieniu i bezgranicznym poczuciu humoru. Należał do ludzi o zdecydowanych poglądach. Nie poddawał się naciskom odgórnym, co zresztą komplikowało Mu niejednokrotnie życie. W Jego życiorysie zwraca także uwagę inny, istotny dla Jego osobowości, szczegół. Zaangażowanie w pracę konspiracyjną Armii Krajowej w czasie, kiedy Ojczyźnie, oprócz codziennej pracy, potrzebna była gotowość do złożenia najwyższej ofiary.

Tadeusza poznałem, bez mała, ćwierć wieku temu, za sprawą naszych synów, którzy w szczególny sposób zaprzyjaźnili się w szkolnej ławie. Pamiętam, jak w dniu moich, po raz pierwszy wspólnie obchodzonych imienin, przyniósł mi w prezencie słonia z porcelany z połączanymi kłami i kopytkami. Był

ciekaw, jak – jako architekt – zareaguję na kiczowaty prezent i gust jego ofiarodawcy. Dowcip się udał. Wbrew przekonaniom powiedziałem:

– O, jaki piękny prezent!

O to Mu właśnie chodziło. Potem już zawsze byłem czujny, a nawet prześcigaliśmy się w pomysłach i żartobliwych podarunkach.

Tadeusz posiadał swoisty system wartościowania. Szczególnie żarliwy stosunek do pracy, do poczucia obowiązku, do ekonomii czasu, do zagadnień etyki zawodowej. Zapewne wynikało to z wychowania, a również może z doświadczeń przeżytej wielkiej wojennej próby.

Szczyłem się Jego przyjaźnią, cenilem Jego kryształowy charakter, życzliwość dla ludzi, benedyktyńską wprost pracowitość. Życie dla ludzi, dla otoczenia, dawało Mu pełnię radości. Znalazło się w nim miejsce na zawodowe sukcesy, na przyjaciół, na twórczość plastyczną, na poezję, na ciekawą książkę i na niezawodne poczucie humoru. Był kawalarzem dużego formatu.



*Szopka sylwestrowa u pp. Winnickich. Goście trzymają kukietki wykonane przez T. Ginko. Katowice. Lata 70.*





*Z przyjacielem Zygmuntem Winnickim w trakcie szopki sylwestrowej. Katowice. Lata 70.*

Jego talent i zainteresowania plastyczne przejawiały się w karykaturze i rzeźbie. Obie te dyscypliny plastyczne uprawiał z taką żarliwością i pasją zapewne dlatego, że były to dziedziny, które pozwalały Mu na przedłużenie kontaktów z ludźmi, dla których żył i pracował. Jako karykaturzysta był obdarzony wspaniałym wycuciem charakteru i osobowości modela. Jego satyryczne rysunki cechowała wielka życzliwość i bardzo serdeczny stosunek do ludzi. Jak zauważa profesor Stanisław

Jóźkiewicz w przedmowie do albumowego wydania Tadeusza Ginko pt. „15 lat Śląskiej Akademii Medycznej w karykaturze”: *karykatury Tadeusza Ginko wzbudzają zawsze sympatię dla osoby przedstawianej i dla rysownika.*

Karykatura była tą formą twórczości, która poprzez niezbyt skomplikowany warsztat, mogła być stosowana w każdej, nieomal, sytuacji. Wystarczył niedużego formatu szkicownik i ołówek, by w najbardziej nawet poważnych spotkaniach można było dyskretnie zanotować to, co najbardziej zafrapowało Go w danej osobowości.

Karykaturę traktował jako studium psychologiczne, potrafił błyskawicznie, w lakonicznej formie, zanotować to, co stanowiło charakterystyczną cechę modelowanej osoby. Rzeźbę, jako złożony warsztat, wymagający materiału, narzędzi i czasu, uprawiał wtedy, gdy miał ku temu warunki. Najczęściej w czasie urlopu. Rzeźbiąc – wypoczywał.

Inspiracje twórcze czerpał od ludzi, od otoczenia. Korzystał i utrwał własne przeżycia z partyzantki, z sali operacyjnej i z dnia codziennego. Często, w czasie wspólnie spędzanych urlopów, miałem sposobność śledzenia, jak w Jego utalentowanych dłoniach nabiera kształtu i jak się ożywia cięta w drewnie lipowym postać czy oblicze. Była to ciężka fizyczna praca, w czasie której był wyraźnie rozluźniony, radosny, śpiewał. Jego twórcze podniecenie udzielało się otoczeniu.

O swojej twórczości wyrażał się niesłychanie skromnie, a dzieła swoje nazywał „strugadłami”. Tworzył je dla własnej satysfakcji i zadowolenia. Cieszyło Go poznawanie właściwości tworzywa. Ustawicznie dążył do doskonalenia warsztatu i, jak mawiał: „przewyciężenia amatorskiej nieporadności”.

Mimo że test ze słoniem nie wypadł dla mnie korzystnie, Tadeusz niezwykle uważnie wsłuchiwał się w moją krytykę, uwagi i wrażenia. Cieszyło Go, gdy trafnie odgadłem drwinę ze słabości charakteru zastygłą w struganej masce czy postaci. Ba, traktował mnie nawet jako doradcę w sprawach ekspozycji

wystawienniczej, którą urządzał społecznie dla środowiska lekarskiego, i nie tylko.

Zajrzyjmy w gąszcz tych eksponowanych „strugadeł”. Przed nami defiluje bogaty korowód charakterów i postaci. Są wśród nich: „Mefisto”, „Sancho”, „Szelma”, „Bikiniarz”, „Gnom” i „Filomata”. Wszystkie one są rezultatem znakomitej obserwacji ludzkich cech wymodelowanych w całej psychologicznej złożoności. W lipowych „strugałach” dostrzec można maski faunów, wojów, utrudzonych partyzantów, starców i pełne liryzmu dziewczęce twarze. Jest „Ból” i „Krzyk”. Jest „Ratownik” i „Bieda”. Jest to pracowite studium portretowe i bogaty katalog ludzkich charakterów.

Tu i ówdzie dostrzec można starannie przejaskrawiony detal, który bliżej i dobitniej podkreśla myśli Autora. Groźnie nastroszone zęby, wymowny gest ręką, filuterny uśmiech świadczą o spostrzegawczości i wybornym humorze Autora. Wszystkie prace, których nie sposób wymieniwać, są wyrazem Jego temperamentu, obserwacji i przeżyć.

W swoich „strugałach” pozostawił nam wiele uczuć i niezwykle emocjonalnego i serdecznego stosunku do otaczającego nas świata.

grudzień 1986 r.



Wojciech Ginko

## Ojciec

Uczucie dumy, że jestem synem Takiego Ojca towarzyszy mi niezmiennie od wielu lat. Dwadzieścia pięć lat po jego śmierci zaczyna mnie w sklepie starszy pan, żeby powiedzieć, że do dziś żyje dzięki Ojcu... o szczególnej trosce o chorą prawnuczkę pana profesora zapewnia w klinice pediatrii była studentka Ojca... Po tylu latach pamięć o Ojcu trwa.

A co ja, jako pierwородny syn będę opowiadał o Ojcu moim wnukom? Co wyjątkowego zapamiętałem i o czym chciałbym im opowiedzieć?

Epizod pierwszy.

Wspaniała zima. Idę z Ojcem na nartach przez las po jego śladach. Jest ciemno, ale pełnia taka, że rzucamy cienie. Po głowie wędrują obrazy z opowiadań Ojca o partyzantce, lesie, Niemcach i Ruskich, o zasadzkach, walkach, ucieczkach i ewakuowaniu rannych kolegów na wozach konnych... W pewnej chwili słyhać jakieś głosy i przez las przebija się światło latar-ki... ktoś chyba się nas przestraszył i ucieka. Idziemy w kierunku światła, które oddala się i w końcu znika, a my znajdujemy szarpiącą się we wnykach sarenkę, którą Ojciec po dłuższym rozginaniu płataniny drutów uwalnia. Czuję jakbym wygrał partyzancką bitwę.

Epizod drugi.

Wakacje w górach. Ojciec dla wszystkich dzieci wycina z grubej kory łódki. Każda z nich ma swój chrzest. Dzieci proponują imiona – rodzice zatwierdzają. Przechodzi „Niezwyciężona”, „Rio Bravo” i „Czarna Hańcza”, ale propozycja „Aurory” odpada – zamiast niej będzie „Kon-Tiki”. Łódki puszczamy wartkim strumieniem gór-

skiego potoku. Każde z nas może troszkę swojej łódce pomagać, ale najważniejsza jest wiara w zwycięstwo do samego końca.

#### Epizod trzeci.

Ukochana forma wakacji Ojca to kajaki. Zawsze w towarzystwie kolegów partyzantów i zawsze z rozmowami i wspomnieniami przy ogniskach, od których odechciewało się spać. Na jednym z nich udało mi się złowić szczupaka, z którego Ojciec chirurg wypreparował serce i ułożył na liściu. Szczupaka patroszymy i dzielimy na dzwonka – serce bije, panierujemy i smażymy – serce bije, zjadamy – serce bije jeszcze przez kilka minut. Lekcja anatomii, fizjologii i mądrości Stwórcy.

#### Epizod czwarty

Ojciec choruje i doskonale wie, czym skończy się choroba. Widujemy się często i prawie zawsze spotkanie kończy się wspólnym śpiewaniem ulubionych partyzanckich piosenek. Odwiedzają go także bliscy koledzy, koleżanki – płaczących pociesza i przytula.

Kiedy przyjeżdżają pożegnać się z nim najbliżsi obozowi przyjaciele od kilku dni jest już w śpiączce. Jeden z nich – dr. Rymian wchodząc do pokoju podniesionym głosem mówi „poruczniku Ginko...” Ojciec podnosi rękę i opuszcza. Umiera nad ranem w swoje imieniny, a ja roztrzęsiony nie wiem, co mówić pojawiającym się wdzięcznym pacjentom z bukietami kwiatów, które przynieśli na imieniny a nie na pogrzeb...

#### Epizod piąty

Pogrzeb. Tłumy. Wspaniałe, nagrywane przez bezpiekę przemówienia przyjaciół z partyzantki, z których po raz pierwszy w życiu dowiaduję się, że Ojciec miał możliwość uciec z obozu w Miednikach i nie pozwolić się wywieźć, ale tylko odwiedził i pożegnał w szpitalu nowonarodzoną córeczkę i żonę, która zrozumiała, że nie mógł jako jeden z kilku lekarzy opuścić tysięcy żołnierzy.

# **Z ŻYCIA RODZINNEGO**







Lipiec 1940 r. Spotkanie najbliższych przyjaciół, absolwentów matury 1935 r. w Państw. Gimn. im. Króla Zygmunta Augusta w Wilnie (od lewej: Ryszard Rymsza, Tadeusz Ginko, Kazimierz Wieczfiński, Edward Berć).



Anielka. Piła. 1946 r.



*T. Ginko z żoną. Piła. 1946 r.*



*T. Ginko z synem Wojciechem. Płońsk. 1947 r.*



*Obok lwa „wyrzeźbionego” z piasku na plaży. Łeba. 1952 r.*



*Mazury. Spływy kajakowy. T. Ginko 2.od prawej. Lato. 1950 r.*



*Urlop z rodziną. Mazury. Lata 50-te.*



*Urlop z rodziną. 1965 r.*



*Z żoną, synem Tomaszem i NN. Kanał Augustowski. 1970 r.*



*Z synami: Wojciechem, Tomaszem i Tadeuszem. Rokitnica. 1956 r.*



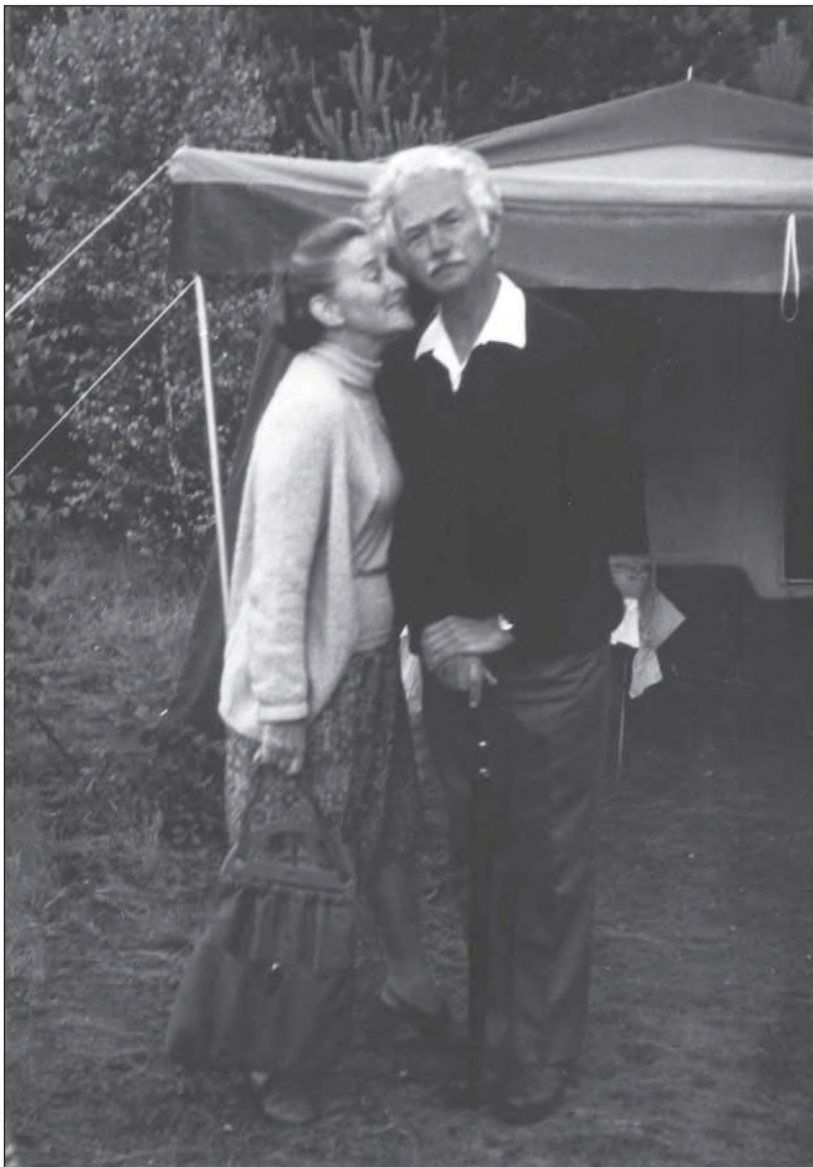
*W Rybieniu n/Bugiem. Stoją od lewej : Krystyna Dziewulska, T. Ginko, W. Ginko, Aniela Dziewulska-Łosiowa. 1972 r.*



*T. Ginko z żoną i wnukiem Witkiem. Katowice. 1976 r.*



*Z żoną obok satyra wyrzeźbionego w sterczącym z ziemi pniu drzewa. Rzeźba pozostała w lesie w Przewodowicach, obok domku letniego przyjaciół. 1977 r.*



*Z żoną. Późne lata 70.*

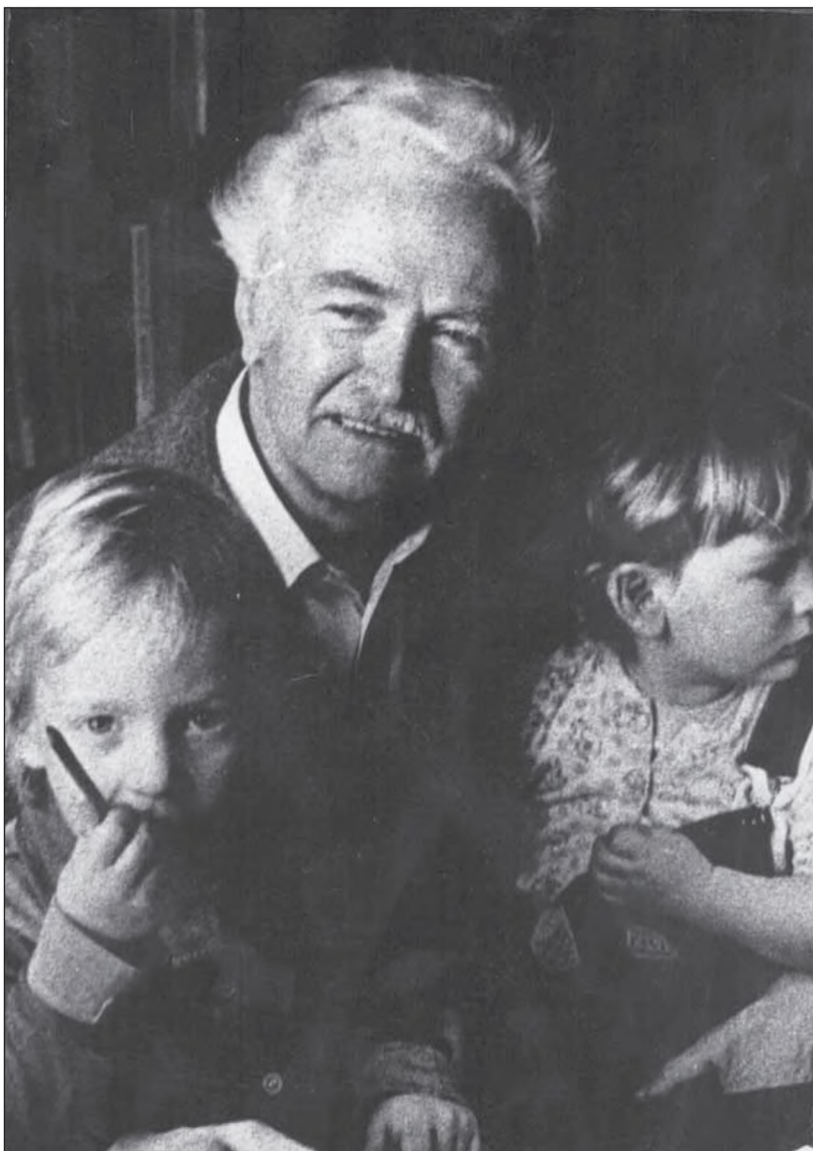




*Z wnukiem Witkiem zasłuchanym w dziadka śpiewającego piosenkę o krasnoludkach. Kraków. 1978 r.*



*Z Jadwigą Dziewulską-Karbowską. Warszawa 1982 r.*



*T. Ginko z wnukami: Kubq i Rafałem. Katowice. 1983 r.*

**KARYKATURALNE I FOTOGRAFICZNE  
WSPOMNIENIA PRACY ZAWODOWEJ  
I SPOŁECZNEJ**

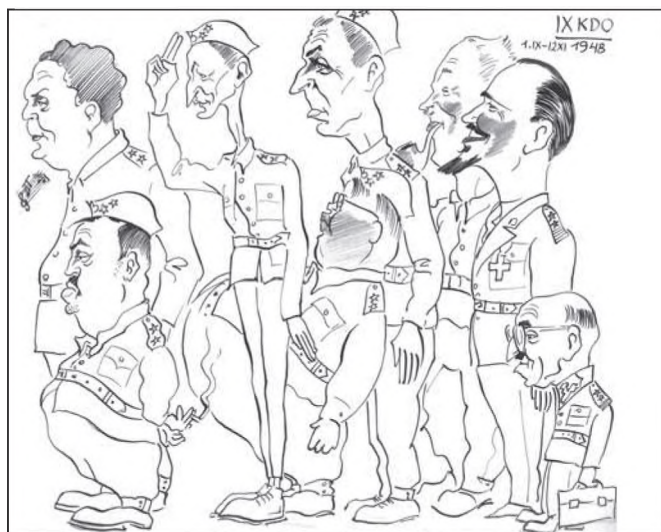




*Pracownicy Szpitala w Płońsku. wysoki z piłką – dyrektor Szpitala. U dołu: Anielka Ginko biegnie do ukochanej Siostry Przełożonej pielęgniarek. 1947/48 r.*



*Szpital Powiatowy w Płońsku – siostra ubiera dyrektora Szpitala. 1947/48 r.*



*Uczestnicy Kursu Doskonalenia Oficerów WP. Łódź. 1948 r.*



*Zjazd Chirurgów (u góry po prawej – prof. Michejda, u dołu po prawej – prof. Garlicki). 1949 r.*



*T. Ginko przed budynkiem Śląskiej Akademii Medycznej w Rokitnicy. Lata 50.*



*T. Ginko prowadzi zajęcia z anatomii w Śląskiej Akademii Medycznej w Rokitnicy. 1950/51 r.*

ZRZESZENIE STUDENTÓW POLSKICH



# DYPLOM HONOROWY



DLA **DR Tadeusza Cińko**

Kierownika Studenckiej Służby Zdrowia  
przy Śląskiej Akademii Medycznej  
w Rokitnicy

RADA NACZELNA ZSP



*[Handwritten signature]*

*Dyplom Honorowy Zrzeszenia Studentów Polskich. 1962 r.*

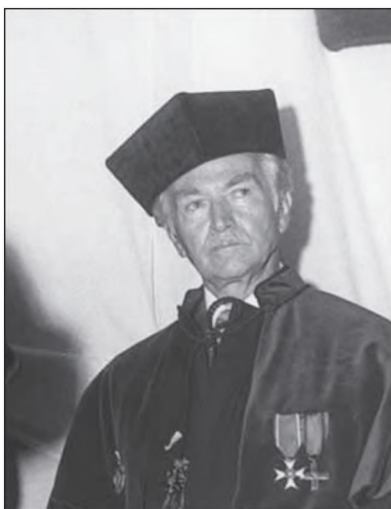




*T. Ginko w Archikatedrze św. Jana wygłasza referat podczas uroczystości 400. rocznicy założenia USB. Warszawa. 1978 r.*



*Z nieodłącznym notatnikiem w przerwie Sympozjum Kardiologicznego. Łódź. Lata 70.*



*W tożde prorektora ds. studenckich.  
Katowice. 1980/81 r.*



*W pokoju lekarzy w klinice. Katowice. 1984 r.*



# **WYRZEŹBIONE DŁUTEM**





*Najmilszy sposób spędzania urlopu – rzeźbienie.*



*Patrol partyzancki.*



*Partyzant pijący wodę.*





*Okrucieństwo.*



*Przesłuchanie.*



*Chłop prowadzony nocą na rozstrzelanie.*



*Studium głowy – rzeźba  
w glinie.*



*Cierpienie.*



*Stan wojenny. 1981-1983.*



*Stańczyk w stanie wojennym. 1981 r.*

30-lecie  
*Śląskiej  
Akademii  
Medycznej*

# WYSTAWA

---

**AMATORSKIEJ  
TWÓRCZOŚCI  
ARTYSTYCZNEJ**

**25.09.~7.10.78r.**

---

SALA WYKŁADOWA ŚLĄSKIEJ AKADII  
IM. LUDWIKA WARYŃSK  
Katowice, ul. Reymonta 2 (wejście od ul. Dąbrow

*Wystawa 30-lecia Śląskiej Akademii Medycznej.*

ODDZIAŁ KRAKOWSKI  
POL.TOW. HISTORII MEDYCyny  
\*  
MIĘDZYWYDZIAŁOWA KATEDRA  
HISTORII MEDYCyny A. M.  
W KRAKOWIE

**WYSTAWA  
RZEŻBY  
W DRZEWIE**

TADEUSZA GINKI



KRAKÓW  
KOPERNIKA 7  
18-30. 4. 1971 R.  
GODZ.10-14. WT.CZW. 15-18

**MASKI**

KRZYK	AKTOR
GHETTO	REWIZJONIZM
WAŃKA	SANCHO
EMERYT	BÓL
RYBAK	KOSMONAUTA
HANDLARZ	MEFISTO

**STRUGADŁA**

SZALENIEC	TUMBA
FILOMATA	NĘDZA
NASZE ŻYCIE	GŃOM
LEŚNY DZIADEK	WOJ
FRYZ ~	NA KSIĘŻYC

**VARIA**

WIEK XX  
PRZESŁUCHANIE  
SYRÉNKA  
NA ŁĄCE  
NUBIJKA Z DZBANEM  
WYMIENŃ MU SERCE  
PATROL PARTYZANCKI  
SZCZĘŚCIE

*Wystawa rzeźby w drzewie T. Ginki.*



# **skalpel - dłuto - ołówek**

wystawa  
nieprofesjonalnej twórczości artystycznej

**S.P.  
PROF. DR. TADEUSZA GINKI**

Sala Katechetyczna Błogosławionego  
Eugeniusza De Mazenod  
Parafii N.S.P.J., ul. Marchlewskiego  
Katowice-Koszutka  
**4.III.—12.III.1989**

*Wystawa pośmiertna – Skalpel – dłuto – ołówek.*



MUZEUM KARYKATURY  
im. Eryka Lipińskiego

MK/290 /07

Warszawa 08.10.2007.

Sz. Pani  
Wanda Ginko  
ul. Ligocka 25  
47-280 Chrósty

Szanowna Pani,

Muzeum Karykatury im. Eryka Lipińskiego w Warszawie składa serdeczne podziękowania i potwierdza przyjęcie w darze 1185 rysunków autorstwa Tadeusza Ginko, przekazanych Muzeum na podstawie Protokołu zdawczo-odbiornego nr 17/07 z dnia 05.10.2007 r. Prace te stanowią cenne uzupełnienie muzealnej kolekcji polskiej karykatury portretowej.

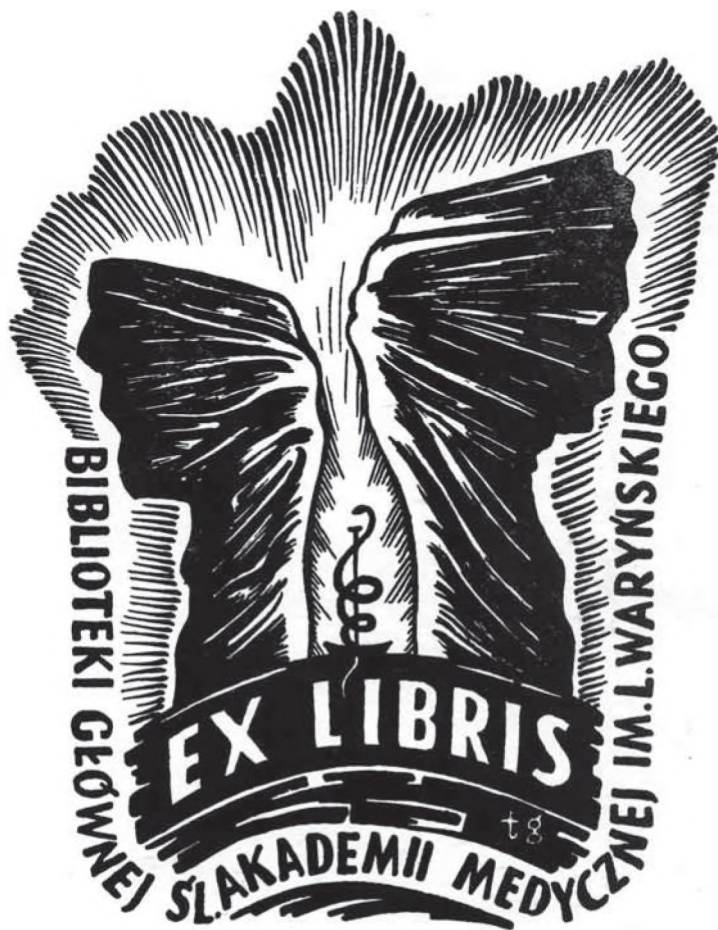
Z wyrazami szacunku

DYREKTOR  
starszy kustosz  
Muzeum Karykatury  
*Wojciech Chmurański*  
Wojciech Chmurański

*Pismo z Muzeum Karykatury.*

**PRACE ARTYSTYCZNE  
DLA UCZELNI**

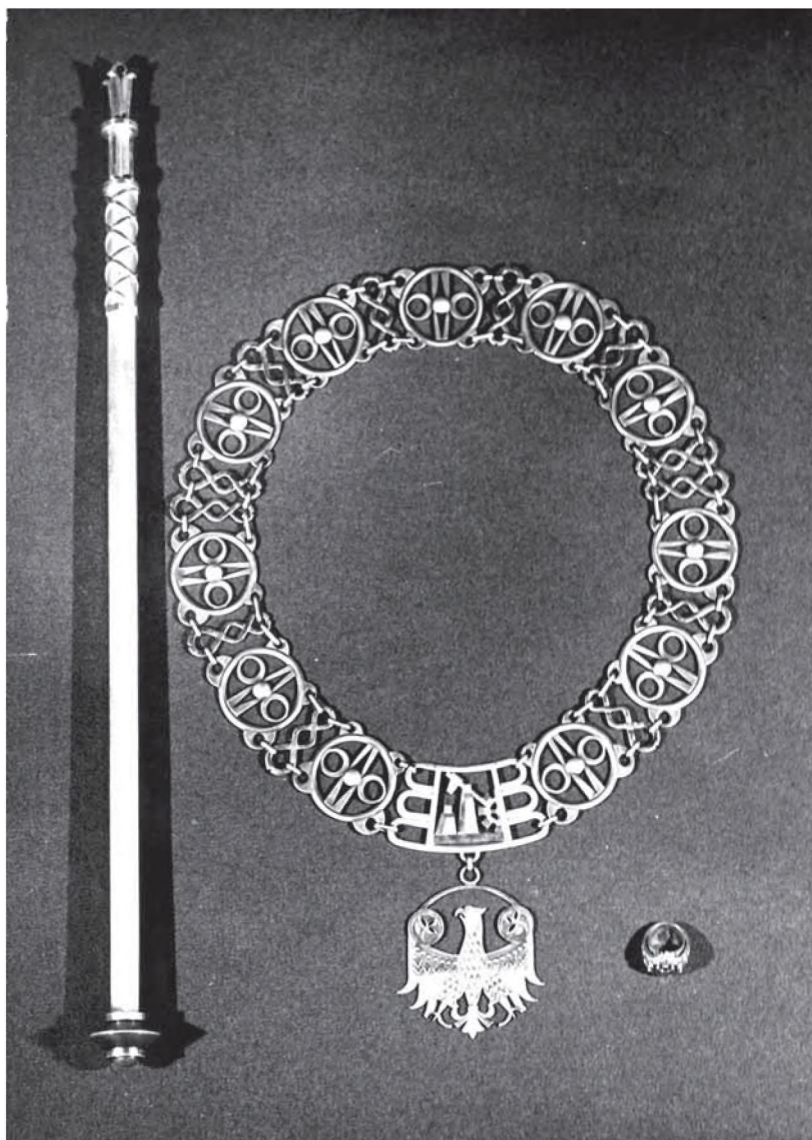




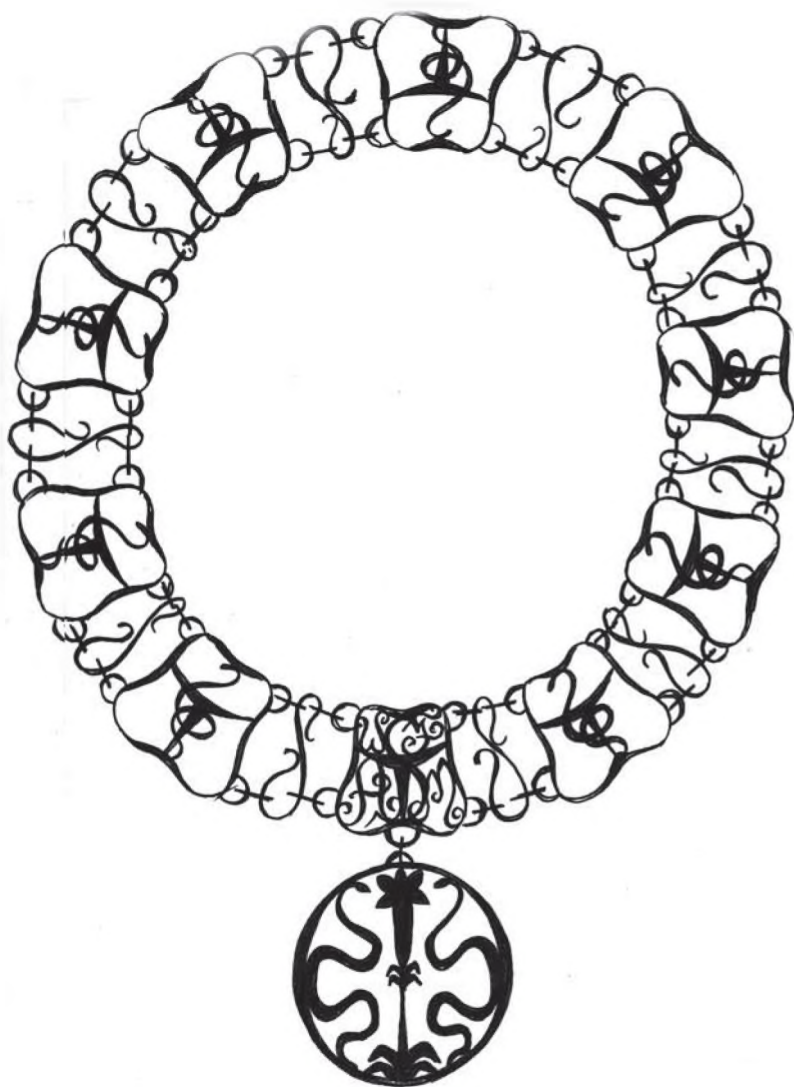
*Ex libris Biblioteki Głównej Śląskiej Akademii Medycznej im. L. Waryńskiego.*



*Projekt medalu XXV-lecia Śląskiej Akademii Medycznej. Rysunek ten ozdobił wszystkie imprezy i okolicznościowe wydawnictwa jubileuszowego roku 1973.*



*Insignia władz Śląskiej Akademii Medycznej wg projektu T. Ginki.*



*Projekt insygniów władz Śląskiej Akademii Medycznej.*



# Indeks nazwisk

## A

Aleksandrowicz Ryszard 207  
Ambroz 61, 106  
Andrejew 152

## B

Babiński 128, 154, 157, 160, 181, 182,  
236  
Bagieński 28  
Bałasz Michał 233, 237  
Baniukiewicz Michał 117  
Bech 234  
Berc Edward 263  
Berger 61, 63, 72, 99  
Berling Zygmunt 118  
Białożył Czesław 117  
Białożył Henryk 117  
Białożył Stanisław 33, 116, 117  
Bodak Władysław 149, 189  
Borkowski Józef 28, 55  
Borowski Jan 54  
Brzozowski Jan Maciej, ps „Mietek”,  
„Sowa” 131, 149, 151, 152, 164,  
169, 227, 234  
Buchowski Bohdan 131, 143, 149, 183  
Budrewicz Czesław, ps. „Topór” 131,  
135, 143, 144, 165  
Bujak Władysław 74, 75, 88  
Bujwid Tadeusz 169  
Bukszczaninówna Rena 143  
Bułhakow 152, 160-162, 164, 166, 168,  
178  
Burzyński Antoni, ps. „Kmicic” 60

## C

Cetys Teodor, ps. „Sław” 107  
Chain 141, 143, 152, 156

Chędyński Sylwester 117  
Ciechanowiczowie 106  
Czczot 26  
Czyż Henryk 153, 160, 161, 182, 183,  
235, 236

## D

Daszkiewicz Tolek 31, 33, 35, 36  
Daynowicz 38  
Dobrucki 126, 136, 141, 143  
Dróżdź Marian 207  
Dulewiczowa 69  
Dyaczyńska-Herman Anna 202, 203  
Dziewulska Karbowska Jadwiga 211,  
217, 271  
Dziewulska Krystyna 268  
Dziewulska-Ginko Wanda 7, 9, 10, 13,  
22, 43, 54, 58, 80, 86, 90-92,  
95, 98, 107, 109, 119, 120, 146,  
156, 157-159, 199, 211-222,  
249, 264, 268-270  
Dziewulska-Łosiowa Aniela, ps. „Kry-  
styna” 10, 54, 98, 107, 120,  
121, 268  
Dziewulski Wacław 217  
Dziewulski Władysław 15, 43, 199,  
211, 213, 217  
Dzięgielewski Stanisław 29  
Dzikiewicz Henryk 117

## E

Ehrenkretz 234

## F

Falkowski Czesław, ks. 10, 11  
Feluś Edward 203  
Fróg Gracjan, ps. „Szczerbiec” 239

**G**

- Gapik E., ps. „Roland” 62,73, 105, 109  
 Garlej Tadeusz 25, 28  
 Garlicki 276  
 Gasiński 17  
 Gibiński Kornel 201  
 Gierasieński 104  
 Gierek Edward 202  
 Ginko Hieronim 10  
 Ginko Jakub 272  
 Ginko Rafał 272  
 Ginko Tadeusz jr 18, 219, 267  
 Ginko Tomasz 18, 219, 267  
 Ginko Władysława 28, 44  
 Ginko Wojciech 18, 219, 221, 259,  
 260, 264, 267  
 Ginko-Kaczanowska Aniela 15, 22,  
 120, 156, 171, 199, 216, 222,  
 242, 263, 275  
 Gliński Michał 206  
 Gołowski 99  
 Gorki 140  
 Górka Zygmunt 202, 206  
 Górniewicz Michał 188  
 Górski Konrad 53  
 Grombcewski Czesław, ps. „Jurand”  
 122  
 Groński 104  
 Grudzień Zdzisław 202  
 Gudawičius 39

**H**

- Hager-Malecka Bożena 207  
 Hajel 104  
 Herman Zbigniew Stanisław 203,  
 204, 205, 207  
 Hermanowicze 35, 36  
 Hiller Stanisław 9, 11, 28, 29, 52, 88,  
 110, 167, 198  
 Hrynaszkiewiczówna Jadwiga 82  
 Hurynowicz Janina 100

**I**

- Ingielewicz 165  
 Iwanowski Lech 100, 102, 103

**J**

- Jakowicki 88  
 Januszkiewicz Aleksander 74  
 Jarmułow 125  
 Jarocki Stanisław 169  
 Jasiukiewicz Stanisław 188, 235, 236  
 Jaworski Ryszard 45  
 Jonek Jan Józef 201, 202, 204-206  
 Józkievicz Stanisław 256

**K**

- Kaczanowski 91, 131, 149  
 Kaczanowski Krzysztof 242  
 Kaczanowski Witold 268, 271  
 Kania Stanisław 202  
 Kapszewicz Antoni 155  
 Karewicz 236  
 Karyszkowski Jan 225, 229  
 Kaszkurewicz Arystarch 27  
 Katilius 88  
 Kawecki Marek 245, 248  
 Kęstowicz 234, 236  
 Kialka Stanisław, ps. „Bolesław” 48  
 Kieturakis Zdzisław Aleksander 56  
 Kocher Emil Theodor 76  
 Koleśnik Władysław 92  
 Komar Zygmunt 117  
 Koreywo-Mackiewiczowa Joanna 38  
 Kozakiewicz 167  
 Kozakiewicz Leopold 117  
 Krauze Kazimierz, ps. „Kumiel”,  
 „Wawrzecki” 59, 131, 143, 165  
 Krupieńczyk Waclaw 155  
 Kruszyński 28  
 Krzeszowski Lubosław, ps. „Ludwik”  
 120  
 Krzyżanowski Aleksander, ps. „Wilk”  
 111, 118  
 Krzyżewiczowie 213

Kurkiewicz 198  
 Kutuzow 124  
 Kuzma 40  
 Kwiatkowski Kazimierz 169

**L**

Lenartowicz Józef 161  
 Lenartowicz Stanisław 128, 155, 169,  
 234-236  
 Lisatowicz Leon 117  
 Lissa Zofia 192

**Ł**

Ładysz Bernard 15, 181, 231, 235, 236  
 Łyczkowski 234

**M**

Maciejewska 56  
 Mackiewicz Waław 155  
 Makowski Jan 131, 132  
 Malinowscy 95  
 Malinowska 96  
 Malinowski Leszek Jan 7, 225  
 Maliszewski 169  
 Mansfeld 250  
 Mańkowski Jan 128, 131, 132, 149  
 Maślińska Irena 29, 154  
 Maśliński Józef 29, 154  
 Mażyliś 39, 49  
 Michejda Kornel 39, 56, 74, 75, 276  
 Mickiewicz 26  
 Mielęcki 21  
 Mienicki Marian 74, 75  
 Mikołajczyk 143, 166  
 Mikułko Anatol 118  
 Mincerówna Maria 29, 154  
 Morgiewicz 61, 69, 75  
 Mozolowski 88  
 Mukin 148, 177, 178  
 Muszyński 92

**N**

Nasiłowski Władysław 202, 205, 207  
 Nikifor 21  
 Nikkelówna Izabela 25  
 Nowak Stanisław 202

**O**

Obuchowski 235  
 Okulicki Leopold, ps. „Kobra”, „Niedź-  
 wiadek” 184  
 Opaski 104  
 Orłowski Jerzy 234  
 Ożelis 39, 40

**P**

Pajączkowski 153, 170, 181  
 Paliwoda Tadeusz 202, 203  
 Paw Jan 61, 100  
 Pawłowski Antoni, ks., ps. „Chrzyszcz”  
 10, 11, 13, 212  
 Pelczar Kazimierz 30  
 Philipp 61  
 Pietkiel Stanisław 131, 144, 146, 149,  
 194  
 Piłsudski Józef, Marszałek 166  
 Pimpicki Mieczysław, ps. „Biały”,  
 „Orzeł” 122, 131, 140, 142, 144,  
 149, 162, 165, 193, 227  
 Plechavičius 80, 109  
 Platakis Irena 92  
 Poczubut 26  
 Potocki Mieczysław, ps. „Kamienny”,  
 „Węgielny” 14, 21, 111, 233  
 Prüffer Jerzy 115, 122, 141, 234, 237  
 Pujdak Mieczysław, ps. „Krak” 244

**R**

Raabe 190  
 Rawicz 185  
 Reicher Michał, ps. „Sosna” 27, 88  
 Rogowski 94  
 Romajtis vel Romecki 66, 67, 73

Romanowska Anna 45  
 Ruszkowski Roman 142  
 Rymian Jan, ps. „Pean” 122, 131, 140,  
 144, 149, 165, 193, 260  
 Rymsza Ryszard 263

## S

Sadkowska Danuta 25, 226  
 Samulewiczowie 92  
 Sidaravičius 39, 50  
 Siwiak 28  
 Skarga Barbara, ps. „Ewa” 78  
 Skarga Piotr ks. 26  
 Skarżanka Hanna, ps. „Aktorka”, „Niu-  
 ra” 29, 154  
 Skarżyński Bohdan 24  
 Skwarczewski 62, 64  
 Sławińska Irena 22  
 Smolska-Ginko Filomena 9  
 Sroczyński Jan 204, 205  
 Stalin 140  
 Stasiak Józef 42  
 Strzałkowski 150, 152, 163, 169, 180  
 Stubieda 169  
 Sumorok 27  
 Surowiak Józef 239  
 Sviderskis 67, 68  
 Sylwanowicz Marian 104  
 Sylwanowicz Witold 104, 105  
 Szczepański Zbigniew 207  
 Szczerki Mieczysław, ps. „Żulik” 143,  
 147, 180  
 Szendzielarz Zygmunt, ps. „Łupaszko”  
 59  
 Szmyt 153, 160, 161, 182  
 Szyszko Stanisław 203, 205, 207

## Ś

Śmiałowski Igor 29, 154  
 Śmigiełski 110

Śniadecki 26  
 Świerzewski 61

## T

Tekielski Bolesław 10  
 Tukan 106  
 Tumiłowicz Stanisław 46, 48, 49  
 Tymiński Witold, ps. „Newada” 115,  
 122, 131, 144, 149, 150, 226  
 Tyszkiewicz hr. 31

## U

Umiastowski 185

## V

Valdemaras Augustinus 39

## W

Waszczuk Eugeniusz 91, 131, 140, 149  
 Wertyński 144  
 Wierzchowski Kazimierz 263  
 Wierzchowski Mirosław 203  
 Wierzbicka Zofia 41  
 Winnicki Zygmunt 253, 255  
 Wojciechowski Longin, ps. „Ronin” 59  
 Wrońskie 29, 154  
 Wroński Stanisław 117  
 Wyszyński Stefan Kardynał 11

## Z

Zacharewiczowa Irena 220  
 Zan 26  
 Zawadzki 186, 187  
 Zieliński Jerzy 202  
 Zmitrijewski Stanisław 117

## Ż

Żaba 236

## Pseudonimy AK-owskie

- „Aktorka” zob. Skarżanka Hanna
- „Biały” zob. Pimpicki Mieczysław
- „Bolesław” zob. Kiałka Stanisław
- „Doktor Jan” zob. Ginko Tadeusz
- „Ewa” zob. Skarga Barbara
- „Jurand” zob. Grombaczewski Czesław
- „Kamienny” zob. Potocki Mieczysław
- „Kmicic” zob. Burzyński Antoni
- „Kobra” zob. Okulicki Leopold
- „Krak” zob. Pujdak Mieczysław
- „Krystyna” zob. Dziewulska Aniela
- „Kumiel” zob. Krauze Kazimierz
- „Ludwik” zob. Krzeszowski Lubosław
- „Łupaszko” zob. Szendzielarz Zygmunt
- „Mietek” zob. Brzozowski Jan Maciej
- „Newada” zob. Tymiński Witold
- „Niedźwiadek” zob. Okulicki Leopold
- „Niura” zob. Skarżanka Hanna
- „Orzeł” zob. Pimpicki Mieczysław
- „Pean” zob. Rymian Jan
- „Roland” zob. Gapik E.
- „Ronin” zob. Wojciechowski Longin
- „Sław” zob. Cetys Teodor
- „Sosna” zob. Reicher Michał
- „Sowa” zob. Brzozowski Jan Maciej
- „Szczerbiec” zob. Fróg Gracjan
- „Topór” zob. Budrewicz Czesław
- „Wałkoń” zob. Ginko Tadeusz
- „Wawrzecki” zob. Krauze Kazimierz
- „Węgielny” zob. Potocki Mieczysław
- „Wilk” zob. Krzyżanowski Aleksander
- „Żulik” zob. Szczerski Mieczysław



KK 92

Ginko, Tadeusz

Wspomnienia 1939-19

/



ISSN - 1250-9915

ISBN - 978-83-87665-65-8